

Elizabeth Hawksley

GUWERNANTKA

1

Niespodziewany hałas zakłócił spokój małego, obrośniętego różami domku. Panna Clemency Hastings rozmawiała w salonie ze swoją starą guwernantką, kiedy nieopodal rozległ się głośny stukot końskich kopyt, rzenie przestraszonego zwierzęcia, a w końcu głucho uderzenie o ziemię. Potem nastąpiła cisza. Clemency podbiegła do okna wychodzącego na Richmond Park i wyjrzała na zewnątrz. W oddali dostrzegła znikającego wśród drzew konia bez jeźdźca, z wiodzami luźno zwisającymi po bokach.

- Biddy! Zdaje się, że komuś przydarzył się wypadek! - krzyknęła.

- Przeklęty artretyzm! - westchnęła panna Biddenham i chwyciła się oburącz fotela, jakby chciała wstać.

- Poczekaj, ja pójde - powstrzymała ją Clemency.

Gdy dochodziła do ogrodowej furtki, usłyszała cichy jęk. Niefortunny jeździec leżał bez czucia na ziemi, z głową opartą o ścianę domu. Miał bladą twarz, przymknięte oczy i zadrapania na czole, których zapewne nabawił się podczas upadku. Po chwili wahania Clemency ujęła jego mocną, opaloną dłoń i wyczuła nierówny puls. W tym samym momencie mężczyzna otworzył oczy i spojrzał na nią - z początku nieco nieobecny, a po chwili już bardziej przytomnym wzrokiem. Chwycił jej nadgarstek i zapytał szeptem:

- Czy jestem w niebie?

Dziewczyna oblała się rumieńcem i próbowała cofnąć rękę.

- Spokojnie. Spadł pan z konia, musiałeś się pan nieźle poturbować.
- Ach, pamiętam... - Zmarszczył brwi, a jego twarz wykrzywił lekki grymas bólu. - Okropne zwierzę, przestraszyło się czegoś, ostatnio zresztą nie odznaczało się dobrą formą.
- Wobec tego jazda wierzchem nie była zbyt rozsądna - stwierdziła dziewczyna stanowczo. - Patrząc na pańskie czoło, zgaduję, że spadając z konia, musiał pan uderzyć głową o ścianę domu. To cud, że nie skręcił pan sobie karku.
- Głupstwo, to tylko draśnięcie - odparł nieznajomy, puścił jej rękę i oparł się plecami o ścianę. Potem dotknął ostrożnie rany na czole.
- Pewnie doznał pan wstrząsu mózgu - zauważyła Clemency.
- Co za bzdury, dziewczyno! - Spróbował się podnieść, lecz ponownie opadł ciężko na ścianę. Na jego ustach pojawił się słaby uśmiech. - Jeśli mój anioł stróż mówi, że mam wstrząs mózgu, to musi być prawda! Bądź tak dobra, w kieszeni mam brandy.

Clemency wyjęła butelkę, odkręciła nakrętkę i podała rannemu. Pociągnął spory łyk i westchnął. Dziewczyna z ulgą stwierdziła, że na jego pociągłe policzki wracają kolory. Siedział z zamkniętymi oczami, mogła więc bez obaw przyjrzeć mu się dokładniej. Był wysoki, szczupły, o ciemnej karnacji i czarnych włosach, teraz nieco zwichrzonych. Ostre rysy twarzy oraz rzymski nos dopełniały całości. Wyobraziła go sobie czyniącego spustoszenie na czele hord wojowników Dżyngis-chana (Clemency, ku rozpaczy matki, każdą

wolną chwilę spędzała na czytaniu książek).

- Och!

Mężczyzna otworzył oczy i przyłapał ją na tych oględzinach. Zakłopotana, szybko spuściła oczy, jednak niefortunny jeździec, w przeciwieństwie do niej, bynajmniej nie miał takich skrupułów i otwarcie taksował ją wzrokiem. Clemency czuła, jak błądzi spojrzeniem po jej twarzy, wzdłuż szyi, aż zawisł oczami na piersiach. Policzki dziewczyny spłonęły ogniem.

- A więc nawet anioły się rumienia? - Wydawał się rozbawiony.

- Pan... patrzy na mnie - zdołała wykrztusić. Jakaś część jej duszy pytała, czemu od razu się nie oddaliła, dlaczego mu pozwala na tak niedzentelemeńskie zachowanie.

- Jesteś bardzo piękna. Masz cudowne bladozłote włosy, oczy jak bławatki, a twoja figura... - zaśmiał się. - O, nie! To ciało nie może należeć do anioła, to kształty kobiety z krwi i kości, w dodatku szalenie pociągającej!

- Ależ, mój panie! - Tym razem wzburzona Clemency usiłowała wstać, lecz mężczyzna błyskawicznie przytrzymał ją jedną ręką, drugą zaś przysunął do głowy dziewczyny i delikatnie, ale stanowczo przyciągnął do siebie.

- Nn...nie! - wyjąkała, jednak za późno. Pocałował ją, początkowo dość powściągliwie, ledwie muskając ustami, potem, westchnąwszy, coraz mocniej.

Clemency poczuła zawrót głowy. Uświadomiła sobie, że tak naprawdę nigdy jeszcze się nie całowała, bo przecież trudno określić tym mianem niezdarne przytulanie przez pracowników jej ojca w czasie świąt czy też ojcowskie cmoknięcia w czoło nie ogolonego staruszka, pana Dodderidge'a. A teraz ten obcy człowiek, bez chwili zastanowienia, tak chłodno i zdecydowanie, odszukał jej usta i skosztował ich smaku. Co więcej, najwyraźniej oczekiwał odpowiedzi, a Clemency mimowolnie założyła mu ręce na szyję. Jej serce zaczęło bić przyspieszonym rytmem.

Nieznajomy wyjął z jej włosów parę grzebieni z masy perłowej i przesuwając palcami po jedwabistych lokach.

- Takie miękkie i słodkie - mruknął, nie przestając jej całować.

Nagle w oddali rozległ się tętent końskich kopyt i głośnie okrzyki jeźdźców. Clemency gwałtownie wyrwała się z objęć nieznajomego, a potem drżącymi palcami podniosła grzebyki i wpięła je we włosy. Wstała i z rumieńcem na twarzy oparła się niezgrabnie o furtkę.

Wkrótce nadjechały wierzchem dwie osoby - mężczyzna i kobieta. Jeździec zeskoczył z konia i krzyknął do rannego:

- Truskawka wróciła bez ciebie, co się stało?

- Niebiańska interwencja - odparł zapytany, potrząsając głową.

- O, z pewnością. Ostrzegałem cię, że klacz nie jest w formie.

Amazonka, zgrabna kobieta odziana w wytworny zielony kostium z aksamitu, ześlizgnęła się z konia i przechodząc zwawo obok

dziewczyny, powiedziała:

- Musimy cię odwieźć do domu. Ta panna - wskazała niedbale ręką na Clemency - z pewnością zawiadomi doktora Burnleya.

Jej towarzysz pomógł mężczyźnie wstać, otrzepał go z kurzu, a potem podniósł leżący na ziemi bat i czapkę jeździecką.

- Naturalnie. Dobra dziewczyno, biegnij zaraz do posiadłości Stoneleigh. - Sięgnął do kieszeni i rzucił jej pół gwinei.

- Oriano, zabierz jego rzeczy, ja zaś pomogę mu wsiąść na mojego konia. - Zwrócił się ponownie do Clemency: - Nie stój tak, moja mała, zmykaj!

Tego samego wieczora Clemency wracała powozem do domu na Russell Square i jeszcze raz analizowała wydarzenia minionego dnia. Właściwie cóż takiego się stało? Jak się dowiedziała od Biddy, mężczyzna, który ją pocałował, bawił od niedawna w gościnie u państwa Baverstocków w Stoneleigh. Podobnie jak jego przyjaciel, najwyraźniej wziął ją za wiejską dziewczkę i korzystając z okazji, niespodziewanie pocałował. Sądząc z jego zachowania, czynił już to zapewne niejednokrotnie.

Nie potrafiła zaprzeczyć, że całus, tak beztriosko skradziony, poruszył ją głęboko, jednak nedorzecznością byłoby sądzić, iż mógł znaczyć cokolwiek dla niego. Ranny jeździec, cierpiący z bólu i szoku, z pewnością nie był sobą. Na co w ogóle liczy? Że nieznajomy niczym

książę z bajki przeszuka wszystkie domy we wsi, by ustalić, kim jest dziewczyna?

A gdyby nawet, to co potem? Czy taki dżentelmen, gość wytwornej Oriany, zechce kontynuować znajomość, kiedy dowie się, z kim ma do czynienia? Clemency może mieć oczy jak bławatki - uśmiechnęła się na wspomnienie jego słów - ale nie należy do jego świata.

Owszem, jest bogata - dzięki wysiłkom ojca, który ciężką pracą osiągnął pozycję jednego z najzamożniejszych kupców w mieście. Gdy umarł przed dwoma laty, zostawił jej w spadku sto tysięcy funtów, matkę zaś zabezpieczył roczną pensją w wysokości pięciu tysięcy funtów. Pani Hastings dodała wkrótce do swojego nazwisko panięskie, stając się powszechnie poważaną (przynajmniej taką miała nadzieję) panią Hastings-Whinborough. Gdy tylko skończył się czas żałoby, wszelkimi sposobami starała się dostać do elitarnych kręgów towarzyskich.

Niestety, jej wysiłki spęły na niczym. Tak ona, jak i jej córka wywodziły się bowiem z rodziny kupieckiej i to z pozoru niewinne określenie zamykało im bramy do świata dobrze urodzonych. Clemency aż tak bardzo na tym nie zależało, nigdy zresztą nie miała wygórowanych ambicji towarzyskich, a czytanie książek przedkładała nad bywanie na modnych przyjęciach i rautach. Wiedziała, że do takiego świata niechybnie należą spotkania dzisiaj przez nią dżentelmeni.

Nie, powiedziała sobie stanowczo, musi o tym zapomnieć. To było jedynie przypadkowe, odosobnione zdarzenie i z pewnością nigdy więcej się nie powtórzy.

Lysander Candover siedział w bibliotece swojej miejskiej posiadłości i ze skrzywioną miną słuchał wywodów prawnika. Minęło pół roku, odkąd - po śmierci ojca, trzeciego markiza Storringtona, i po odejściu niedługo potem z tego świata w pijackiej bójce starszego brata Alexandra - stał się piątym markizem Storringtonem.

- Czemu, u diabła, nie powiedziano mi wcześniej o finansowych kłopotach naszej rodziny? - spytał z irytacją, pocierając palcem podstawkę kieliszka z brandy. - Dobry Boże, człowieku, jesteśmy zadłużeni po uszy, stale zmniejszają się wpływy z czynszów i nie mamy ani grosza na pokonanie choćby podstawowych prac remontowych w majątku, nie wspominając już o domu w mieście! - Rzucił okiem na sufit, w miejsce, gdzie jeden z narożników szerniał od wilgoci.

- Świętej pamięci markiz Storrington, pański zacny ojciec, zawsze był zdania... - zaczął mecenas ze smutkiem w głosie.

- Nic nie mów, niech zgadnę! - Lysander uniósł rękę. - Zapewne twierdził, że wszystkiemu zaradzi pewniak na Newmarket, jeden z jego szczęśliwych rzutów kośćmi.

- Był, niestety, dość niefortunnym graczem. - Prawnik pokręcił smętnie

głową.

- Domyślam się, że Alexander... - zaczął markiz, ale przerwał po chwili.

Było rzeczą powszechnie wiadomą, że lord Alexander prowadził nader rozwiązły i kosztowny tryb życia. Bez opamiętania szastał pieniędzmi, wydawał je tak, jakby lał wodę z konewki. Bezkrytycznie i z konsekwencją godną lepszej sprawy realizował swoje ekstrawaganckie zachcianki, toteż nic dziwnego, że jego śmierć nie wzbudziła w najbliższych żadnego żywszego uczucia poza ulgą. Lysander przypuszczał, że nieodpowiedzialne zachowanie brata w równym stopniu co nieszczęśliwa gra ojca przyczyniło się do fatalnego stanu rodzinnych finansów. Mimo wszystko różnili się między sobą - stary markiz przynajmniej żył uczciwie, lord Alexander zaś był zdolny do wszelkich oszustw.

Lysander, który niespodziewanie w wieku dwudziestu sześciu lat musiał stawić czoło tylu problemom, prowadził dotąd równie beztroskie i szalone życie, jak poprzednicy. Jako młodszemu synowi przypadła mu w udziale znacznie skromniejsza sumka, ale kierując się zdrowym rozsądkiem potrafił tak rozplanować wydatki na kosztowne rozrywki, konie i kobiety, że zdołał uniknąć wpadnięcia w jeszcze większe kłopoty.

- A co z Arabellą? - zapytał. Chodziło o jego siostrę, szesnastoletnią samowolną panienkę, zmyślną i śliczną jak obrazek. W pół roku

przewinęło się przez jej życie przynajmniej sześć guwernantek.

Pan Thorhill westchnął i z dezaprobatą pokręcił głową.

- Ojciec pana uważał, że ma jeszcze czas, by zapewnić przyszłość pańskiej siostrze.

Lysander sięgnął po karafkę i nalał sobie kolejny kieliszek brandy.

- Zatem, dysponując zaledwie dziewięciuset funtami rocznie, mam do spłacenia horrendalne długi, muszę utrzymać siostrę i sprawić, aby wszystko pozostałe się nie rozpadło - stwierdził ponuro. - Panie Thorhill, to absolutnie niewykonalne.

Prawnik nic nie odpowiedział, przełożył jedynie kilka leżących przed nim na biurku kartek.

- Co na to moja ciotka?

- Lady Helena posiada trochę własnych pieniędzy. Płaciła zresztą ostatniemu markizowi, pańskiemu bratu, sto funtów rocznie na swoje utrzymanie. Ponadto oświadczyła niedawno, że pokryje wydatki na guwernantkę dla panny Arabelli, jeśli będzie ją mogła sama wybrać.

- A jak odbywało się to do tej pory? - Lysander podniósł wzrok na mecenasa.

- O ile się orientuję, lord Alexander osobiście wybierał te panie - odparł prawnik i kaszlnął dyskretnie. - Wydaje się, że nie było to dobre rozwiązanie.

- Mogę to sobie wyobrazić - skomentował sucho Lysander. Miał jeszcze w pamięci swoją wizytę w domu tuż po pogrzebie ojca i obraz

ładniutkiej istoty z przyklejonym bezmyślnym uśmiechem, która przy stole nieustannie wybałuszała oczy na jego brata. Bóg jeden wie, jaki wpływ miało to na małą Arabelle...

Mężczyzna zamilkł na dłuższą chwilę i wpatrując się w brandy niespodziewanie ujrzał przed sobą, miast czekających go problemów, wyraziste niebieskie oczy i drżące dziewczęce usta. Odstawił gwałtownie kieliszek.

- A zatem, czy mamy jeszcze coś do sprzedania? - zapytał oschle.

Prawnik zawahał się na moment, odchrząknął i spojrział nieśmiało na niewzruszoną postać.

- Słucham!

- Milordzie - zaczął Thorhill. - Może pan uważać to za poufałość, ale... służyć pańskiej szacownej rodzinie już od wielu lat, tak samo lojalnie jak mój ojciec...

- Mów dalej, słucham. - Markiz niecierpliwie pochylił się do przodu.

- Zastanawiałem się, czy... naturalnie, nie sugerowałbym czegoś takiego, gdyby sytuacja nie była krytyczna, ale... - mecenas znowu się zawahał, wciąż niepewny, czy powinien kontynuować.

- Pomińmy twoje skrupuły - wtrącił Lysander. - Co masz na myśli?

- Matrymonium. Odpowiedni związek, markizie.

- Małżeństwo! - powtórzył bezwiednie. - Dobry Boże, Thorhill, chyba postradałeś zmysły! Kto, u licha, zwiąże się z człowiekiem mającym niepewne dziewięćset funtów rocznie, a na dodatek górę długów?

- A tytuł? Wszak jest pan markizem - przypomniał prawnik.
- Śmiem wątpić, czy zaszczyt zostania markizą wart jest tych pięćdziesięciu tysięcy funtów, które miałyby nas wyciągnąć z długów! Nie wspomnę już o pieniądzach potrzebnych na remonty. To szalenie pochlebne, Thorhill, ale jakoś nie mogę sobie wyobrazić, aby aż tak ceniono sobie mój tytuł.
- Nie byłbym tego taki pewny, proszę pana.
- A ja tak! Kilka co bardziej przewidujących mateczek dało mi to wyraźnie do zrozumienia.
- Naturalnie, ma pan na myśli osoby z towarzystwa. Ale...
- Chcesz powiedzieć, że powinienem wziąć sobie za żonę dziewczynę z gminu? - Szczupła twarz markiza stężała w nagłym gniewie. Jego ciemne, przysłonięte opadającymi powiekami oczy spoglądały z pogardą znad arystokratycznego nosa.
- Pośród mieszczaństwa nie brak dorodnych i nader posażnych panien
- ciągnął Thorhill. - Niejedna z nich otrzymała staranne wykształcenie. Nie sądzę również, by były nietaktowne czy źle wychowane.
- Niedoczekanie, żeby Candover żenił się z córką jakiegoś kupczyka! - wykrzyknął Lysander. - Nie! Musi istnieć inny sposób na wybrnięcie z kłopotów.
- Pan wybaczy, milordzie, ale nie ma innego wyjścia.

Lady Helena Candover, siostra trzeciego markiza, wyznawała pogląd,

że jako długoletnia rezydentka Candover Court oraz faktyczna opiekunka swojej bratanicy Arabelli, a nade wszystko jedyna osoba w rodzinie utrzymująca z własnych środków, ma pełne prawo wtrącać się w sprawy bratanka. Wysoka, szczupłej budowy, o kanciastych rysach twarzy i charakterystycznym, szorstkim głósie, niezmordowanie przemierzała pełne przeciągów korytarze Candover Court wraz z gromadą przeróżnych małych i wiecznie szczekających czworonogów. Od najmłodszych lat przerażała okoliczną szlachtę surowością charakteru. Młodzieńcy z duszą na ramieniu prosili ją do tańca, niepewni, czy przypadkiem nie staną się ofiarą jej ciętego języka. Od kiedy jednak; skończyła pięćdziesiątkę, uważano ją już jedynie za ekscentryczkę. Jednakowoż cała ta niemiła otoczka kryła prawdziwie złote serce. Ponadto czcigodna matrona jako jedyna - cieszyła się względami i zasłużonym szacunkiem panny Arabelli.

Przez lata lady Helena patrzyła z rosnącym niepokojem na rujnujące majątek poczynania brata, a już z prawdziwą rozpaczą na zachowanie lorda Alexandra. Gdy do Candover Court dotarła wieść o jego śmierci, pierwszą jej reakcją były słowa:

- Dziękować Bogu! Teraz Lysander weźmie sprawy w swoje ręce.

Nie znaczy to, iż pokładała w nim zbyt wielkie nadzieje, wiedziała jednak, że przynajmniej on postępuje uczciwie i pomimo trwonienia pieniędzy na hazard i kobiety, potrafi się na razie sam utrzymać. Już choćby to, że w odróżnieniu od swojego brata i ojca nie zwraca się do

niej wciąż o pożyczkę, napawało ją optymizmem.

Maskując zgryźliwością swoje zatroskanie, uważnie obserwowwała, jak Lysander spędza pierwsze tygodnie zamknięty z Thorhillem w swoim gabinecie, i stara się uporządkować napływające zewsząd wezwania do zapłaty. Najwyraźniej usiłował rozwiązywać problemy, zamiast brnąć w coraz gorsze bagno. Po jakimś czasie młody dziedzic wrócił do Londynu, aby sprawdzić, jak tam się sprawy mają. Nie minęło kilka dni, a lady Helena odprawiła psy i z miną, jakby zamierzała ruszyć z odsieczą i ratować ocalałe resztki fortuny, wezwała woźnicę. Dla dobra rodziny musi przemówić bratankowi do rozsądku!

Nie zwlekając dłużej, pożegnała się z Arabellą, wsiadła do zabytkowego powozu, który nie wyjeżdżał ze stajni w Candover Court od pięćdziesięciu lat, i ruszyła do londyńskiej posiadłości Lysandra.

Po długiej i męczącej podróży, doznawszy kolejnych upokorzeń, kiedy pobierający opłaty na rogatkach i przewoźnicy poczty otwarcie wyśmiewali jej wiekowy powóz, dotarła w końcu na Berkeley Square.

Tego wieczora było już za późno na spotkanie z bratankiem i lady Helena z ulgą udała się na spoczynek.

- Timson, chyba się starzeję - powiedziała w drzwiach do lokaja. - Przejechałam niespełna pięćdziesiąt mil, a czuję, jakby moje kości się rozsypywały. Zobaczę się z markizem jutro rano.

Cieszę się z twojego przyjazdu, ciociu Heleno - oznajmił Lysander z

uśmiechem, acz niezupełnie szczerym, następnego dnia przy śniadaniu. - Nie bardzo wiem, w jaki sposób mam cię tu zabawić. Jestem ogromnie zajęty załatwianiem tych strasznych rachunków.

- Nie żartuj, młodzieńcze, wcale na to nie liczę. Przyjechałam, bo chcę porozmawiać z tobą w ważnej sprawie - odparła krótko ciotka.

Lysander, zaintrygowany, uniósł lekko brwi.

- Thorhill pokrótce nakreślił mi sytuację. Mój drogi, nie patrz tak na mnie, proszę cię. Ten człowiek zajmuje się także moimi finansami, dobrze o tym wiesz.

Lysander przytaknął głową.

- Według mnie masz dwa wyjścia: albo sprzedasz Candover, a wtedy wyjadę z Arabellą do Bath lub innego obrzydliwego kurortu, albo zrobisz rzecz o niebo rozsądniejszą, a mianowicie bogato się ożenisz.

- Na temat tej drugiej możliwości wypowiedziałem się aż chyba dostatecznie jasno - odrzekł Lysander chłodnym tonem. - Jeśli zaś sprzedam Candover, będzie nas stać na urządzenie się w Londynie w zupełnie znośnych warunkach.

- Bardzo wątpliwe - wtrąciła lady Helena niecierpliwie. - Ta posiadłość nie jest warta złamanego grosza. Dom się rozpada ze starości, a i majątek znajduje się w opłakanym stanie. Wątpię, aby najlepsza z ofert mogła pokryć cokolwiek ponad obecne długi. Jeśli będziesz miał trochę szczęścia, zostanie ci co najwyżej z tysiąc funtów dla Arabelli, Candover zaś nigdy już do ciebie nie wróci, gdy się go pozbędziesz, to

na zawsze.

- Wiem o tym, ciociu Heleno - rzekł Lysander łagodniejszym tonem. Ze zmęczeniem potarł czoło dłonią. - Myślisz, że się nad tym nie zastanawiałem? Ale ożenić się z córką jakiegoś handlarza...

- Teraz zachowujesz się doprawdy niemądrze. Spójrz na lorda Yelvertona, jego żona pochodzi z rodziny robiącej interesy w Kompanii Wschodnioindyjskiej. Słyszałam, że porządna z niej kobieta.

- W takim razie lord jest szczęściarzem.

- Nic podobnego, drogi bratanku, okazał się tylko rozważny.

Lysander westchnął ciężko, a lady Helena popatrzyła na niego z nadzieją. Thorhill nie omieszkał opowiedzieć o jego pierwszej reakcji na propozycję małżeństwa. Może jej starania okażą się bardziej skuteczne? Otworzyła torebkę.

- Mam tu trzy nazwiska niewiast, a nie wątpię, że mogłoby ich być o wiele więcej. Jednak mnie i panu Thorhillowi te wydają się najbardziej obiecujące. Niekoniecznie chodzi nam o najbogatsze panny, lecz o najbardziej odpowiednie. Nie chcielibyśmy widzieć panoszącej się na dworze Candover jakiejś pospolitej czy wręcz wulgarnej osoby.

Lysander milczał.

- Mój drogi, oto lista kandydatek. Zapewniam, że wszystkie trzy mają maniery i gusty pasujące do wyższych sfer.

- A jak, u licha, miałbym się zdecydować, ciociu Heleno? - spytał mężczyzna z irytacją. - Do diabła, to nie obstawianie wyścigów

konnych!

- Bzdura, widzę nawet spore podobieństwo. Ale do rzeczy. Pierwsza w kolejce to panna Grubb, jedyne dziecko Thomasa Grubba. Zdaje się, że zbił niezły majątek na ostatniej wojnie. W każdym razie jest uważany za bardzo szanowanego obywatela. Panna Grubb odebrała staranne wykształcenie w Akademii Milsom w Bath, gdzie została dobrą przyjaciółką lady Anny Hope. Ma wyjątkowo bystry umysł, jest dobrze zorientowana w świecie i kieruje się w życiu odpowiednimi zasadami.

- O mnie zaś można powiedzieć wszystko poza tym, że jestem dobrze zorientowany - mruknął Lysander. - Ponadto nie ukrywam, że nie przestrzegam żadnych zasad. Świetnie znam ten rodzaj kobiet: paradują w szkaradnych kapeluszach i odwiedzają na okrągło biednych i potrzebujących.

- Nie zaprzeczysz, że to bardzo właściwe zachowanie - zauważyła lady Helena. - Będzie mogła składać wizyty wieśniakom w Abbots Candover.

- Mów dalej, kto następny?

- Pani Meddick, wdowa po znanym bogaczu.

- Dobry Boże, a ile ona może mieć lat? Stary Meddick umarł po siedemdziesiątce!

- Pani Meddick to jego druga żona i wierz mi, o wiele młodsza. Może być o rok starsza od ciebie, tak czy owak to mało znacząca różnica. Otóż pani Meddick... - Ciotka celowo zawiesiła głos - jest szacowana na

ćwierć miliona fantów!

- Wątpię, aby interesował ją związek ze stojącym na skraju bankructwa markizem. Z takim majątkiem może sobie kupić kogoś lepszego!

- Błagam cię, nie bądź taki sarkastyczny. Zdaniem Thorhilla jest to wielce prawdopodobne.

- A trzecia kandydatka?

- To niejaka panna Hastings-Whinborough. W spadku po ojcu, który zajmował się handlem, otrzymała niedawno okrągłą sumkę stu tysięcy funtów. Mówiono mi, że ma dość nieciekawą matkę, ale dziewczyna uchodzi za piękną i o słodkim usposobieniu.

Ciotka nie uznała za stosowne wspomnieć, że osobiście poczytuje pannę za intelektualistkę. Trzeba jednak nadmienić, iż dla lady Heleny każdy, kto zadawał sobie trud przeglądania (niekoniecznie czytania) czegoś więcej poza *Observerem* czy *Przeglądem Sądowym*, zaliczał się do grona ludzi nadzwyczaj inteligentnych.

Nastąpiła chwila przerwy, po czym markiz zaśmiał się krótko.

- I co mam na to powiedzieć, ciociu Heleno? Jedno jest pewne, wolę mieć żonę młodszą od siebie i nie interesują mnie wdowy, więc pani Meddick nie wchodzi w grę. Ponadto nie mógłbym poślubić kobiety o nazwisku Grubb, trzymającej się kurczowo zasad, które ja uważam za nudziarstwo! Pozostaje nam więc jedynie śliczna panna Harding-Whortleberry czy jak jej tam.

- Nareszcie rozumiesz rozsądnie. - Ciotka pokiwała z aprobatą

głową.

- Jednak jeśli już mam się żenić dla pieniędzy, muszę przynajmniej zobaczyć, jak prezentuje się ta dziewczyna. Inaczej w jaki sposób, do diabła, miałbym podjąć decyzję?

- Zostaw to mnie - oświadczyła lady Helena. - Niech pomyślę, Hastings-Whinborough... wątpię, aby jej matka należała do któregoś z komitetów charytatywnych. Ale to głupstwo, popytam się!

Tydzień później nic nie podejrzewająca Clemency Hastings - nie używała, jak jej matka nazwisk Hastings-Whinborough uważając to za fanfaronadę - spędzała poranek wraz z dwiema przyjaciółkami. Mary i Eleonor Ramsgate. Zawsze z wielką ulgą opuszczała dom, bo choć starała się być usłużną córką, nie potrafiła wzbudzić w sobie miłości. Pani Hastings-Whinborough miała zbyt Ograniczony i owładnięty zazdrością umysł, aby zostać przyjaciółką córki. Mimo wszystko pierwszy rok po śmierci ojca minął im w miarę spokojnie, bowiem Clemency za bardzo rozpaczała, aby wziąć na siebie nowe komplikacje i stawić czoło matce. Ta zaś skupiła całą uwagę na ścisłym przestrzeganiu żałoby i sprawdzaniu, czy aby czerń licznych toalet pasuje do jej jasnych włosów.

Z początkiem drugiego roku dzielna wdowa (odziana już w olśniewający strój w kolorze lawendowym i perłowym) robiła wszystko, aby zdobyć względy niejakiego Aldermana Henry'ego

Bakera, znanego powszechnie wroga kobiet. Owładnięta nową pasją, wzięła sobie za punkt honoru zaciągnięcie go do ołtarza, przekonana, że to dla niego najlepsze wyjście. Realizacja tego celu zajęła ją całkowicie i Clemency mogła bez przeszkód poświęcać się swoim zainteresowaniom - spędzała czas na lekturze ulubionych książek i odwiedzała przyjaciół. Alderman Baker od pięćdziesięciu lat cieszył się stanem kawalerskim i jego awersja do małżeństwa była już przysłowiowa. Zakładano się nawet, co zwycięży - mizantropia Bakera czy zacięty upór wdowy. Gdyby Clemency o tym wiedziała, bez wahania postawiłaby na matkę. Jej nieustępliwość i żelazna wola, by za wszelką cenę dopiąć swego, niejednokrotnie w przeszłości obezwładniały zarówno Clemency, jak i jej ojca. Nagle, przez przypadek bądź też zrządzenie losu, Alderman Baker zmarł na apopleksję i pani Hastings-Winborough ponownie skupiła swą uwagę na córce.

Choć nie mówiła otwarcie, że obecność w domu młodszej, atrakcyjniejszej i niewątpliwie mądrzejszej kobiety jest jej niemiła, to już same aluzje wystarczyły, by Clemency czuła się w jej obecności nieswojo i niezręcznie. Z ogromną ochotą przystała więc na możliwość spotkania się z Mary i Eleanor.

Panny Ramsgate były żywymi, bezpretensjonalnymi brunetkami o śmiejących się oczach - Mary czarnych, a Eleanor szarych. Dziewczęta miały jeszcze trzech braci i młodszą siostrę, a ich dom od rana do wieczora pulsował życiem i wesołością. Clemency uwielbiała tam

zachodzić, a i ją witano zawsze z wielką radością - pani Ramsgate uważała, że ma dobroczynny wpływ na jej niesforne córki.

Gdy tylko się zjawiła, otoczyły ją zaaferowane Mary i Eleanor i bezceremonialnie wciągnęły do salonu.

- Chodź! - Eleanor ścisnęła jej rękę. - Powiedz nam! Od paru dni umieramy z ciekawości.

- O czym mam wam opowiedzieć? - zapytała zaskoczona dziewczyna.

- O markizie, ma się rozumieć - wtrąciła Mary, odkładając płaszcz i kapelusz przyjaciółki na najbliższy fotel.

- Jakim markizie?

- Clemmie, tylko nie udawaj tępej, błagam.

- Ale skąd. Mary, mówię prawdę. Nie mam pojęcia, o co wam chodzi.

- O markiza, którego masz wkrótce poślubić.

- Małżeństwo?!

Clemency zbladła, a ręce zaczęły się jej tak trząść, że Eleanor szybko poprosiła siostrę o przyniesienie wody.

- Wyglądasz tak mizernie, przepraszam, jeśli cię zmartwiłyśmy - rzekła Eleanor i poklepała przyjaciółkę pocieszająco po dłoni. - Naprawdę myślałyśmy, że wiesz o wszystkim.

- Chyba powinnyście mi o tym opowiedzieć - wyszeptała Clemency słabym głosem. Z wdzięcznością wzięła od Mary szklanekę z wodą. - Kto rozpowiada takie rzeczy? Mama o niczym mi nie wspomniała.

- Zapewne wiesz, że nasze matki są w Komitecie przygotowującym

obchody Dnia Świętego Piotra? - Eleanor usiadła koło niej.

Clemency kiwnęła głową.

- W zeszłą środę zjawił się u nas nie kto inny jak sama pani Durham w towarzystwie pewnej damy, która okazała się ciotką markiza Storringtona! Nie pamiętam jej nazwiska, w każdym razie długo rozmawiała z twoją matką. Zgadnij o czym, ty szczęściaro!

- No nie!

- Ależ tak!

- Jednak... dlaczego ja? Nawet go nie widziałam - wyjąkała. - Czemu nie wybrał któregoś z was?

- Naturalnie, że to musisz być ty! - krzyknęła Mary czule, wstała i ucałowała serdecznie przyjaciółkę. - Jesteś najpiękniejszą dziewczyną, jaką znam!

- Pewnie jak zwykle chodzi o pieniądze - skwitowała Clemency z westchnieniem.

- Clemmie! Jak możesz! - oburzyła się Mary. - To oczywiste, że potrzebuje pieniędzy, ale czy to taka hańba? Dopiero niedawno odziedziczył majątek, a z tego, co mi wiadomo, jego ojciec miał przeogromne wydatki. Mama opowiadała nam, że stracił dwadzieścia tysięcy w jeden wieczór. Ale to nie wina obecnego markiza.

- Być może, ale podobne skłonności są najczęściej dziedziczne - odparła Clemency z wahaniem.

- Co z tobą? - zdumiała się Eleanor. - Nie cieszysz się, że zostaniesz

markizą?

- Zdaje się, że nie mam z czego, skoro przyszły mąż ma zamiar szastać moimi pieniędzmi jak własnymi! - odparła ostro Clemency. Jej policzki znów się zaróżowiły.

- Twój prawnik na pewno cię zabezpieczy, jestem tego pewna.

- Ten markiz jak właściwie się nazywa? - westchnęła w końcu dziewczyna.

Eleanor podeszła do biblioteczki i wyjęła zeń opasły tom.

- Niech się zastanowię. To wydanie zeszłoroczne, więc nowy markiz będzie najstarszym synem. O, już mam! Storrington, tak, nazywa się Alexander d'Evnecourt Ludovic Theobald.

- Co za nazwisko!

- Mogłabym cię za to stłuc na kwaśne jabłko, Clemency! Zaproponowano ci wspaniałą partię, a ty zachowujesz się jak grymaśne dziecko.

- Może jakiś inny kawaler zawładnął jej sercem? - droczyła się Mary.

- Nn... nie - Clemency zaczerwieniła się po uszy.

- Nie zabrzmiało to zbyt przekonująco - zauważyła Eleanor, zamknęła książkę i przyjrzała się uważnie przyjaciółce

Clemency przybrała bardziej stanowczy wyraz twarzy. Chociaż uwielbiała obie siostry, wiedziała, że są potwornymi plotkarkami. Gdyby zdradziła się choć jednym słowem o zdarzeniu w Richmond Park, nie byłoby końca rozważaniom na ten temat.

- A w ogóle skąd o tym wszystkim wiecie? - zapytała żywo.

- Twoja matka opowiedziała naszej, oczywiście w najgłębszej tajemnicy - zachichotała Mary. - Na szczęście akurat stałyśmy z Eleanor w przedpokoju.

- Ustawiałyśmy kwiaty - poprawiła ją siostra.

- Naturalnie trudno było nie podsłuchać, prawda, Nell?

- Kiedy to było?

- We wtorek.

Dzisiaj jest czwartek. A więc matka nie zamierzała jej o tym powiedzieć, mimo że miała ku temu stosowną okazję, pomyślała z irytacją Clemency. Wydało się jej, że zna motywy, jakimi kierowała się rodzicielka - była to mieszanina zazdrości, urazy i ambicji towarzyskich. W żadnym razie nie zgadzały się one z zasadą ojca, która brzmiała: „Jeśli będzie kochał moją córkę oraz ciężko i uczciwie pracował, nieważne, skąd pochodzi”.

- Wierutne bzdury, panie Hastings - rzekła na to matka. - Z pewnością chciałbyś zapewnić córce wszystko, co najlepsze.

- Moja droga, nasza Clemency nie jest eksponatem na wystawie zwierząt - odciął się wówczas pan Hastings, spoglądając znacząco znad okularów.

Teraz, kiedy matka postanowiła wyjść ponownie za mąż, i to w tak nieprzyzwoicie szybkim tempie, Clemency odebrała to jako rażący brak szacunku dla ojca i uwłaczanie jego pamięci.

Opuściła dom Ramsgate'ów głęboko zamyślona. Kochany tatuś, był dla niej zawsze taki dobry. Nigdy też nie poparłby takiego związku, zwłaszcza bez uprzedniej rozmowy i uzyskania zgody córki.

Pani Hastings-Winborough była wyblakłą blondynką tuż po czterdziestce, której włosy zawdzięczały swój jasny kolor bardziej talentowi fryzjera aniżeli naturze. Jej twarz, kiedyś uważaną za ładną, mącił teraz przykry grymas gniewu i rozdrażnienia. Nie była też na tyle inteligentna, aby zdać sobie sprawę, że do jej wieku i pozycji bardziej pasuje dojrzały styl ubierania. Gdy skończył się okres żałoby, zaczęła się stroić w dziewczęce róże i błękity, kultywując swój rzekomo młodzieńczy urok. Uwielbiała, kiedy posądzano ją, że jest starszą siostrą Clemency.

- Biedna mała, taka cicha i pogrążona w książkach - świergotała do ucha jednemu z przyjaciół męża. - Czasem wydaje mi się, że lepiej się bawię i czerpię więcej radości z tańców i przyjęć niż ona!

- Zapewne, droga pani - odparł starszawy wielbiciel, wiedząc, że nie może dać innej odpowiedzi. - Pani pod każdym względem prześciga córkę, proszę mi wierzyć!

Lady Helena poznała panią Hastings-Winborough za pośrednictwem pani Durham i od razu odniosła wrażenie, że ma do czynienia z wyjątkowo głupią kobietą. Przy okazji potwierdziła pogłoski o nieprzeciętnej urodzie córki i wysokości posagu. Jednakże wiedziała, że

jeśli panna Hastings-Whinborough okaże się równie ograniczona jak jej matka, to nic nie wyjdzie z najbardziej misternych planów. Z drugiej strony uroda dziewczyny może zachęcić do ożenku jej bratanka - znanego konesera kobiecych wdzięków. W każdym razie, jeżeli tylko Lysandrowi uda się zaciągnąć pannę do ołtarza i zapewnić rodzinie nowego dziedzica, nie będzie miało większego znaczenia, że zostawi ją później w Candover. To może w istocie okazać się lepszym rozwiązaniem niż narażanie pięknej, acz głupiutkiej i nie obeznanej ze zwyczajami socjety panienki na ataki każdego eleganta w mieście.

Tak też rozmawiała lady Helena, a tymczasem pani Durham zaprowadziła ją wraz z panią Hastings-Whinborough do małego pokoiku na tyłach plebani i zostawiła je tam dyskretnie na rozmowę w cztery oczy. Lady Helena obserwowała z ponurym rozbawieniem, jak jej towarzyszka stroi dziwaczne pozy, poprawia włosy i falbanki przy sukni i bezustannie demonstruje kolekcję drogich pierścionków.

- Przysięgam, lady Heleno, nie mam pojęcia, dlaczego pani chce ze mną rozmawiać. - Przebiegła w pamięci listę książąt, hrabiów i lordów, dochodząc w końcu niechętnie do jakiegoś zabłąkanego markiza. Bratanek lady Heleny Candover - że też nie potrafiła od razu skojarzyć...

- Nie marnujmy zatem czasu - wtrąciła obcesowo lady Helena, chcąc jak najszybciej zakończyć ten nudny interes i wrócić do Candover, zanim się oszczeni jej ulubiona suczka Millie. - Słyszałam, że ma pani

piękną córkę.

- Och, tak, milady! Ma dopiero dziewiętnaście lat i nie dałaby pani wiary, jaka jest słodka.

Z pewnością, pomyślała sarkastycznie lady Helena.

- Pani Hastings-Whinborough, chodzi o to, że mój bratanek szuka odpowiedniej żony. Jest ostatnim markizem Storrington.

Wdowa westchnęła i uniosła wzrok w stronę sufitu.

- Ci niepoprawni młodzieńcy, zawsze ociągają się z ożenkiem... - Uśmiechnęła się nieszczercze i pomachała palcem. - Moja córka, poza urodą, posiada też piękny posag w wysokości stu tysięcy funtów. Naturalnie, nie będzie mogła nim rozporządzać aż do dwudziestego piątego roku życia, chyba że do tego czasu wyjdzie za mąż, ma się rozumieć, za zgodą moją i naszego prawnika, pana Jamesona.

- Ufam, że propozycja związku córki z markizem uzyska pani całkowite poparcie. - Lodowaty głos lady Heleny przeciął powietrze.

- Ależ, milady, nie śmiałabym nawet sugerować... - wyjąkała zdetonowana rozmówczyni. - Chciałam jedynie... Naturalnie, moja córka byłaby wielce zaszczyconą, gdyby wybór jego lordowskiej mości przypadkiem padł na nią. Jako markiza...

- Niestety - ciągnęła lady Helena, zadowolona, że pokazała pani Hastings-Whinborough, gdzie jej miejsce. - Mój bratanek wraz z tytułem odziedziczył również długi ojca. Jednak mogę pośpieszyć z wyjaśnieniem, iż on sam nie jest rozrzutnikiem. - Nie uważała za

konieczne dodać, że jego szczęście w grze w karty uważane jest powszechnie za fenomenalne. - Tak więc mój bratanek ma szczerą nadzieję uratować od bankructwa rodzinną posiadłość, zapewnić utrzymanie młodszej siostrze i zarządzać majątkiem sprawnie i z dużym zyskiem. Pani Hastings-Whinborough, nie ukrywam, że obecne okoliczności nie pozwalają mu wybrać żony spośród dam równych mu stanem. Gdyby tak było, nasza rozmowa nie miałaby w ogóle miejsca!

- Całkowicie to rozumiem, milady - odparła wdowa z szacunkiem, uświadomiwszy sobie z całą ostrością, że być uważaną za niegodną markiza jest nieodwracalnym piętnem w towarzystwie.

Lady Helena uśmiechnęła się miło. Dopóki było wystarczająco jasne, kto komu robi zaszczyt w proponowanym związku, mogła traktować całą sprawę z wyniosłą pobłażliwością.

- Jak pani słusznie zauważyła, pani Hastings-Whinborough, młodzi mężczyźni wykazują irytującą opieszałość, gdy idzie o kwestię małżeństwa. Proponuję zatem zaaranżować spotkanie młodych w sposób jak najbardziej nieformalny. Jeśli pani się zgodzi, przywiozę mego bratanka w najbliższy piątek na herbatkę. Będzie miał okazję poznać pani córkę bez składania jakichkolwiek deklaracji. - Zaległa chwila ciszy. - Co więcej, ufam, iż także nieformalne spotkanie może ułatwić wzajemną prezentację, a nawet sprawić, że się polubią. - Lady Helena zawahała się na moment. - Mój bratanek jest człowiekiem nader niezależnym i sam rozporządza swoim losem. Byłoby lepiej, gdyby

panna Hastings-Whinborough nie wiedziała zawczasu o celu naszej wizyty. Nie chciałabym jej wprowadzić w przykre zakłopotanie, jeśli jego lordowska mość nie zaakceptuje kandydatury. Bo nawet ja, droga pani Hastings-Whinborough, nie mogę zmusić go do małżeństwa!

Wdowa milczała i tylko wydeła usta. Nie miała zamiaru postąpić zgodnie z życzeniem lady Heleny. Już ona zmusi Clemency do uległości! Krnąbrna panna, pozostawiona sama sobie, z pewnością pojawi się w jakiejś niepozornej sukieneczynie z batystu, z włosami związanymi zwykłą wstążką, mamrocząc pod nosem. Bóg jeden wie, jakie mądrości wyczytane w książkach! A przecież nic tak nie odstrasza mężczyzn, jak kobieca inteligencja.

Musi powiedzieć o tym córce. Trzeba ją także porządnie ubrać i uczesać, najlepsza będzie nowa różowa suknia. Przede wszystkim zaś należy ją nauczyć szacunku dla opinii markiza.

Pani Hastings-Whinborough wstała i dygnęła lekko w uznaniu łaskawości lady Heleny. Zapewniła jeszcze, że nie musi się niczego obawiać, bowiem jej kochane dziecko jest należycie wychowane.

Lady Helena stłumiła w zarodku nasuwające się złe myśli.

Niestety, spełniły się najgorsze przeczucia Clemency. W czwartkowy wieczór siedziała w salonie ze spuszczoną głową i wpatrywała się nieobecny wzrokiem w swoje hafty, starając się powstrzymać drżenie rąk.

A zatem wszystko zostało uzgodnione, jak powiedziała matka. Ma się odpowiednio uczesać - mama zaprosiła w tym celu swoją fryzjerkę Adelę - i włożyć tę okropną różową suknię z jedwabiu. Ponadto dowiedziała się, że nawet ciotka markiza pochwała ten związek, a Clemency powinna być wdzięczna matce i bez względu na wszystko zgadzać się z każdym słowem markiza. A jeżeli przyszłoby jej do głowy sprzeciwić się tym życzeniom, ciągnęła pani Hastings-Whinborough, wyczuwając wrogość córki, lecz nie pozwalając jej wyrazić swojego zdania, już wkrótce tego pożałuje, ona bowiem nie zechce mieć nic wspólnego z tak wyrodną córką. Dla opamiętania się odeśle ją wtedy do Barnet, do ciotki Whinborough.

Na te słowa Clemency spojrzała z przerażeniem na wykrzywioną triumfalnym uśmiechem twarz matki. Ciotka Whinborough prowadziła pobożny, niemal ascetyczny tryb życia i była znana z surowości i nieugiętości charakteru. Clemency pamięta do dzisiaj jedyną wizytę w jej domu, gdy zobaczyła skuloną w kuchni, posiniaczoną dziewczynę, pobitą z jakiejś błahej przyczyny. Na prośbę Clemency interweniował w tej sprawie ojciec i zagroził ciotce wstrzymaniem wypłacania jej pensji, jeżeli nie zaprzestanie maltretowania służby.

Ciotka Whinborough nigdy nie zapomniała Clemency tego incydentu i matka doskonale o tym wiedziała.

- Clemency, słuchasz mnie?

- Tak, mamó - odparła posępnie dziewczyna.

- Oczekuję z twojej strony pełnego współdziałania.

Rozbierając się tego wieczoru, Clemency miała uczucie, jakby znalazła się w potrzasku. Zdesperowana, nie widziała żadnej możliwości ucieczki z tej pułapki. Z początku zastanawiała się, czy w tej sytuacji nie zdać się na łaskę i niełaskę nieznannej ciotki markiza, lecz szybko odrzuciła podobne myśli. Do sypialni weszła pokojówka Sally i zdumiała się, gdy zastała swoją panią bladą, siedzącą w milczeniu na skraju łóżka i wpatrującą się bez celu przed siebie.

Sally, hoża dziewczyna o kasztanowych, podskakujących wraz z każdym ruchem włosach, służyła wcześniej u pewnej skąpej księżnej i często raczyła Clemency niewybrednymi opowieściami o arystokracji. Przywiązała się bardzo do swej nowej pani, która okazała się po dziesięciokroć hojniejsza niż poprzednia, a ponadto o wiele młodsza i piękniejsza.

- Pewnie już słyszałaś - odezwała się Clemency apatycznie. Pozwoliła, aby służąca zaprowadziła ją do toaletki i tak długo szczotkowała jej włosy, aż zaśniły w świetle świec.

- Słyszałam, panienko.

- A jeżeli się nie zgodzę, matka pośle mnie do ciotki Whinborough.

- Och, tylko nie to, panienko!

- Tak powiedziała.

- Ale, panienko, ten markiz - rzekła Sally po chwili wahania. - Wiem, że to nie moja sprawa, ale...

- Czyżbyś coś słyszała na jego temat?

- Och, panienko! - Sally spojrzała na odbicie smutnej twarzy Clemency w lustrze i wybuchnęła płaczem. - Nie wy szłabym za niego, nawet gdyby miał dziesięć tytułów! Księżna opowiadała mi, że markiz Alexander to istny diabeł.

- Ale... co właściwie miała na myśli?

- Krążyły opowieści... o młodych dziewczętach, które stały się jego ofiarami. Mówiono, że on je... źle traktował, wie panienka. Poza tym kiedyś zakatował prawie na śmierć swojego kamerdynera.

- Jakie to okropne!

- Oczywiście, sprawę zatuszowano.

- Jak mama mogła... - zaczęła Clemency i zamilkła. Doskonale wiedziała, jak to się odbyło. Ostatecznie markiz to markiz i nie ma potrzeby analizować cech jego charakteru.

Jeszcze długo po wyjściu Sally Clemency rozmyślała nad swym losem. Nie miała do kogo zwrócić się o radę. Prawnik ojca, pan Jameson, który zajmował się sprawami jej posagu, był łagodnym, lecz mało znaczącym człowieczkiem. Niemożliwe, aby potrafił, nawet gdyby chciał, pomóc jej wyjść z tej matni, wszak nigdy dotąd nie przeciwstawił się życzeniom matki. Co do ciotki Whinborough, która z zasady gardziła arystokratami, jako ludźmi prowadzącymi rozpustny i niegodny tryb życia, Clemency nie wątpiła, że bez wahania poprze to małżeństwo, byle tylko zyskać możliwość pogwałcenia swojej siostrzenicy.

Wtedy właśnie przypomniała sobie o kuzynce ojca, pani Stoneham, która niedawno owdowiała i mieszkała teraz niedaleko Berkhamsted. W czasach gdy żył jeszcze ojciec, Clemency odwiedziła kilkakrotnie kuzynkę Anne na probostwie - mąż jej był pastorem - i zachowała w pamięci bardzo miłe wspomnienia. Wprawdzie nie widziały się już od ładnych paru lat, lecz po śmierci ojca pani Stoneham napisała do Clemency pełen troski list i w serdecznych słowach zapraszała ją do siebie. Matka nie pozwoliła jej przyjąć zaproszenia, ale dziewczyna, w tajemnicy przed nią, utrzymywała korespondencję z kuzynką. Co prawda były to jedynie życzenia z okazji świąt i urodzin.

Clemency weszła tym sposobem w posiadanie nowego adresu pani Stoneham. Co więcej, nie sądziła, aby matka go znała, kuzynka bowiem przeprowadziła się dopiero niedawno. Clemency po stokroć zadawała sobie w myślach pytanie, czy daleka krewna zechce ją przygarnąć, gdy zjawi się u niej tak niespodziewanie, czy też natychmiast odeśle ją do matki. Tak czy owak, pomyślała z rozpaczą, przekreśli to możliwość tego przykrego związku.

Z ultimatum matki wynikało jasno, że Clemency nie ma wyboru. Musi uciec z domu, i to jak najszybciej.

2

Pani Stoneham, pięćdziesięcioletnia kobieta o przyjemnej powierzchowności i włosach lekko oproszonych siwizną, siedziała w salonie swojego domku w małej wiosce Abbots Candover i zajmowała

się szyciem, gdy rozległo się głośne pukanie do drzwi wejściowych. Podeszła do okna i ku swojemu zdumieniu ujrzała Clemency Hastings, która w ubrudzonym i pogniecionym ubraniu zsiadała właśnie z wozu. Pani Stoneham zauważyła, że nie ma bagaży - trzymała w ręku jedynie małą torbę podróżną.

- Przyjechała panna Clemency - oznajmiła w drzwiach służąca.

- Dzień dobry, kuzynko Anne. - Dziewczyna niepewnie weszła do pokoju. Była blada i wyglądała na lekko przestraszoną.

- Och, moja droga Clemency! - Pani Stoneham zbliżyła się do niej i objęła ją czule. Przybyła wybuchnęła ze zdenerwowania płaczem i przez kilka chwil słychać było jedynie żalosne odgłosy szlochu i niewyraźnie wypowiedzianych słów.

- Bessy, przynieś proszę herbatę i ciastka dla panny Clemency. - Pani Stoneham poklepała dziewczynę pocieszająco po ramieniu i spojrzała na nią z troską. - Clemency, najdroższa, jesteś cała zziębnięta. Chodź tu bliżej, usiądź i zdejmij kapelusz. Opowiedz teraz, co się stało. Mam nadzieję, że mama czuje się dobrze.

Dziewczyna kiwnęła głową i przełknęła ślinę. Trochę czasu zajęło jej naświetlenie pełnego obrazu sytuacji, ale i tak pani Stoneham ledwie mogła w to uwierzyć.

- Przejechałaś taki kawał drogi na zwykłym wozie? - zapytała. Wydawała się bardziej przejmować warunkami, w jakich kuzynka podróżowała, niż powodem, dla którego uciekła z domu.

- Tak. Bałam się, że mnie odnajdą, jeśli wynajmę powóz. Dlatego rozsądniejsze wydało mi się wybranie czegoś skromniejszego. Wuj mojej pokojówki ma małą firmę przewozową i zgodził się mnie tutaj przywieźć. Poza tym tak wyszło taniej - skończyła rzeczowo. - Nie zostało mi wiele kieszonkowego, a nie chciałam wzbudzać podejrzeń, prosząc mamę o więcej.

Pani Stoneham, której myśli przed przybyciem Clemency krążyły jedynie wokół śmierci męża, ożywiła się.

- I przyjechałaś tu sama?

- Tak, kuzynko Anne. Nie chciałam sprawiać kłopotów Sally, mojej pokojówce. Naturalnie, zostawiłam dla mamy list, ale nie powiedziałam nikomu, dokąd się wybieram. Wie o tym tylko Sally, ale jestem pewna, że mnie nie zdradzi.

- Nie powiem, nawet gdyby rozszarpywano mnie na kawałki - obiecała dziewczyna, gdy Clemency błagała ją o dyskrecję. Nawiasem mówiąc, dostała za to trzy funty, ale i bez tego dochowałyby tajemnicy. Nie dbała bowiem o panią Hastings-Whinborough, a Clemency wystawiła jej dobre preferencje na wypadek, gdyby nagle znalazła się bez pracy. Miały utrzymywać kontakt przez wuja Sally.

Pani Stoneham zaczęła się śmiać. Te śliczne błękitne oczy i złote loki kryły głowę nie od parady - dziewczyna okazała się nad wyraz inteligentna i pomysłowa. Zniszczyła nawet notes ojca z jej aktualnym adresem, wątpliwe więc, aby poszukiwania pani Hastings-

Whinborough poszły tym tropem, nawet jeśli zapamiętała, iż pani Stoneham się przeprowadziła.

Bessy przyniosła herbatę i ciastka i pani domu zauważyła z przyjemnością, że blade policzki Clemency nieco się zaróżowiły.

- Nie martw się, moja droga, nie każę ci wracać do matki - uspokoiła ją. - Coś podobnego przydarzyło mi się, gdy byłam w twoim wieku, jeszcze zanim poznałam mojego kochanego Roberta. - Tu westchnęła i ze smutkiem przyjrzała się czarnej sukni, ale zaraz podniosła głowę i ciągnęła weselszym tonem: - Nie zapomniałam obezwładniającego uczucia bezsilności i gniewu, gdy potraktowano mnie jak jakąś bezwolną rzecz. Na szczęście człowiek ten umarł, zanim urzeczywistniły się plany ślubu. Wątpię, abym się zdobyła na tyle odwagi co ty.

Clemency tymczasem trochę się odprężyła i wzięła kolejne ciastko.

- Droga Clemency, czy zdajesz sobie sprawę, że pod jednym względem wpadłaś z deszczu pod rynnę?

- Jak to? - zaniepokoiła się dziewczyna, rozglądając się wokoło ze strachem, jakby jej kuzynka chowała w szafie kolejnego wyuzdanego arystokratę.

- Nazwisko rodowe Storringtonów brzmi Candover, a my znajdujemy się właściwie w Abbots Candover, niespełna pięć kilometrów od ich rodzinnej posiadłości!

- Rzeczywiście, nie pomyślałam o tym, ale wątpię, aby mnie tu szukali.

- Ufam, że się nie mylisz. Mieszkam tu zaledwie od kilku miesięcy i jak dotąd mało kto wie, kim jestem. Naturalne, że będąc w żałobie chodziłam tylko do kościoła.

Uzgodniły między sobą, że w razie potrzeby Clemency poda się za ubogą kuzynkę, która przyjechała do ciotki dla podtrzymania jej na duchu.

Nie doceniły jednak wścibstwa okolicznych wieśniaków, skrzętnej dociekliwości pana Jamesona ani determinacji pani Hastings-Whinborough. Mały domek w Abbots Candover nie leżał na takim odludziu, jak sądziły.

Lysander, w milczeniu i z zaciśniętymi ustami pomagał lady Helenie wsiąść do powozu czekającego przed domem Hastingsów na Russell Square.

W salonie została rozhisteryzowana pani Hastings-Whinborough wraz ze służącą Adelą i ochmistrzynią, które zajęły się nią, podając na przemian to sole trzeźwiące, to kieliszek z brandy.

- Czułam, że któregoś dnia narazi mnie na taki wstyd - zawodziła. - Aby wystawić matkę na takie poniżenie! Co za hańba!

Adela spojrzała znacząco na ochmistrzynię. Obie miały wyrobione zdanie na ten temat, Sally bowiem jak zwykle nie mogła się powstrzymać i rozpowiedziała plotki. Kandydat na męża dla panny Clemency może i jest lordem, ale też obrzydliwym rozpustnikiem.

Wszyscy doskonale wiedzą, co się dzieje w domach uciechy w Covent Garden, do których jego lordowska mość nader często zaglądał i nie było służącego, który by z całego serca nie współczuł Clemency.

- Ten markiz, proszę pani... - zaczęła gospodyni ostrożnie. - Krążą na jego temat okropne pogłoski. To znany libertyn i jawnogrzesznik...

- Co za bzdury! - Pani Hastings-Whinborough wyprostowała się na kanapie i zamieniła flakon z solami na kieliszek z alkoholem. - Nic takiego nie słyszałam. A jeśli nawet, który młodzieniec nie lubi poszaleć, zanim się ustatkuje? Nie usprawiedliwiaj jej, Briggs. Clemency zachowała się nikczemnie i niegodnie. Gdy ją odnajdę, a z pewnością nastąpi to już wkrótce, będzie tego bardzo żałować. A teraz przyślij tu Sally!

Lady Helena, zamyślona, oparła się o miękkie siedzenie powozu.

- To dziwne, co takiego mogła usłyszeć o tobie ta dziewczyna? - spytała po chwili.

Lysander spojrzał na pogniecioną kartkę, którą trzymał w dłoni, i zaśmiał się szorstko:

- Nic! - odparł. - To tylko wyssane z palca wymysły pruderyjnej paniutki. Mój Boże, ciociu Heleno, być może jestem dość niestały w uczuciach, ale to nie usprawiedliwia takich bzdur! - Wygładził list i przyglądając się mu ponownie, zaczął czytać na głos:

Droga mamo,

Nie mogę poślubić markiza - nawet nie masz pojęcia, co to człowiek. Słyszałam o nim straszne rzeczy, chociaż wszystko zostało umiejętnie zatuszowane przez rodzinę. Nigdy nie wyjdę za niego, nie pojadę również do ciotki Whinborough, która bije służbę i tak znęca się nad innymi, że nawet nie mogę o tym myśleć. Odchodzę więc. Tam, dokąd jadę, będę bezpieczna, więc się o mnie nie martw. Tatuś nigdy nie Pozwoliłby na ślub z takim potworem.

C. H.

- Można mnie nazwać hulaką, ale nie potworem - skomentował te słowa Lysander.

- Z pewnością - odparła lady Helena oburzona.

- Pewnie widziała mnie w teatrze z jakąś panną. Jest tak samo głupia jak jej matka i tyle. - Zgniółł kartkę i rzucił ją z niesmakiem na podłogę.

Lady Helena zmarszczyła brwi. Poleciała wyraźnie pani Hastings-Whinborough, żeby nie wyjawiała córce ich planów. Przypuszczalnie jednak wizja uczynienia córki markizą była dla niej zbyt kusząca, żeby zachować dyskrecję.

- I nie proponuj mi już więcej żadnej panny Grubb ani bogatej wdowy na żonę - dodał Lysander zmęczonym tonem. - Zostałem już wystarczająco dotkliwie upokorzony. Muszę porozmawiać z Thorhillem, a potem pojadę do Candover, aby zrobić tam porządki, zanim wystawię posiadłość na sprzedaż. Ciociu Heleno, obawiam się, że wraz z Arabellą będziesz musiała zdecydować się na Bath.

Kilka dni później Clemency siedziała w saloniku z panią Stoneham. Starsza obszywała na nowo prześcieradła, Clemency zaś cerowała małą dziurkę w poszewce. Na pobliskim krześle piętrzyła się sterta naprawionej już bielizny.

- Minęło pięć dni! Sądzisz, że jestem już bezpieczna? - zapytała dziewczyna.

- Nie wiem, moja droga - odparła pani Stoneham, patrząc na nią bacznie znad robótki. - Twoja matka na pewno nadal cię szuka, a ty chyba nie chcesz bezpowrotnie zniknąć z tego świata? Naturalnie, będziesz u mnie zawsze mile widziana, ale musimy się również zastanowić, co dla ciebie najlepsze, jeżeli chodzi o najbliższą przyszłość. Jak wiesz, prowadzę bardzo skromne życie. Do pomocy w domu mam jedynie Bessy, poza tym niejaki Simon, syn pani Wills, przychodzi z wioski do pielęgnacji ogrodu. Nie jesteś przyzwyczajona do takiego życia.

- Za to przywykłam, by mnie ignorowano i dręczono - stwierdziła z goryczą dziewczyna. - Nieustannie mówi mi się, co mam włożyć, o czym wolno mi myśleć i za kogo powinnam wyjść za mąż! Od śmierci taty nie pamiętam ani jednego przypadku, by mama mnie posłuchała, nie wspominając już o poważnym traktowaniu na co dzień.

- Wiem o tym. Dlatego też zgodziłam się na twój pobyt. Obawiam się, że Amelia nie powinna była nigdy zostać matką. Ale, droga Clemency, masz już dziewiętnaście lat i świat z pewnością przewidział dla ciebie

więcej atrakcji niż cerowanie bielizny ubogim krewnym! Moja kochana, w żadnym razie nie jesteś dla mnie ciężarem, nawet tak nie myśl, mimo wszystko jednak trzeba ci zapewnić odpowiednią przyszłość.

- Na razie pisane mi jest wyjście za hulakę markiza bądź też pobyt u ciotki Whinborough. Zacznę dysponować swoim posagiem dopiero po ukończeniu dwudziestego piątego roku życia, a prawdę mówiąc, nie wyobrażam sobie spędzenia sześciu długich lat z ciotką Whinborough. Chyba mnie rozumiesz, kuzynko Anne?

Prywatnie pani Stoneham była zdania, że przed upływem sześciu lat do tak pięknej dziewczyny z pewnością ustawią się tłumy młodzieńców, gotowych ją ocalić. Zdecydowała, że nie będzie jej teraz ponaglać, ale może za miesiąc skontaktuje się z matką i spróbuje wynegocjować warunki powrotu do domu.

Następnego dnia wypadła niedziela i obie panie ruszyły do kościoła, położonego kilometr od ich domku. Przyszły nieco wcześniej i zajęły miejsca z tyłu, w ławce należącej do gospodyni pani Stoneham.

- Może zobaczymy lady Arabellę Candover - szepnęła pani Stoneham.
- Wątpię, by zjawili się pozostali członkowie rodziny. Zdaje się, że markiz i lady Helena przebywają jeszcze w Londynie.

Na wzmiankę o nich Clemency nasunęła nerwowo kapelusz na czoło. Wtem usłyszały za sobą ruch - oto do kościoła weszła rodzina Candover wraz ze świtą.

- Lady Arabella. - Pani Stoneham cicho wskazała drobną i pełną życia

brunetkę idącą na przedzie. Ubranie pasowało do jej świeżej, młodzieńczej urody - biała batystowa sukienka falowała lekko przy każdym kroku, a włosy, związane skromnie z tyłu, wychylały się niesforne spod białego, słomkowego kapeluszu. Na tym jednak kończyło się podobieństwo do pensjonarki, nic bowiem nie mogło zamaskować dojrzałych kształtów dziewczyny ani śmiałego spojrzenia, rzuconego w stronę przystojnego syna farmera. Arabella najwyraźniej z trudem poddawała się wszelkiej kontroli i obecność starszej opiekunki, idącej za nią jak troskliwa kwoka, zdawała się nie mieć na nią żadnego wpływu. Gdy mijaly Clemency, ta usłyszała rzucone niedbale słowa:

- Och, Laney, przestań wreszcie wydziwiać. - Arabella spostrzegła dziewczynę, zaintrygowana, popatrzyła na nią przez moment, później skinęła rękawiczką w stronę pani Stoneham i ruszyła żwawo dalej.

- Dobry Boże! - pani Stoneham wciągnęła gwałtownie powietrze. - Nadchodzi lady Helena!

- Nie może mnie zobaczyć! - szepnęła Clemency ze spuszczoną głową.

- Nie żartuj, a czemużby nie? Jesteś moją kuzynką, która przyjechała w odwiedziny. Co w tym złego?

- A moje nazwisko? Może się spytać, jak się nazywam!

- Wątpię, aby w ogóle zechciała z nami rozmawiać - odparła przygnębionym tonem ciotka Anne. - Rzadko i kiedy zatrzymuje się przy obcych.

Dzwony przestały dzwonić, spóźnialscy zajęli ostatnie miejsca i lady

Helena wielkopańskim skinieniem głowy dała znak do rozpoczęcia uroczystości. Msza była krótka, bowiem proboszcz, nauczony przykrym doświadczeniem poprzednika, skracał uroczystość do niezbędnego minimum. Pierwszy pastor, przedłużając kazanie do czterdziestu pięciu minut - dla lady Heleny wystarczyłby kwadrans - nigdy nie był w stanie wygłosić go spokojnie do końca, zagłuszany przez głośnie ujadanie i wycie gromady psów. Lady Helena przyprowadzała ich przynajmniej pół tuzina i przywiązywała do drzewa na kościelnym podwórzu. Gdy pewnego razu jeden z chartów nieopatrznie nadepnął na pekińczyka, wynikł z tego ogromny jazgot, spotęgowany przez szczekanie połowy psów we wsi i skutecznie zakłócił niemal całą mszę. Wielebny Josiah Browne, człowiek o nader ortodoksyjnych poglądach, próbował zganić publicznie lady Helenę, jednak otrzymał za to ostrą reprimendę od biskupa i natychmiastowe przeniesienie do innej parafii.

Na szczęście obecny pastor, pan Lamb, był człowiekiem równie bogobożnym, jak uległym i przestrzegał należytego porządku. Zakończył kazanie z godną pochwałą punktualnością.

Clemency, przyzwyczajona do przedłużających się mszy oprowadzonych przez wikariusza u Świętego Piotra, spojrzała na kuzynkę z podniesionymi ze zdziwienia brwiami.

- Najważniejsze, aby pieski wielmożnej pani mogły odbyć poranny spacer - wyjaśniła szeptem dziewczynie.

- Czy to ma znaczyć, że psy są ważniejsze od naszych spraw duchowych? - zapytała zdumiona Clemency.

- Cicho, właśnie nadchodzi!

Lady Helena zebrała z ławki swoje szale i modlitewniki, trąciła łokciem ponuro wyglądającego mężczyznę, który jej towarzyszył, i dała znak do odwrotu. Lady Arabella posławszy ostatni uśmiech synowi farmera, udała się w ślad za pozostałymi.

Clemency miała nadzieję, że uda im się z kuzynką wyjść z kościoła po cichu, nie wzbudzając ciekawości Arabelli. Wydawało się to o tyle niebezpieczne, że panna robiła wrażenie znudzonej i przez to zupełnie nieobliczalnej. Kilka nieodpowiedzialnych guwernantek, których nauki bynajmniej nie nadawały się dla młodych dam, sprawiło, że rozbrykane i dziewczę łaknęło mocniejszych atrakcji, niż mogła jej zapewnić panna Lane.

Niestety, właśnie dostrzegła je lady Helena.

- Och, pani Stoneham!

- Dzień dobry, lady Heleno - odparła zagadnięta, zerkając niespokojnie na Clemency.

- Widzę tu nową młodą twarzyczkę. Proszę mi przedstawić swoją towarzyszkę.

Nie można już było unikać prezentacji.

- Lady Heleno, to kuzynka mojego zmarłego męża, przyjechała do mnie z krótką wizytą.

- Panno Stoneham, miło mi. - Lady Helena uścisnęła jej dłoń.

- Milady... - Clemency dygnęła, ale nie poprawiła damy.

Metody pozyskiwania wiadomości stosowane przez lady Helenę były godne hiszpańskiej inkwizycji, w krótkim czasie bowiem dowiedziała się, że panna Stoneham ma dziewiętnaście lat, jest sierotą, że pracuje jako guwernantka i doświadczyła już pierwszych niepowodzeń - dziewczę dało do zrozumienia, że zbytnio interesował się nią ojciec jej ostatniej podopiecznej. Obecnie zatrzymała się u swojej drogiej kuzynki Anne, aby odpocząć po przykrych przejściach i za jakiś czas pomyśleć o nowej pracy.

Dalsza indagacja ujawniła, iż panna Stoneham biegle włada francuskim i włoskim, maluje akwarelami, gra na fortepianie i posiada rozległą wiedzę z geografii.

- Niestety, moje zdolności do igły są bardzo mierne - rzekła na koniec Clemency, przerażona swobodą, z jaką przychodzi jej wypowiadać niektóre kłamstwa, szczególnie przy opisie fikcyjnego pracodawcy. Być może, pomyślała, jeśli zawiedzie wszystko inne, zajmę się pisaniem rozmaitych niesamowitych opowieści, jak pani Radcliffe.

Przedstawiono jej również pannę Lane i Clemency zyskała w oczach lady Heleny za przyjacielski uścisk ręki i miłe uwagi na temat kościoła; guwernantki bardzo często, czując się niepewnie, krytykują każdego, od kogo nie są zależne. Lady Helena zauważyła ponadto, że Arabella ją polubiła, toteż, nie myśląc długo, wpadła na świetny pomysł. Zwróciła

się do pani Stoneham z zapytaniem:

- Czy mogę prosić o zezwolenie, aby pani przemiła kuzynka przyszła do nas dzisiaj na herbatę? Moja bratanica potrzebuje towarzystwa. Oczywiście, dopilnuję, aby została odwieziona do domu.

Nie pozostało nic innego, jak tylko przystać na tę zaszczytną propozycję.

- Czy muszę tam iść, kuzynko Anne? - zapytała zatroskana Clemency przy obiedzie. - Naprawdę się martwię. Jak mam ciągnąć to całe przedstawienie?

- Rano dawałaś sobie doskonale radę! - zauważyła z lekkim przekąsem pani Stoneham.

- Wiem o tym - zaśmiała się dziewczyna. - Prawie uwierzyłam, że jestem naprawdę ofiarą żądzy niepoprawnego ojca mojej uczennicy! Może powinnam zostać aktorką?

- Aktorką?! - powtórzyła z przerażeniem pani Stoneham. - Clemency, moja droga...

- Tylko żartowałam. - Zjadła trochę zupy i ciągnęła: - Chyba nie ma nic złego w kontynuowaniu tej zabawy, poza tym ciekawi mnie ta rodzina.

- Nie bardzo mi się to podoba - odparła pani Stoneham po chwili namysłu. - Jeśli twoje gierki wyszłyby na światło dzienne, wybuchłby skandal...

- Dobrze o tym wiem. - Clemency zamilkła. - Za nic na Świecie nie postawiłabym cię w niezręcznej sytuacji, kuzynko Anne. Będę bardzo

dyskretna.

Pan Jameson, prawnik Hastingsów, siedział przy biurku i zastanawiał się nad ciekawą informacją, jaką uzyskał podczas wizyty u pani Hastings, gdy przesłuchiowano Sally. Osobiście rozmawiał z pozostałymi służącymi, a potem objechał podlondyńskie zajazdy.

Po pierwsze, ucieczka wydawała się nie zaplanowana. Jeśli panna Clemency rzeczywiście dowiedziała się dopiero w przeddzień o wizycie markiza, oznaczało to bardzo krótki czas działania, co z pewnością dawało szansę poszukującym. Z drugiej strony nie zauważono jej w żadnym z dyliżansów wyjeżdżających z miasta, a także, o ile jego informacje były ścisłe, nie wynajęła powozu.

Jamesona uderzyła jedna rzecz - zginął notes pana Hastingsa z adresami. Ale dlaczego? Również pani Hastings nie potrafiła tego wyjaśnić.

- Skąd mam wiedzieć? - łkała, wycierając koronkową chusteczką starannie umalowane oczy. - Były tam adresy klientów mojego męża, ale nie myśli pan chyba, że uciekła do któregoś z nich?

- A co z dawnymi przyjaciółkami ze szkoły, proszę pani? - wypytywał.

- Już rozmawiałam z dziewczętami Ramsgate'ów - przypomniała mu nerwowo, jako że spotkanie okazało się dla niej wielce upokarzające. Pani Ramsgate, na pozór aż nadto zatroskana, w głębi duszy napawała się jej udręką. Nieprędko wybaczy córce tę kompromitację.

- Czy panna Clemency utrzymywała kontakty z kimś z seminarium?

Pani Hastings pokręciła przecząco głową. W istocie od dłuższego czasu stało się to dla nich kością niezgody, bowiem matkę irytowało w najwyższym stopniu, że córka nie robi nic, by podtrzymać cenne znajomości z Milton Academy. Na przykład taka Agnes Cartwright, bogata panna z dobrego domu, z którą Clemency dzieliła pokój. Pani Hastings była pewna, iż osóbką z takim pochodzeniem musi być też czarująca, ale panna przemądrzalska zdecydowała, że Agnes się jej nie podoba.

- Oszukuje w karty - powiedziała. Nawet jeśli to prawda, co z tego? Przecież pochodzi z wyższych sfer. Wszyscy wiedzą, że ach moralność mierzy się inną miarą. Z pewnością warto stracić trochę pieniędzy, a w zamian za to zostać zaproszonym do Cartwrightów!? Ale Clemency nawet się o to nie starała.

- Czy pani mąż miał krewnych, do których mogłaby pojechać? - padło następne pytanie prawnika.

- Nie znam nikogo z tamtej rodziny, chociaż chwileczkę... Był jeden taki starszy kuzyn, Robert.

- Tak?

- To pastor.

- Czy panna Clemency mogła się u niego zatrzymać?

- Umarł ponad rok temu, a wdowa po nim przeprowadziła się.

- Rozumiem. Wie pani dokąd?

Niestety, pani Hastings nie pamiętała. Nie była nawet pewna, gdzie mieszkał wielebny Robert Stoneham.

- Czy lubił pani córkę?

- Kiedy była mała, oboje ją rozpieszczali - odparła pani Hastings po zastanowieniu. - Nie mieli własnych dzieci, stąd to dziwaczne zachowanie. Ale Clemency nie widziała się z nimi od trzech czy czterech lat. Wątpię, żeby utrzymywała kontakty z panią Stoneham. W każdym razie nigdy o tym nie wspominała.

Pan Jameson westchnął. To nikła szansa, jedyny ślad, jaki ma. Może poszukać w księgach kościelnych adresu pani Stoneham i spróbować dowiedzieć się czegoś więcej. Osobiście wątpił, aby coś z tego wynikło, ale skoro zamierzał policzyć sobie słono za swój czas, musiał solidnie przyłożyć się do zadania.

- Czy panna Clemency nie interesowała się jakimś młodzieńcem? - zapytał ostrożnie. W jego mniemaniu tak piękna dziewczyna mogła z powodzeniem uciec z kochankiem do Gretna Green - małej szkockiej wioski na granicy z Anglią, gdzie miejscowy kowal udzielał ślubu zbiegłym parom.

- Z pewnością nie! Jestem o tym przekonana - odparła pani Hastings, a na jej policzkach wykwitły dwie czerwone plamy.

Pan Jameson zachował dla siebie nasuwające się komentarze.

Kiedy Clemency szła polną drogą w kierunku Candover Court, nie

miała pojęcia, że w tej samej chwili przez czternastowieczną bramę prowadzącą do majątku przejeżdża sam markiz we własnej osobie.

Spędził z Thorhillem kilka nieprzyjemnych dni w Londynie, zajęty sporządzaniem listy wierzycieli brata i wyliczaniem zbywalnych aktywów, którymi mógłby spłacić co pilniejsze długi. Konie lorda Alexandra zostały sprzedane prawie za pół darmo, ale przynajmniej nie obciążały Lysandra koszty ich utrzymania. Jedynym jasnym punktem ostatnich wydarzeń było korzystne pozbycie się domu myśliwskiego w Leicestershire, co pozwoliło na zdjęcie zastawu hipotecznego z majątku Candover Court, zagrożonego już licytacją.

- Teraz chociaż lady Helena i panienska Arabella mają zapewniony dach nad głową, milordzie - stwierdził Thorhill.

- Tylko na jakiś czas - odparł smętnie Lysander. - Co opętało ojca, że zdecydował się na taki krok? Jak mógł zastawić rodzinną posiadłość?

- Wydaje mi się, że wszystkiemu były winne karciane długi lorda Alexandra.

- Jutro pojedę do Candover i rozmówię się z Frome'em - zdecydował Lysander i odsunął krzesło. Frome już od lat pracował jako zarządca majątku Candover. - Zobaczymy, czy jest szansa doprowadzić tę posiadłość do porządku.

- Ma pan teraz przynajmniej trochę oddechu, milordzie - zauważył Thorhill, patrząc na Lysandra z uwagą i wspominając lorda Alexandra. Pod względem fizycznym bracia nie byli do siebie podobni, ale to

jeszcze o niczym nie świadczyło. Różnili się przede wszystkim charakterami. W oczach prawnika Lysander był wart dziesięć razy więcej niż poprzedni markiz. Wielka szkoda, iż Alexander nie opuścił tego świata o wiele wcześniej.

Następnego dnia Lysander zajechał dwukółką przed Candover Court. Popołudniowe słońce odbijało się złotem od starych murów pałacu i wydało mu się, że nigdy jeszcze to miejsce nie wyglądało tak ładnie. Dom pochodził z czasów Tudorów, miał solidne, grube ściany i okna z drewnianymi kratownicami. Pierwszy Candover, który wybudował posiadłość, użył w tym celu kamieni z opactwa, podarowanego mu przez Henryka VIII w dowód wdzięczności za poparcie związku z Anną Boleyn. Przodek Lysandra przejawiał niezwykły talent w dziedzinie intryg politycznych, lecz niefortunny upadek z konia zmusił go do wycofania się z dworu i ze świata wielkiej polityki. Kto wie, czy dzięki temu, że nie ocalił głowy, a przynajmniej obu nowo nabytych posiadłości, zajmował się swataniem własnych dzieci, a nie planami małżeńskimi jego królewskiej mości.

Lysander ostatnio rzadko odwiedzał swoją rodzinną miejscowość. Jako chłopiec łowił ryby w pobliskim strumyku i wspinał się na każde drzewo. Ale zawsze miał świadomość, że majątek nie należy do niego i nic tego nie zmieni, więc po powrocie z Oksfordu pojechał do Londynu i rzucił się w wir wielkomięjskich rozrywek. Teraz niespodziewanie został właścicielem tego pięknego dworu, a jednocześnie znalazł się o

włos od jego utraty. Nawet po sprzedaniu wszystkich aktywów pozostanie jeszcze dwadzieścia tysięcy funtów długów. Gdyby nie to... Ziemia jest tu dobra i wystarczyłoby zainwestować w bardziej nowoczesne metody uprawy, a majątek byłby wart dziesięciokrotnie więcej niż te liche dziewięćset funtów rocznie, jakie przynoszą zmniejszające się czynsze. Lysander miał wielką ochotę podjąć to wyzwanie, jednak zadłużenie go przerastało. Nie było wyjścia, musiał myśleć o sprzedaży Candover.

Dla dziewczyny chowanej w mieście w ciasnych murach londyńskiego domu, możliwość przechadzki na wsi jawiła się jako niezwykła przyjemność, zawierająca w sobie nieuchwytny i tajemniczy posmak przygody. Chociaż Candover Court był oddalony o niecałe cztery kilometry od wsi i z okien domku pani Stoneham Clemency wyraźnie widziała drzewa Home Wood, droga doń wydawała się wyprawą pełną odkryć. Kwiaty wychylające się zza żywopłotów, jaskółki świergoczące pod dachami, nawet szelest lekko już żółknących liści sprawiły, że zapomniała o kłopotach. Szła więc radośnie i cieszyła się, że jest tu sama i może do woli delektować się pięknem dnia.

Gdy żyła jeszcze jej babcia Hastings, Clemency spędziła jako dziecko niejedno lato na wsi i wtedy też doznawała radości z obcowania z przyrodą, świeżym powietrzem i śpiewem ptaków.

Skreśliła w bramę Candover Court i zatrzymała się zdziwiona.

Spodziewała się nowoczesnej budowli z klasycznymi kolumnami, może nawet okazałym portykiem, lecz to miejsce wyglądało zupełnie inaczej. Pałac miał zaledwie dwa piętra, a małe, ciężko wyglądające okna i wysokie kominy tylko potęgowały przygnębiające wrażenie. Na tyłach dworu stały szczątki starego opactwa. Większość kamienia Candover Court pochodziła z rozbiórki klasztoru, tu i ówdzie bowiem widać było pozostałości maswerku i fragmenty sklepień wtopionych w mury domu.

Podobnie jak opactwo, dom znajdował się w stanie kompletnej ruiny. Z jednego z kominów wyrastało małe drzewko, a popękane w wielu miejscach rynny i przerzedzone dachówki dopełniały obrazu zniszczenia. Ogrody także były zarośnięte i zaniedbane. Nic dziwnego, że markiz pragnie ożenku dla pieniędzy, pomyślała z ironią Clemency. Cóż, nie dobiecze się jednak do jej majątku!

Dwór w środku nie wyglądał lepiej. Nad wielkim kominkiem w obszernym hallu wyryto w kamieniu herb rodu Candover. Kiedyś górował tu dumnie jako symbol świetności i bogactwa, teraz był niemym świadkiem nieuchronnego upadku. Na ścianach wisały wytarte chorągwie, a w rogach sali straszyły pordzewiałe zbroje. Wnętrze przypominało Clemency jedną z niesamowitych powieści pani Radcliffe, brakowało jedynie bezgłowego mnicha, choć z pewnością wystarczyłoby pajęczyn. Pomimo zniszczeń dom zachował swój charakter i w niepojęty sposób urzekał powagą i tajemniczością.

Arabella, wyraźnie wypatrując gościa, zbiegła na dół, gdy tylko usłyszała kołatanie do drzwi. Odprawiła odźwiernego i rzekła:

- Proszę na górę, panno Stoneham. Czekamy na panią w żółtym salonie. - Wskazała pokoje rozchodzące się dalej. - Tamta część jest nie zamieszкана.

- Wielka szkoda, to taki piękny dom - odparła z przekonaniem Clemency.

- Tak pani myśli? To zabytek, tak go nazywam. Osobiście wolę bardziej nowoczesny styl.

- Współczesne domy nie posiadają tej niepowtarzalnej atmosfery - stwierdziła Clemency, idąc schodami w górę. Zauważyła wytarte dębowe stopnie oraz uznała, że od dłuższego czasu nikt nie pastował poręczy. Trudno sobie wyobrazić, że mogłaby zostać panią tej upadającej świetności.

- A jeszcze ta wilgoć i przeciągi... - rzuciła Arabella.

- Ale mogłoby być tu pięknie.

Arabella zatrzymała się na szczycie schodów i uważnie przyjrzała gościowi.

- Jak dla mnie, nie wygląda pani na guwernantkę - rzekła w końcu.

- Ach tak, a czemu nie? - wybąkała Clemency, a jej serce zamarło na moment.

- Po pierwsze, jest pani za ładna, a po drugie, nie mówi pani jak zwykła guwernantka.

- A jak one mówią? - Udało się jej lekko zaśmiać. Musi uważać na swoje słowa.

- Cóż, panna Lane co raz to mnie przeprasza, gdy chce mi się w czymkolwiek sprzeciwić. Poza tym wiecznie przypomina mi moje pochodzenie i chwałę przodków. „Pamiętaj, lady Arabello, ten dom ma bogatą historię i jest dowodem rodzinnych tradycji”.

Wskazała na niszczące się ściany i popękane panele.

Clemency nie mogła powstrzymać się od śmiechu. Arabella roześmiała się również i kiedy weszły do salonu, lady Helena podnosząc wzrok znad robótki ręcznej, ujrzała dwie rozweselone twarze.

Natychmiast zaczęło też ujadać sześć psów i podniósł się taki rwetes, że przez kilka minut nie było w ogóle nic słychać.

Szczęściem dla Clemency, w ogólnym zamieszaniu nikt nie zauważył jej przerażenia i konsternacji. Oto bowiem ujrzała znajomą sylwetkę wysokiego, szczupłego mężczyzny o ciemnej karnacji, który na ich widok wstał powoli z fotela. To musi być markiz, nikt inny. Ostatkiem sił zdołała podejść do lady Heleny, uścisnąć jej rękę i wymienić uprzejmości.

- Leżeć, Pongo, siad, Muffin! - zawołała na psy kobieta. - Proszę nie zwracać na nie uwagi, panno Stoneham. Zaraz się uspokoją. - Odwróciła się do bratanka. - Mój drogi, pozwól przedstawić sobie pannę Stoneham. Nie wiem, czy przypominasz sobie jej kuzynkę, która

niedawno zamieszkała nieopodal we wsi, tę miłą wdowę po pastorze.

Clemency usiłowała opanować drżenie kolan i niemal na oślep wyciągnęła przed siebie rękę. Dobry Boże, czy to jakiś koszmar senny?

- Panno Stoneham. - Brwi mężczyzny zmarszczyły się w grymasie skupienia. Ledwie dotknął jej dłoni i rzekł: - Czy przypadkiem nie miałem przyjemności spotkać pani wcześniej?

- Śmiem wątpić, milordzie. - Clemency wzięła się w garść i z ulgą usłyszała, że jej głos brzmi już spokojnie. - Do tej pory pracowałam w Yorkshire jako guwernantka.

Lysander skłonił się. Po głowie chodziło mu jakieś odległe wspomnienie, ale nie wiedział, co to było. Jego uwagę odwróciła po chwili Arabella.

Clemency usiadła w najbliższym fotelu iż wdzięcznością przyjęła filiżankę herbaty. Czy to prawda... Czy to w ogóle możliwe? Ten głos, te same ostre rysy twarzy i mocne, ciemne dłonie - to mężczyzna, który pocałował ją przed domkiem Bidy... A jednocześnie straszny i zdeprawowany markiz Storrington? Niemożliwe.

Ponownie zerknęła na niego. Właśnie zwrócił się twarzą do lady Heleny i Clemency zobaczyła na jego czole wyraźny ślad po zadrapaniu.

Czy to możliwe, że uciekła przed mężczyzną, o którym jednocześnie śniła po nocach?

Co robić? W głowie kłębiły się jej rozmaite myśli i uznała, że musi

uporządkować swoje uczucia. Ogarniał ją coraz większy wstyd, że tak długo pielęgnowała w sobie wspomnienie tego pocałunku, a co gorsza przypisywała jego sprawcy wszystkie możliwe zalety. Stał się jej bohaterem i obiektem westchnień. Jak ma to pogodzić z wizerunkiem zdegenerowanego, występnego młodzieńca, którego opisała Sally? Takiego człowieka powinna unikać każda kobieta! Clemency w żadnym razie nie pociągała gwałtowność charakteru ani przemoc. Brzydziło ją to i wiedziała, że nigdy nie odda serca brutalowi.

Spojrzała ukradkiem na markiza. Ta surowa, ciemna twarz - czy to istotnie oznaka rozwiązłego trybu życia? Rozmawiał z lady Heleną cicho, jak dżentelmen, i głaskał spaniela, który oparł mu łeb na kolanach. Nie wyglądał teraz na człowieka, który, podobno, omal nie zakatował na śmierć służącego.

Lady Helena zwróciła się do dziewczyny:

- Jak długo zamierza pani pozostać u kuzynki, panno Stoneham?
- Prawdę mówiąc... nie zastanawiałam się jeszcze, proszę pani.
- Zapewne wciąż poszukuje pani lepszej pracy?
- Pomyślę o tym za jakiś czas. Kuzynka Anne łaskawie mi zaproponowała, żebym odpoczęła u niej przez kilka najbliższych miesięcy. Myślę, że to miło z jej strony.
- Nie rozumiem, jak pani może wytrzymać, pracując jako guwernantka
- odezwała się Arabella. Miała na myśli własne nauczycielki, a w szczególności pannę Lane, która została na górze z powodu kolejnej ze

swoich częstych migren.

- Miejmy nadzieję, że podopieczne panny Stoneham są tępiej wychowane niż ty, moja panno - stwierdził Lysander i pociągnął lekko za jeden z loczków Arabelli.

- Podopieczne nie sprawiają mi kłopotu. Tu chodzi raczej o pracodawców, którym zbyt często wydaje się, że kupili sobie coś więcej niż moją pracę - skomentowała sucho Clemency.

Lysander uniósł brwi, zmieniając w tym momencie swoje początkowo pochlebne zdanie na jej temat. Widocznie jest jedną z tych cholernych zwolenniczek powszechnej równości, zupełnie jak owa pomyłona panna Godwin. A kimże ona jest, ta zubożała kuzynka wiejskiego pastora? Jakim prawem ośmiela się krytykować osoby wyżej urodzone, mężczyzn z jego sfery? Jak śmie mówić do niego w ten sposób? Wprawdzie znalazł się chwilowo w kłopotach, ale pochodzi w końcu z rodu Candoverów!

- Dżentelmen nigdy nie znieważy porządnej kobiety - rzekł wyniośle.

- Wierutne bzdury - odparła kategorycznie Clemency. Panna Biddenham opowiadała jej wielokrotnie o haniebnym traktowaniu guwernantek.

Lady Helena spojrzała na nią z aprobatą - dziewczyna ma całkowitą rację. Sama często była świadkiem, jak Alexander odnosił się do ładnych i młodych nauczycielek Arabelli - uważał je za smakowite kąski, przygotowane specjalnie dla niego. Z zadowoleniem zauważyła

też, że panna Stoneham przyparła Lysandra do muru. Powzięła już bowiem względem niej pewne plany i wcale by sobie nie życzyła, by Lysander się nią zainteresował.

Markiz skłonił się chłodno. Ładna z niej dziewczyna, pomyślał. Nie zdziwiłoby go wcale, gdyby kokietowała swoich pryncypałów. Wprawdzie lady Helena mówiła mu, że było na odwrót, ale nie był aż tak naiwny, by w to uwierzyć. W głębi duszy czuł się urażony, że nie zabiega o jego względy.

Tego wieczoru Clemency miała sporo do opowiedzenia o swojej kuzynce.

- Nie obchodzi mnie markiz - stwierdziła w końcu i stanowczo, tłumiąc porywy swego zwodniczego serca. - Jest arogancki i gwałtowny.

- Mimo to dzierżawcy go lubią - odparła ostrożnie pani Stoneham.

- Zapewne. Założę się, że bawi go ich uniżoność i jest czarujący, kiedy kłaniają się przed nim w pas.

- Rozumiem, że panna Stoneham nie będzie mu bić pokłonów - rzekła z chytrym uśmiechem kuzynka.

- Oczywiście, że nie! - Clemency oburzyła się, ale zaraz wybuchnęła szczerym śmiechem. - Spojrzał na mnie, jakbym była lichym robakiem, kuzynko Anne. Widzę przecież, jak bardzo dom potrzebuje naprawy, podobnie zresztą jest z ziemią. Nie mam pojęcia, dlaczego jest taki

wyniosły.

- Więc nie żałujesz swojej pośpiesznej odmowy?

- Nie... - Clemency zawahała się. - Naturalnie, posiadłość jest piękna i z pewnością znalazłabym wspólny język z lady Heleną i Arabellą, ale...

- Ale co? - podchwyciła kobieta.

- Nie mogłabym wyjść za mężczyznę, który potraktował mnie tak protekcyjnie.

- Moja droga, nie zapominaj, że rozmawiał dzisiaj z panną Stoneham. Niewątpliwie inaczej podejmowałby pannę Hastings.

- Oraz jej pieniądze - dodała cierpko dziewczyna.

Zaczęła dostrzegać, że życie jest znacznie bardziej skomplikowane, niż sądziła. Jakże niemądre były jej dziewczęce Marzenia o mężczyźnie, którego tak naprawdę zupełnie nie знаła! Takie historie kończą się szczęśliwie tylko w tanich romansach, a w rzeczywistości przynoszą jedynie rozczarowania.

Przed wypadkami w Richmond i niespodziewaną propozycją markiza myśli Clemency były dalekie od spraw małżeństwa. Przez ostatnie dwa lata rozpaczała po śmierci ukochanego ojca, wcześniej zaś czuła się na to za młoda. Tym większe było jej zakłopotanie wobec ogarniających ją nowych uczuć. Teraz musi to wszystko jeszcze raz dokładnie przemyśleć i odnaleźć najwłaściwszą drogę postępowania.

- Przestań się dręczyć, kochanie - powiedziała pani Stoneham. - Lady Helena zapraszając cię, spełniła tylko swój sąsiedzki obowiązek. Może

kiedyś ujrzymy ją znowu w kościele, ale z uwagi na to, że prowadzimy tak skromny tryb życia, niemożliwe jest wzajemne składanie sobie wizyt towarzyskich. Nie sądzę, abyśmy szybko zetknęli się z nazwiskiem Candover.

Jednak w tej kwestii bardzo się pomyliła.

3

Panna Lane, której cierpienia z powodu częstych migren dorównywały jedynie chęci nauczania Arabelli zasad gramatyki francuskiej, wstała wczesnym rankiem i postanowiła spróbować raz jeszcze. Niestety, była kobietą o nieugiętym sposobie myślenia i nawet cztery miesiące obcowania z niesforną wychowanką nie nauczyły jej, że należy radykalnie zmienić metody. Wciąż tylko napominała lady Arabellę, jak powinna się zachowywać młoda dama i postawiła sobie za punkt honoru wcielenie tych zasad w życie. Ponieważ towarzyszył temu zrzędlivy i pozbawiony wiary w siebie sposób bycia, nic dziwnego, że uczniocy niewiele wchodziło do głowy, a biedną pannę Lane nieustannie nękały załamania nerwowe i migreny.

Cały dzisiejszy ranek walczyła z coraz bardziej znudzoną i zniecierpliwioną panną.

- Jeśli można prosić, trochę więcej uwagi, lady Arabello. Jak brzmi imiesłów czasu przeszłego od czasownika *devoir*?

Dziewczyna wzruszyła ramionami.

- *Du* - odpowiedziała nauczycielka.

Arabella z hukiem zatrzęsnęła książkę i rzuciła ją w kąt pokoju.

- Nie dbam o to - oznajmiła. - Nie cierpię francuskiego!

- Droga lady Arabello, przecież każda młoda dama musi znać francuski.

- Nie rozumiem po co.

- To najbardziej elegancki z języków. Władali nań Wolter, Racine i...

- Do diabła z nimi! - Arabella wstała. - Dzień jest taki piękny i nie mam zamiaru go zmarnować.

Bez dalszych wyjaśnień wyszła z pokoju, zostawiwszy pannę Lane bliską ataku apopleksji. Nieszczęsna nauczycielka trzęsła się cała i szukała w pośpiechu swoich soli trzeźwiących.

Arabella w istocie celowo zachowywała się tego dnia aż tak niegrzecznie.

Po mszy niedzielnej udało się jej umówić z młodym Joshem Baldockiem, synem farmera, którego ojciec dzierżawił ziemię od Candoverów. Wiedziała, że pracują teraz na wielkiej łące w odległej części Home Wood. Zbliżało się południe i mężczyźni powinni zrobić sobie zaraz przerwę na obiad. Kazała Joshowi czekać, aż się zjawi. Potem pójdą razem do lasu i tam, być może, pozwoli się mu pocałować.

Arabella pobiegła żwawo do swojego pokoju, chwyciła płaszcz i kapelusz, po czym wykradła się z domu tylnymi schodami.

Laney z pewnością doniesie o tym ciotce, ale wcale jej to nie obchodziło. Candover ma zostać sprzedane, wszyscy o tym wiedzą,

choć starają się to przed nią ukryć. Zapewne nie doczeka tu nawet końca sezonu - umrze z nudów, zamknięta z ciotką w Bath. Więc póki może, będzie do woli korzystać z życia i nikt ani nic jej od tego nie powstrzyma.

Tej nocy Clemency nie spała zbyt dobrze. Jakkolwiek by na to patrzeć, wydarzenia poprzedniego dnia wniosły zamęt w jej i tak już pogmatwane życie. Markiz był z pewnością tym nieznanym, który ją pocałował, nie miała co do tego najmniejszych wątpliwości. Co gorsza, ten niebezpieczny człowiek omal jej nie rozpoznał. Całe szczęście, że był wtedy w szoku! Ostatnią rzeczą, jakiej pragnęła, to żeby markiz zapamiętał tamten incydent tak samo wyraźnie jak ona.

Ganiła się, jak mogła być aż tak nieostrożna, by pozwolić się pocałować obcemu! A teraz mieszka zaledwie kilka kilometrów od młodzieńca o tak fatalnej reputacji, znanego w każdym domu rozpusty w Covent Garden. I choć obecność pani Stoneham gwarantuje jej na razie bezpieczeństwo, to nie wiadomo, jak zachowa się markiz, jeśli przypomni sobie wydarzenia z Richmond. Zapewne weźmie ją za jedną z owych bezwstydných dziewcząt bez zasad...

Postanowiła być ostrożniejsza i wspominała z nadzieją słowa kuzynki Anne, że nie spotkają się już z nikim z rodziny rodu Candover.

Zeszła na śniadanie blada i nie wyspana.

- Zamartwiasz się - zauważyła na jej widok pani Stoneham. - Niestety,

obawiałam się tego. Moja droga, zadzwoń po Bessy, niech wie, że już zesłaś.

- Wiem, że to głupie - odparła Clemency, a potem zwróciła się do służącej: - Dzień dobry. Bessy.

- Dzień dobry, panno Clemency. Co panienka zje na śniadanie?

- Nic specjalnego, wystarczą tylko tosty z kawą.

- Musisz się wybrać dzisiaj na porządny spacer, Clemency - powiedziała z troską pani Stoneham. - Niechaj słońce Przywróci twoim policzkom nieco kolorów. Bessy zapakuje ci jabłko i trochę ciasta. W południe oczekuję odwiedzin pani Lamb, żony wikarego, którego pamiętasz, myślę więc, że byłoby rozsądniej, gdyby cię nie widziała. Jest poczciwą kobietą, ale nadzwyczaj wścibską.

Po chwili dodała:

- Słyszałam, że koło Home Wood rosną piękne grzyby. Weź koszyk i postaraj się trochę ich nazbierać.

Nie ociągając się dłużej, Clemency chwyciła koszyk i parasolkę i ruszyła na przechadzkę. Kuzynka Anne ma rację, pomyślała, spokojny spacer pomoże uspokoić jej umysł i uporządkować myśli. W ciągu godziny nazbierała grzybów - pachniały wspaniale, po czym poszukała polany, by odpocząć i zjeść drugie śniadanie.

Siedziała i gryzła jabłko, rozkoszując się cieniem i zapachem lasu. Za miesiąc dojrzeją jeżyny, pomyślała, zupełnie jak u babci. Zastanawiała się, gdzie będzie za miesiąc i jak potoczą się jej losy.

Zaczęła właśnie jeść placek, gdy zaniepokoiły ją dziwne hałasy, dobiegające z tyłu. Z początku wzięła je za walki kosów w zaroślach, ale po chwili wyraźnie usłyszała płacz. Odłożyła ciasto, wzięła parasolkę i ostrożnie udała się w stronę krzaków.

Za leszczyną pośród paproci leżał młody mężczyzna, opalony i muskularny, i przyciskał do ziemi wierzgającą dziewczynę. Miała halkę podciągniętą ponad kolana i włosy w nieładzie, a Clemency rozpoznała w niej ze zdumieniem ni mniej, ni więcej tylko lady Arabellę Candover!

- Nie, Josh... nie!

- Przecież to lubisz - szepnął gardłowo młodzieniec, zsuwając jej stanik i całując namiętnie.

- Nie... - płakała Arabella. - Nie chciałam... och, Josh, przestań!

- Nie lubię, gdy mnie tak drażnisz - odparł chłopak. - Celowo mnie rozpaliałś, więc dostaniesz to, o co prosisz. - Jedną ręką gładził teraz jej udo, a potem zbliżył usta do szyi i lekko ją ugryzł.

Arabella krzyknęła rozpaczliwie.

Clemency ruszyła do przodu i napotkała jej zaskoczony wzrok.

- Och! - westchnęła dziewczyna, po części ze wstydu, a po części z wdzięczności.

Josh podniósł głowę.

Był o wiele młodszy, niż Clemency mogła przypuszczać. Okazało się, że to ten sam młody syn dzierzawcy, do którego Arabella puszczała oko w kościele. Wyglądał na szesnaście lat i gdy ją ujrzał, na jego

twarzy pojawił się wyraz najwyższego zmieszania. Usiadł, pośpiesznie poprawił ubranie Arabem i przesunął ręką po czerwonej z zażenowania twarzy.

Zaległa długa, niezręczna cisza. Młodzieniec wydawał się sparaliżowany strachem, Arabella wyglądała, jakby się miała za chwilę rozpłakać, bardziej wobec doznanej zniewagi niż z szoku, a Clemency zastanawiała się gorączkowo, co robić.

Wtedy dobiegł ich odgłos kroków. Pięćdziesiąt metrów od nich krętą ścieżką wśród drzew zmierzał w ich stronę markiz Candover ze strzelbą w ręku i torbą przerzuconą przez ramię.

- Najlepiej będzie, jeśli już sobie pójdiesz. - Clemency kiwnęła głową na chłopca.

- Przepraszam, Bello - wyjąkał niezręcznie i wstał. - Nie chciałem cię przestraszyć.

- Mnie też jest przykro - szepnęła Arabella. - To również moja wina.

Młodzieniec obejrzał się za siebie i widząc nadchodzącego markiza, co sił w nogach pobiegł w drugą stronę.

- A teraz, lady Arabello, proszę doprowadzić się do porządku - ponagliła Clemency. Pomogła jej wstać i strzepać resztki paproci z sukni i włosów. - Gdzie pani kapelusz?

Arabella poprawiła bluzkę i potrząsnęła suknią. Nagle, jakby przytłoczona nazbyt wielkim ciężarem, opadła na ziemię i wybuchnęła płaczem.

- Bawiliśmy się ze sobą jeszcze jako dzieci - łkała. - Dlaczego musiał to wszystko zepsuć? Przynosił mi kijanki i pomagał łapać cierniki.

Clemency pogłaskała ją po włosach.

- Kiedy mnie ostatnio pocałował, zachowywał się całkiem przyzwoicie - skarżyła się Arabella.

- Więc postanowiła go pani jeszcze trochę pozwodzić - zasugerowała Clemency, ale objęła ją ramieniem i uścisnęła serdecznie. - Moja droga, musi pani wiedzieć, że to niebezpieczna gra, szczególnie jeśli chodzi o młodych mężczyzn. Przypuszczam, że jest teraz równie zawstydzony jak pani.

Zbliżał się markiz; kiedy znalazł się dziesięć metrów od nich i usłyszał płacz Arabelli, zorientował się, że dzieje się coś niedobrego. Zaniepokojony, przyspieszył kroku.

- Nie powie mu pani, dobrze? - szepnęła Arabella.

- Nie będę musiała - odparła oschle Clemency.

W istocie, wystarczył mu jeden rzut oka na siostrę, na jej pogniecioną, brudną halkę i widoczny ślad po ukąszeniu miłosnym, by zrozumiał. Ogarnął go rosnący gniew.

- Gdzie on jest? - krzyknął ze wściekłością do Clemency.

- Kto taki, milordzie?

- Nie bądź niemądra, dziewczyno, młody Baldock! - Poprawił strzelbę na ramieniu.

- Nie mam pojęcia - odparła chłodno Clemency. - I na pańskim miejscu

nie należałabym tak bardzo, by go odszukać.

- Dać temu spokój, kiedy moja siostra została napadnięta?

- Pańska siostra, milordzie, nie została napadnięta. Myślę, że powinien się pan zastanowić, zanim uczyni pan coś, co, niepotrzebnie nagłośni całą sprawę. Naprawdę nie dba pan o reputację lady Arabelli?

Markiz spiorunował ją wzrokiem.

- Kim, do diabła, pani jest, by mówić mi, co mani robić? Zarozumiała guwernantka, nie wiadomo skąd!

- Proszę cię, Zander - Arabella położyła drżącą rękę na jego ramieniu. - To także i moja wina.

Nastąpiła chwila przerwy.

- Wracajcie do domu obie - odezwał się w końcu, machnąwszy strzelbą. - Zobaczymy, co powie na to ciotka.

- Ale moja kuzynka... - zaczęła Clemency.

- Posłaniec zawiezie jej list - odparł niecierpliwie. - Chcę usłyszeć wyczerpującą relację z dzisiejszych wydarzeń. Zostanie pani z nami dopóty, dopóki pani wszystkiego nie opowie. - Czekał, aż Clemency podniesie koszyk, po czym poszedł za nimi w stronę domu.

Miał przy tym tak srogi wyraz twarzy, że żadna z dziewcząt nie próbowała się nawet odezwać.

Pani Stoneham pożegnała gadatliwą panią Lamb i zaczęła się zastanawiać, co się dzieje z Clemency, gdy zjawił się niespodziewany

gość. Przycinała właśnie róże w ogrodzie, jednym okiem wypatrując młodej kuzynki, gdy przed bramę Ujechała dwukółka. Niski, elegancki mężczyzna poluzował lejce i zsiadł z powozu należącego, jak rozpoznała pani Stoneham, do zajazdu „Korona”. Koń schylił łeb i zajął się skubaniem trawy, a przybysz zabezpieczył koła kilkoma polnymi kamieniami i podszedł do furtki.

- Pani Stoneham?

- Tak.

Mężczyzna wręczył jej wizytówkę. Pani Stoneham sparzała na kartonik i serce jej zabiło. Prawnik z kancelarii w Londynie - to oczywiste, w jakim celu się tu zjawiał.

- Czym mogę panu służyć, panie Jameson? Przyznam, iż nie przypominam sobie pańskiego nazwiska.

- Proszę pani, czy możemy porozmawiać na osobności?

- Naturalnie. Proszę wejść do środka. - Zaprowadziła gościa do salonu i poprosiła, by usiadł. - Może napije się pan herbaty?

- Z chęcią.

Pani Stoneham zadzwoniła po służącą. Gdy wydawała polecenia, rzuciła jej szybkie, znaczące spojrzenie. Potem, nieco spokojniejsza, prowadziła niezobowiązującą rozmowę, w której obie strony mówiły dwuznacznikami i żadna nie chciała się do tego przyznać. W „Koronie”, miejscu, gdzie wynajął dwukółkę, pan Jameson usłyszał, że u pani Stoneham zatrzymała się urodziwa jasnowłosa kuzynka. Opis i

czas przyjazdu dziewczyny pasował jak ulał do Clemency i prawnik był już pewien, że jego poszukiwania dobiegły końca.

Pani Stoneham z kolei nie zamierzała mu ze swej strony niczego zdradzać. Owszem, przyznała, że zatrzymała się u niej młoda kuzynka, mająca wkrótce podjąć pracę guwernantki. Nie ma jej w tej chwili w domu, możliwe, iż przebywa właśnie w Candover Court - pani Stoneham naprawdę tak nie myślała, ale nie widziała nic złego w tej niewinnej sugestii. Nie, nie ma pojęcia, kiedy dziewczyna wróci. Nie, nie słyszała również o ucieczce panny Clemency Hastings - co za szokująca historia! Amelia musi to bardzo przeżywać!

Naturalnie nie było mowy o tym, by pan Jameson oskarżał panią Stoneham o podstęp. Jedyne, co mógł zrobić, to siedzieć i czekać w nadziei, że zaraz się zjawi ta nieszczęsna dziewczyna. Wydawało się nieprawdopodobne, by pani Stoneham miała dwie śliczne, jasnowłose kuzynki. Po głowie krążyło mu jednak kilka niespokojnych myśli. Po pierwsze, domek tej kobiety znajdował się o rzut kamieniem od posiadłości Storringtonów i z pewnością byłoby to ostatnie miejsce na ziemi, jakie wybrałaby uciekająca przed markizem panna. Po drugie, dziewczyna była tam najwyraźniej zapraszana. Tylko czy to aby prawda? Te wątpliwości powodowały, że pan Jameson musiał się jeszcze wstrzymać z ostatecznym sądem.

Przyjął propozycję drugiej filiżanki herbaty i zastanawiał się, co począć.

W tej samej chwili do drzwi zapukała Bessy.

- Wiadomość z Candover Court, proszę pani, przysłano ją przed chwilą - wyjaśniła i posłała swej chlebodawczyni triumfalne spojrzenie, jakby mówiąc: to mu dopiero pokaże! Bessy służyła u pani Stoneham od początku jej małżeństwa i nie miały przed sobą prawie żadnych tajemnic. Podobnie jak jej pani, dziewczynie zależało na tym, aby gość odjechał z kwitkiem.

Pani Stoneham przeprosiła tymczasem pana Jamesona i przeczytała kartkę. Wiadomość była krótka i zwięzła: lady Arabella spotkała w lesie pannę Stoneham i zaprosiła ją do siebie. Spędzą razem popołudnie, po czym panna Stoneham zostanie odwieziona przez służącego.

Pani Stoneham nie zamierzała pokazywać listu panu Jamesonowi, położyła go jednak w widocznym miejscu na stoliku i pod pretekstem poprawienia żaluzji pozostawała przy oknie wystarczająco długo, by gość zdążył zapoznać się z jego treścią.

Kiedy wróciła na miejsce, stwierdziła z zadowoleniem, że prawnik szykuje się do wyjścia.

- Przepraszam za najście, szanowna pani, będę musiał szukać dalej - powiedział na pożegnanie.

- Oczywiście może pan liczyć na moją dyskrecję - zapewniła go tonem pełnym współczucia. - Jestem pewna, że Clemency, gdziekolwiek jest, po zastanowieniu wróci do domu. Chyba Amelia jej wybaczy? Nie wierzę, że zechce spełnić swoje groźby i odeśle ją do panny

Whinborough, osoby w moim mniemaniu bardzo niesympatycznej.

- Droga pani, zapewne ma pani rację - odparł smutno pan Jameson. Żadne z nich ani przez chwilę w to nie wierzyło, niemniej jednak nie wypadało podawać w wątpliwość matczynej miłości. Tak czy inaczej, prawnik zrozumiał ostatnią wypowiedź wystarczająco dobrze. Pani Stoneham nie wyjawi, czy jej młoda kuzynka to Clemency Hastings, dopóki jej matka pozostanie tak nieprzejednana.

Skłonił się i już po chwili zmierzał swoim powozem w stronę zajazdu.

Pani Stoneham otarła pot z czoła, starając się nie myśleć, co na to wszystko powiedziałyby jej męż, którego moralność była nieskazitelna.

Jedno jest pewne - mały domek w Abbots Candover przestał być dla Clemency bezpiecznym schronieniem. Być może pan Jameson pozwolił sobie chwilowo zamydlić oczy, lecz czuła, że w głębi duszy domyśla się prawdy. Pod znakiem zapytania pozostawała jedynie kwestia, jak długo stary prawnik zechce akceptować tę mistyfikację...

W salonie zebrali się powstrzymująca łzy Arabella, blada a emocji Clemency, markiz z zasepioną twarzą i przejęta mocno lady Helena. Właściwie z oblicza tej ostatniej trudno było wywnioskować, czy trapi się bardziej spodziewającą się szczeniąt suką Millie, czy też swoją bratanicą.

- Jeśli ta gamoniowata panna Lane nie potrafi upilnować Arabelli, powinna natychmiast odejść! - podniósł głos markiz, akcentując swoje

słowa uderzeniem pięścią w stolik lady Heleny. Na podłogę potoczyło się kilka szpulek nici, a mniejsze psy zaczęły ujadać ze strachu. - Jestem dostatecznie zajęty porządkowaniem spraw posiadłości i nie mogę dodatkowo zawracać sobie głowy zachowaniem Arabelli. Spójrzcie tylko na nią! Wygląda jak ostatni włóczęga. Dobry Boże, ciociu Heleno, wystarczająco trudno będzie wydać ją za mąż bez posagu. Kto do tego zechce pannę z nadszarpniętą opinią?

- Mój drogi, pohamuj swój język! - upomniała go stanowczo lady Helena. - Zechciej mi łaskawie wyjaśnić, jaka w tym wszystkim jest rola panny Stoneham. Czyżby młody Baldock starał się uwieść je obie?

- Zastałem ją w lesie razem z Arabella. Muszę usłyszeć od niej, co się tam, do diabła, działo.

- Nie chciałam tego! - zapłakała głośno Arabella. Odwróciła się i schowała twarz na ramieniu Clemency, która przytuliła ją do siebie.

Lysander posłał Clemency spojrzenie pełne jawnej niechęci.

- I co pani powie, panno Stoneham?

- Proszę nie mówić do mnie takim tonem, lordzie Storrington - odparła z rozdrażnieniem Clemency. - Nie jestem ani pańską siostrą, ani służącą, aby się ze mną tak obchodzić!

Lysander wyglądał, jakby miał trudności ze złapaniem oddechu.

Clemency ogarnął nagły strach. Czy to możliwe, by ją uderzył? W końcu ma tak złą reputację, że to całkiem prawdopodobne... Zmusiła się do spokoju. Cokolwiek wyprawiał w domach rozpusty w Covent

Garden, nie ośmieli się tego powtórzyć w salonie swojej ciotki!

- Nie sugerujesz chyba, że panna Stoneham mogła mieć coś wspólnego z napadem? - zapytała zirytowana już tym wszystkim lady Helena. Zdawała sobie sprawę, iż Lysander ma prawo się gniewać, jednak jego zachowanie wykraczało już poza ramy przyzwoitości.

- Co pani tam robiła, panno Stoneham? - domagał się wyjaśnień lord Storrington.

- Zbierałam grzyby.

- Moje grzyby?

- Na Boga, młodzieńcze! - wtrąciła lady Helena. - Przecież tu nie chodzi o te kilka grzybów! Denerwujesz tylko biedną Millie. Słucham, panno Stoneham, co się zdarzyło potem?

- Usłyszałam wołanie o pomoc i ujrzałam lady Arabelle. - Zamilkła na moment, zastanawiając się, jak opowiedzieć całą historię. - Najwyraźniej znalazła się w niezręcznej sytuacji. Chyba nie wzięła pod uwagę skutków swojej żywiowości i lekkomyślnego prowokowania porywczego chłopca, swego rówieśnika, którego, jak zrozumiałam, zna od małego. Gdy się zjawiłam, był równie zakłopotany i zawstydzony jak lady Arabella. Przeprosił za swoje zachowanie i oddalił się w pośpiechu. To wszystko.

Lady Helena uważnie przyglądała się dziewczynie. To samo czyniło sześć psów oraz markiz.

- Jak pani sądzi, co należałoby teraz uczynić? - zapytała. - Jak na młodą

dame wypowiedzi pani tak stanowcze opinie, że nie waham się pytać o pani zdanie na ten temat.

- Dałabym temu spokój - oznajmiła szczerze Clemency. - Wierzę, że oboje dostali nauczkę i nie widzę sensu w rozgłaszaniu tego niefortunnego zajścia.

- Bardzo rozsądnie, moja droga. A teraz, Arabello, idź na górę się przebrać, jesteś cała w trawie. Oczekuję, że kiedy się z tym uporasz, zejdziesz do nas na herbatę.

Arabella z wdzięcznością pocałowała szybko Clemency i opuściła salon. Lysander patrzył na nie z trudnym do określenia wyrazem twarzy.

- Panno Stoneham, co proponowałyby pani na przyszłość? - ciągnęła lady Helena.

- Ciociu - wtrącił niespokojnie markiz. - Nie rozumiem, dlaczego panna Stoneham miałyby zabierać głos w tej kwestii, chociaż widzę, że bardzo chętnie służy swoimi radami.

- Przecież sam nalegałeś na przyprowadzenie jej tutaj - wytknęła mu lady Helena. - Prawda, moja droga?

Clemency zawahała się.

- No więc, panno Stoneham, prosimy o radę, czyżby ktoś odgryzł pani język? - odezwał się z ironią mężczyzna.

- Proszę mi wybaczyć, milordzie, że wtrącam się w pańskie sprawy - odezwała się w końcu. - Ale powszechnie wiadomo, że posiadłość ma

być wkrótce sprzedana, i lady Arabella może przeżywać w związku z tym ciężkie chwile. Zapewne spodziewa się w przyszłości wielu ograniczeń i zmian na gorsze, więc zdecydowała się poszukać jakiejś rozrywki, póki ma ku temu okazję. A przecież można by jej znaleźć odpowiednie zajęcie. Co prawda nie zwierzała mi się, ale tak młoda i piękna dziewczyna liczyła z pewnością na wprowadzenie do towarzystwa w tym roku.

Lysander nie patrzył na nią, z udaną obojętnością utkwiał wzrok w kominku.

- Może ktoś z rodziny, ojciec albo matka chrzestna, zechce się podjąć takiej roli? Sama świadomość udanego sezonu towarzyskiego skierowałaby jej myśli w bardziej odpowiednim kierunku. Jeśli wasza lordowska mość zamierza pozostać tu przez resztę lata, przydałoby się towarzystwo kogoś w jej wieku.

- Wykluczone, nie zamierzam tu urządzać żadnych przyjęć - stwierdził krótko markiz. - Wydaje się pani świetnie poinformowana o moich sprawach, więc z pewnością rozumie pani, że nie stać mnie na takie rozrywki.

- Moglibyśmy zaprosić Fabianów - odezwała się ciotka po namyśle.

- Cholerni metodyści - odciął się markiz.

- Co za głupstwa! Owszem, lord Fabian udzielał się w Stowarzyszeniu Abolicjonistów, przyznam także, że Adela przesadnie często uczęszcza do kościoła, ale poza tym lady Fabian jest czarująca, tak samo jak

Diana, która jest mniej więcej w wieku naszej Arabelli. - Lady Helena spojrzała na Clemency. - Są kuzynkami. Dziękuję ci, moja droga za wspaniały pomysł.

- Zgoda, ciociu Heleno. Zaprosimy Fabianów, jeśli to konieczne. Oni przynajmniej nie będą oczekiwać wystawnego życia. Ale dla równowagi zaproszę również Baverstocków. Obecność Marka i Oriany ożywi nieco tę całą nudną cnotliwość.

- Rób, jak uważasz - odparła ciotka z powątpiewaniem. Nie miała dobrego zdania o Orianie Baverstock. Chociaż niewątpliwie piękna i dobrze urodzona, miała dziwnie odpychający charakter. To typ kobiety, która, jeśli by tylko mogła, zdobyłaby Lysandra - pomimo niezbyt okazałego posagu - a potem pozbyłaby się wszystkich niewygodnych osób, na przykład Arabelli. Lysander miał nadzieję zebrać coś na wiano dla siostry, ale lady Helena wątpiła, by zyskało to poparcie panny Baverstock.

Lysander zaśmiał się nagle, wyobrażając sobie najazd ewentualnych gości.

- Zaprosimy także Gilesa Fabiana, Arabella będzie mogła wypróbować na nim swój urok - rzucił wesoło. - To bardzo poważny młody człowiek - dodał i spojrzał filuternie na Clemency. - Słyszałem, że chce zostać misjonarzem.

Clemency zdziwiła się, jak bardzo uśmiech rozjaśnił to surowe oblicze.

- Pańska siostra będzie zachwycona - odparła.

Przez moment ujrzała w jego oczach nieco ciepła, ale po chwili odwrócił się w stronę lokaja, który oznajmił, że w gabinecie oczekuje na niego pan Frome. Na te słowa markiz wyszedł.

- Moja droga, uważam, że jesteś bardzo rozsądną kobietą - rzekła z uznaniem lady Helena. Dlaczego wcześniej nie przyszło jej do głowy, że Lysander potrzebuje towarzystwa równie jak Arabella? Z wolna zaczyna już dziczeć na tej prowincji, a kłopoty sprawiły, że wygląda mizernie. Jeśli kuzynowi Fabianowi nie uda się go rozweselić, to przynajmniej odciągnie go trochę od interesów i ponurych myśli. Co do Oriany Baverstock, może przyjazd tutaj dobrze jej zrobi. Kiedy na własne oczy przekona się, jak podupadł majątek Candoverów, zapewnię zastanowi się nad związkiem z mariażem.

- Dziękuję, milady - odparła Clemency i schyliła się, by pogłaskać Millie, która spała obok niej na kanapie.

- Ciekawi mnie jedna rzecz, kochanie, a mianowicie czy nie zechciałabyś zostać guwernantką Arabelli? Oczywiście tylko przez jakiś czas, powiedzmy, do końca roku, jeśli uda się nam przekonać lady Fabian, by przyjechała wraz z Dianą.

- Ależ... ale ja... - wyjąkała dziewczyna, nie wiedząc, czy śmiać się, czy płakać. Proszono ją, by zamieszkała pod tym samym dachem, co jej niedoszły narzeczony!

- Wiem, że może się pani obawiać pracy z tak krnąbrną osobką, ale naprawdę, panno Stoneham, nie oczekuję cudów. Jeśli uchroni pani

moją bratanicę przed wpadnięciem w ramiona lokalnych dzierżawców, już samo to będzie dla mnie powodem do zadowolenia. Arabella potrzebuje bardziej towarzyszkę i bratniej duszy niż nauczycielki, przynajmniej tak mi się zdaje.

- Pani bratanek miałby inne zdanie - stwierdziła Clemency. - Nie przepada zbytnio za mną.

I to jedna z zalet tego planu, pomyślała chytrze lady Helena. Uważała, że to prawdziwe zrządzenie Opatrzności. Taka młoda i piękna dziewczyna jest zagrożeniem dla każdego domu, gdzie przebywają podatni na niewieście wdzięki młodzieńcy.

- Lysander zawsze postępuje wedle własnego uznania - zgodziła się z nią. - Ale jego nastawienie nie powinno cię obchodzić. To ja płacę guwernantkom Arabelli.

- Mimo wszystko, proszę pani, wolałabym uzyskać jego zgodę. Muszę to też przedyskutować z kuzynką Anne. Obiecałam zamieszkać u niej przez lato, jest taka smutna po śmierci kuzyna Roberta.

Lady Helena uśmiechnęła się łaskawie. Niepojęte, by przedkładać uczucia wdowy po pastorze nad własne interesy!

Nie rozmawiały już więcej na ten temat. Arabella, przygaszona i milcząca, zeszła na herbatę. Markiz został w gabinecie. Pod wieczór lady Helena, ignorując upór Clemency, która chciała wracać do domu na piechotę, zamówiła dwukólkę.

- Zobaczymy się jeszcze, panno Stoneham, i to niebawem - stwierdziła

kategorycznie na koniec.

Droga do domu była za krótka, aby dać Clemency czas na przemyślenia. Zbyt dużo wydarzyło się dzisiejszego dnia. Po pierwsze, otrzymała niezwykłą propozycję od lady Heleny. W jaki sposób odmówić, by jej nie urazić? Co innego gościć na herbatce w Candover Court pod przybranym nazwiskiem, a zupełnie co innego podejmować tam pracę. Gdyby prawda wyszła na jaw, konsekwencje mogłyby się okazać katastrofalne, i to zarówno dla niej, jak i dla kuzynki Anne. Nawet nie chciała o tym myśleć.

Kolejny problem to markiz. Tu sprawa wydawała się bardziej skomplikowana. Clemency wiedziała już, że to niebezpieczny człowiek, który, gdy zechce, potrafi być piekielnie pociągający. I choć teraz nie ukrywa wobec niej niechęci, kiedy znajdą się pod jednym dachem, wszystko się może zdarzyć. Bała się sytuacji, której nie zniosłoby jej serce i rozum. Pannę Hastings z Russell Square, dziedziczkę wielkiej fortuny, chroniłaby jej pozycja, ale panna Stoneham, pochodząca nie wiadomo skąd, będzie pozbawiona takiej ochrony.

I wreszcie, ku jej przerażeniu, pojawiło się imię Oriany. Baverstockowie to ani chybi ta sama para, którą widziała Przelotnie owego fatalnego popołudnia przed domem panny Biddenham. Wątpiła, czy którekolwiek z nich ją zapamiętało, Jednakże nie miała ochoty podejmować tego ryzyka.

Gdy przyjechali do Abbots Candover, stajenny pomógł jej wysiąść i

podał koszyk, w którym oprócz zbieranych grzybów znalazł się także pęczek ustrzelonych przez markiza synogarlic, kilka ogórków i gliniana miska pełna truskawek. Najwidoczniej lady Helena uznała, że należy się jej coś więcej poza słowami podziękowania.

Stajenny uchylił czapki, zawrócił pojazd i odjechał.

Tego wieczoru pani Stoneham siedziała przy toalecie, a Bessy, jak co dzień, rozczesywała jej włosy. Naturalnie, mogła to zrobić sama, ale wieczorny rytuał sprawiał im obu wiele przyjemności. Bessy przychodziła pod pretekstem pomocy przy rozwiązywaniu tasiemek i rozpinaniu gorsetu, co umożliwiało im wyczerpującą rozmowę o wydarzeniach minionego dnia.

- Nie zdawałam sobie dotąd sprawy, jak męczące jest mijanie się z prawdą - zauważyła pani Stoneham. - Kiedy byłam młoda, marzyłam o podniecającym i pełnym przygód życiu. Wyobrażałam sobie, że jestem przemytniczką - jak wiesz, mieszkaliśmy niedaleko Rye - i przechytrzam celników i żandarmów, przemycając tuż pod ich nosem francuskie koniaki. A teraz nie mogę sobie wyobrazić czegoś bardziej nieprzyjemnego - westchnęła ciężko. - Martwię się bez przerwy, że zdradzę Clemency jakimś nieopatrzonym słowem. Rano złożyła mi wizytę pani Lamb, a potem, po południu, ten okropny człowiek, Jameson. Jakby tego było mało, Clemency zaproponowano pracę guwernantki we dworze! Kiedy się to wszystko skończy?

- Myślę, że to bardzo romantyczne - odparła Bessy w zamyśleniu, poprawiając czepek swojej pani. - Panienska Clemency jest tak piękną młodą damą, że nadaje się na bohaterkę takich historii.

- Nie mam obiekcji co do jej przygód, tu chodzi o mnie! Jestem już na to za stara - odparła żałośnie jej pani.

- Jeśli panna Clemency zamieszka we dworze, pozbędzie się pani kłopotu.

- Zgadzam się z tobą, Bessy, ale czy będzie tam bezpieczna? To mnie niepokoi. Nigdy nie przejmowałam się plotkami, ale ze słów Clemency wynika, że ten markiz to najgorszej maści libertyn, nie przepuści żadnej urodziwej dziewczynie. A jego przyjaciele? Z pewnością znajdą się wśród nich tacy, którzy uważają guwernantki za przedmiot zabawy. Nie podoba mi się to i tyle.

- Na pani miejscu nie martwiłabym się o nią - odparła Bessy pocieszającym tonem. - Panna Clemency nie da sobie dmuchać w kaszę, jestem tego pewna.

- Powiem Clemency, aby zaprzyjaźniła się z psami lady Heleny - stwierdziła pani Stoneham po chwili milczenia. - Każdy młodzieniec zawaha się, widząc pannę w otoczeniu litych diabłów. - Na jej ustach pojawił się uśmiech i nieco się odprężyła. Wystarczy, by Clemency krzyknęła, i natychmiast rozpęta się piekło, myślała.

- Wybaczy pani moją śmiałość, ale myślę, że dobrze by się stało, gdyby panna Clemency podjęła tę pracę. Pani przestanie się o nią zamartwiać i

czuć się za nią tak bardzo odpowiedzialna. Z drugiej strony pan Jameson jej tam nie znajdzie, a praca guwernantki, nawet tymczasowa, będzie dla niedoświadczonej młodej panny dobrą szkołą życia. Pozwoli jej wczuć się w los tych mniej szczęśliwych od ciebie. Nie oznacza to, broń Boże, braku szacunku dla Panienki Clemency, która jest miłą, dobrze wychowaną młodą damą.

Bessy nie powiedziała tego głośno, ale w głębi ducha miała nadzieję, iż panna Clemency zostanie w końcu markizą. Być może, jeśli będzie dłużej przebywać w towarzystwie - młodego markiza, zmieni o nim zdanie, a wtedy on porwie ją powozem do szkockiej wioski Gretna Green na potajemny ślub. Jakie to romantyczne!

- W każdym razie, jeśli potrzebuje jej lady Helena, niewiele na to poradzę - westchnęła pani Stoneham. - Nigdy w życiu nie napisałabym do pani Hastings, to byłoby wstrętne, nie mówiąc o tym, że zawiodłabym zaufanie Clemency. Ponieważ nie może zostać tutaj, pozostaje tylko Candover Court.

Oriana Baverstock siedziała w eleganckiej jadalni w Stoneleigh Manor i z zadowoleniem czytała list podany przez brata. Zaproszenie do Candover Court! Nigdy tam nie była, również za życia poprzedniego markiza, lorda Alexandra - inna sprawa, że nawet jej wyrozumiały ojciec nie zezwoliłby na taką wizytę - czytała jednak w przewodniku o tym wielce zabytkowym miejscu. Właściwie nie zależało jej na tym aż

tak bardzo, wolała bowiem posiadłości nowocześniejsze. Mimo wszystko spodobało się jej to zaproszenie, miała też nadzieję, że spodziewaną nudę życia na wsi ożywi jakieś małe przyjęcie, a brak rozrywek pozwoli jej skupić uwagę na osobie Lysandra.

Panna Baverstock, osoba niezaprzeczalnie piękna, należała do tych przebojowych młodych kobiet, które cieszą się wielkim powodzeniem u płci przeciwnej. W jej obecności mężczyźni czuli się szalenie pociągający, za to kobiety jej wręcz nie znosiły. Rówieśniczki uważały ją za ekscentryczną i wyrachowaną, i na pewno nigdy nie poprosiłyby jej o żadną przysługę. Jeśli ktoś zachorował, nie należało oczekiwać, że panna Baverstock złoży mu wizytę. Generalnie opinia kobiet była taka, że z okazałym posagiem dziesięciu tysięcy funtów, atrakcyjną figurą, wielkimi, brązowymi oczami i burzą czarnych loków, z łatwością zdobędzie wszystko, co zechce.

Jednak w jej planach tkwił jak cień pewien istotny szkopuł. Oriana ogromnie chciała zostać markizą, lecz nie była pewna, czy nie zmieni zdania, jeśli okaże się, iż posiadłość Lysandra jest tak obciążona, jak głoszą plotki. Naturalnie markiz nie mówił z nią na takie tematy, ale wiedziała od swojego brata Marka, że Lysander znalazł się w tarapatkach, biorąc na siebie długi ojca i brata.

- I co o tym myślisz, siostrzyczko? - zapytał Mark. - Masz ochotę tam pojechać?

- Naturalnie! Może być wesoło - odparła Oriana, pochłonięta

wybieraniem z koszyka najładniejszego jabłka.

- Lysander przestrzega, byśmy nie oczekiwali zbyt wiele. Zajęty sprawami posiadłości, nie będzie mógł zapewnić odpowiednich rozrywek.

- Mhm... - Oriana ponownie przyjrzała się kartce. - Pisze także, że nasza obecność będzie dla niego zaszczytem. Oczywiście musimy pojechać. Biedny Lysander! Jakże nudne muszą być interesy! - Ugryzła delikatnie jabłko i zapytała z udaną nonszalancją: - Czy jego sprawy naprawdę tak źle stoją?

- Wydaje mi się, że dosyć kiepsko - odparł brat i posłał jej znaczące spojrzenie.

- Niewątpliwie będę miała okazję przekonać się osobiście. Powiesz o tym ojcu czy ja mam to zrobić?

- Porozmawiaj z nim, Oriano, nie powinien mieć zastrzeżeń. Lady Helena Candover posłuży za przyzwoitkę, poza tym przyjadą Fabianowie.

- Zgoda - odparła Oriana.

Sir Richard Baverstock był człowiekiem nad wyraz leniwym, a od czasu śmierci żony, czyli od przeszło pięciu lat, nie robił nic, co bezpośrednio nie wiązało się z jego wygodą. Przed trzema laty Oriana musiała sama zorganizować swój debiut w towarzystwie, niemal siłą zmuszając babkę do poczynienia niezbędnych kroków. Na obronę sir Richarda trzeba powiedzieć, że nie żałował funduszy, aby córka

wypadła jak najlepiej. Prawdę mówiąc, był dumny z jej wyglądu i sukcesów towarzyskich i z ochotą wysłuchiwał cotygodniowych sprawozdań swojej matki na ten temat.

Upewniwszy się co do należytej opieki w Candover Court, nie sprzeciwiał się wyjazdowi, ba, zgodził się nawet, by rodzeństwo pojechało najlepszym powozem.

- Polujesz na Storringtona? - mruknął. - Dobrze się zastanów, zanim skoczysz do tej rzeki, moja droga. Słyszałem, że niezbyt dobrze mu się wiedzie; nie mam zamiaru utrzymywać kosztownego zięcia.

Oriana zbyła to milczeniem. Ojciec potrafi być czasami wyjątkowo obcesowy, pomyślała. Poza tym dobrze wiedziała, że zapłaci, ile trzeba, byle tylko wieść spokojne życie.

- Wyjeżdżamy w piątek - rzekła na koniec.

Gospodyni pokazała Clemency sypialnię na poddaszu, którą do niedawna zajmowała panna Lane. Woźnica bezceremonialnie rzucił na podłogę jej małą torbę i dziewczyna doznała szoku na widok miejsca, w którym przyszło jej spać.

Ściany pokoju, pobielone wapnem ze dwadzieścia lat temu, były przebarwione i wyblakłe od słońca. W rogach widniały ciemne ślady po załamaniu, świadczące o przeciekającym w wielu miejscach dachu. Przed łóżkiem leżał maleńki dywanik, poza tym nic nie zakrywało desek podłogowych. Pod ścianą stała obdrapana szafka z wiszącym nad nią

poplamionym lustrem. Łóżko miało wprowadzić baldachim, lecz jego okres świetności już dawno minął, podobnie jak materaca, który w dotyku wydał się jej zdecydowanie nierówny.

Na korzyść pokoju przemawiały dwie rzeczy: było tu czysto, a po drugie okno wychodziło na południe, dzięki czemu widziała z niego bramę i podjazd. Teraz, pod koniec sierpnia, wpadające popołudniowe słońce stwarzało tu pewien staromodny, nie pozbawiony uroku nastrój.

Clemency niespiesznie rozpakowała się. Za bawełnianą zasłoną znalazła kilka kołków do powieszenia rzeczy. Gospodyni poinformowała ją, że w dzbanie znajduje się świeża woda, brudna zaś będzie wylewana codziennie przez służącą. Dała też Clemency jasno do zrozumienia, by nie spodziewała się rano gorącej wody, bowiem to przywilej zarezerwowany wyłącznie dla dam i dżentelmenów na dole.

Dziewczyna usiadła na łóżku i spojrzała na portrecik ojca, który ustawiła na małym bambusowym stoliku. Co powiedziałby teraz, widząc ją w tak lichych warunkach? Wiedziała, że bez względu na tytuł nigdy nie zgodziłby się, by poślubiła rozwiązłego człowieka, nie pozwoliłby jej też odesłać do ciotki Whinborough.

Trudno, nie ma sensu się skarżyć. Poradzi sobie jakoś i tyle. Rozmawiała z kuzynką Anne, by za jakiś czas skontaktować się z panem Jamesonem i zapytać, jak się sprawy mają. Matka z pewnością uzna jej długą nieobecność wielce niezręczną i może znajdzie się jakieś wyjście.

Na razie pomieszka tutaj. Pocięszała się myślą, że mogłoby być o wiele gorzej. Panna Biddenham opowiadała jej okropne historie o traktowaniu słuźących guwernantek. Lady Helena wyraziła się jasno w tej sprawie. Napisała w liście: *Będzie pani towarzyszyć lady Arabelli przy wszystkich posiłkach. Zależy mi na tym, by oduczyc ją niestosownego zachowania i przygotować do przyszłorocznego wprowadzenia do towarzysztwa. Mam nadzieję, że zdoła pani poprawić jej maniery.*

Clemency nie miała pojęcia, jak to osiągnąć, w każdym razie cieszyła się, że nie będzie skazana na zimne ochłapy w kuchni.

Dotknęła jeszcze raz miniatutki i już szykowała się do zejścia na dół, gdy w tej samej chwili rozległo się gwałtowne pukanie do drzwi i tanecznym krokiem wbiegła Arabella.

- Wspaniale! - krzyknęła. - Tak się cieszę, że pani przyjechała, panno Stoneham. Koniec z tym okropnym francuskim!

- Jeśli pani ciotka zechce, by kontynuować naukę, będziemy musiały uczynić - odparła z uśmiechem. - Może zdobędę kilka egzemplarzy *La Belle Assemblee* i obejrzymy razem francuską modę? Zgoda?

- No, nie wiem, to chyba lepsze od Racine'a - stwierdziła dziewczyna z nagłą melancholią.

Clemency zaśmiała się, a Arabella po chwili także się Uśmiechnęła.

- Ciotka Helena prosi, żebym przyprowadziła panią na dół, gdy tylko będzie pani gotowa. Jesteśmy na razie same. Fabianowie przyjeżdżają jutro, Baverstockowie zaś w piątek.

Lady Helena przywitała się łaskawie z Clemency, podając jej rękę.

Dziewczyna miała już usiąść, gdy coś przyciągnęło jej uwagę.

- Och, lady Heleno, Millie się oszczeniła! Czyż te maleństwa nie są słodkie? - W rogu pokoju stało pudło, w którym Millie pilnowała zazdrośnie czterech rozkosznych szczeniaków.

- Miło, że tak mówisz, moja droga - odparła lady Helena z aprobatą. Nie rozumiała, dlaczego Lysander nie znosi tej czarującej dziewczyny. Panna Stoneham wiedziała, że są w żałobie, i miała na tyle taktu, by ubrać się w szarą sukienkę ozdobioną tylko czarną aksamitką. Tak, pomyślała lady Helena, ta dziewczyna nadaje się na towarzyszkę dla Arabelli.

Gdy Clemency i Arabella weszły do salonu, Lysander wstał i lekko się uklonił. Jednak nie podał jej ręki; wyraźnie było widać, że nie chce, by tu została.

Clemency usiadła, czując nagłe przygnębienie. Dlaczego nie jest bardziej życzliwy? Czyżby jeszcze nie wybaczył, że natknęła się w lesie na Arabellę i młodego Baldocka? Przecież to nie jej wina!

Co za głupstwa, skarciła się w duchu. Jakie ma znaczenie, że markiz nią gardzi? Przecież nie chce mieć do czynienia z tym wstrętnym człowiekiem i im mniej go będzie widywać, tym lepiej. Poprawiła suknię i starała się skupić na słowach lady Heleny.

Oczekiwała, że markiz powróci zaraz do swojego gabinetu.

Nie wiadomo dlaczego, markiz został.

Następnego ranka Clemency i Arabella spędziły większość czasu na ustawianiu kwiatów w pokojach gościnnych. Niełatwo było znaleźć wystarczającą liczbę pokoi, które nadawałyby się do zamieszkania. Lady Helena nawet o tym nie pomyślała, w końcu od czego mają ochmistrzynię? Z drugiej strony pani Marlow pracowała u nich zaledwie od pięciu lat, a przez ten czas bywało tu niewielu gości, bowiem trzeci markiz wiecznie wyjeżdżał z myśliwymi na suto zakrapiane spotkania, Alexander zaś spędzał większość czasu w Londynie.

Już w dniu przyjazdu Clemency zauważyła, że gospodyni wygląda na zaniepokojoną, żeby nie powiedzieć przerażoną, rosnącą liczbą gości, spytała więc lady Helenę, czy mogłaby w czymś pomóc.

- Naturalnie, moja droga - odparła z roztargnieniem dama kobieta i zaraz o tym zapomniała, zajmując się psami. - Pongo, zejdź stamtąd!

Clemency przyjęła to jako zgodę. I dobrze zrobiła, bo zszedłszy do kuchni, zastała tam rozhisteryzowaną panią Marlow, która była już skłonna złożyć wymówienie. Clemency ze wszystkich sił starała się ją uspokoić.

- Mam trochę doświadczenia w urządzaniu przyjęć, pani Marlow - powiedziała. - Jeśli mogę czymś służyć, proszę mnie o wszystko pytać. Jestem do pani dyspozycji.

Gospodyni rozpromieniła się i już w swoim pokoju, przy filiżance

herbaty, zwierzyła się jej spokojniejszym tonem, iż nigdy nie przyjęłaby tego zajęcia, gdyby wiedziała, że będzie tyle bieżaniny. Dodała, że w poprzednim miejscu, w Bath, opiekowała się starszym małżeństwem, gdzie rozrywki kończyły się na wieczornej herbatce.

Na prośbę dziewczyny przeszły się razem po pokojach.

- Dobry Boże! - krzyknęła Clemency na widok pierwszej sypialni, gdzie mysz urządziła sobie w łóżku legowisko. - Nie możemy ulokować tutaj lady Fabian!

- Mamy tak mało czasu, panno Stoneham - lamentowała kobieta. - Poza tym jest niewiele służby, a tu trzeba jeszcze gotować posiłki. Molly i Peg są potrzebne w kuchni, nie mogę ich posyłać do sprzątania pokoiów!

- Naturalnie, że nie. Musimy sprowadzić kilka dziewcząt z wioski.

- Ale jego lordowska mość...

- Niech pani zostawi to mnie. - Clemency pomyślała, że markiz z pewnością wysupła kilka szylingów na dodatkową pomoc. Wszak nie oczekuje chyba, że jego goście będą spali na podłodze!

Pani Marlow znalazła do pomocy kilka dziewcząt i do czasu przyjazdu Fabianów przygotowano cztery sypialnie. Co prawda panny Fabian musiały dzielić jeden pokój, lecz według Clemency nic na to nie można było poradzić. Panicz Giles został umieszczony w pokoju, który służył kiedyś jako garderoba przy głównej sypialni, gdzie olbrzymie łóżko zupełnie nie nadawało się do użytku i na dodatek było pełne

tomików. Dziewczyna wątpiła, czy ktokolwiek spał w nim od stu lat. Garderoba, choć mała, wydawała się przynajmniej czysta i sucha, w każdym razie nie było wyboru.

Kiedy rankiem w dniu przybycia Fabianów Lysander wychodził z sypialni, natknął się w korytarzu na Clemency, Odzianą w roboczy fartuszek i ze stertą bielizny pościelowej w ręku. Miała też ubrudzony kurzem nos, a z włosów zebranych na czubku głowy wysunął się złoty kosmyk.

- Na Boga, panno Stoneham! Czy brakuje już służby do robienia tych rzeczy?

- Tak - odparła szczerze.

Lysander poczuł nagłą chęć poprawienia jej włosów, choćby muśnięcia ich palcami, ale włożył tylko ręce głęboko do kieszeni spodni.

- To niezbyt odpowiednie zajęcie dla opiekunki mojej Siostry - stwierdził i uniósł z dezaprobatą brwi.

- Och, lady Arabella także nam pomaga - odparła słodko Clemency. Potem dygnęła wdzięcznie i tyle ją widział.

Zdumiony, został sam z kwaśną miną.

Gdy spotkali się znowu przy obiedzie, markiz wytknął lady Helenie:

- Zatrudniła ciocia pannę Stoneham jako guwernantkę, a widzę, że robi rzeczy należące do służby. Co gorsza, pozwala Arabelli brać w tym udział. - Potem dodał, że byłby bardziej zadowolony, gdyby jego

siostra zajmowała się francuskim.

Lady Helena podniosła nań wzrok, przestając zachęcać Muffina do zjedzenia resztek żeberek.

- Bzdura, Lysandrze. Nic jej się nie stanie, jeśli zobaczy, jak się prowadzi dom. Jestem tylko wdzięczna, że panna Stoneham zdjęła ten ciężar z moich ramion. Wraz z panią Marlow radzą sobie doskonale.

Markiz spróbował z innej beczki:

- Proszę się nie krępować, panno Stoneham, może i ja przydam się przy jakichś pracach - rzucił z sarkazmem.

- Dziękuję, milordzie - podchwyciła szybko Clemency. - Wydaje mi się, że pani Marlow potrzebowałaby kilka synogarlic. Ma zamiar zrobić pieczone z sosem grzybowym, a jak wiem, jest to pana ulubione danie.

- Jeśli w lesie zostały jeszcze jakieś grzyby po pani ostatnim plądrowaniu!

Co za nieznośna dziewczyna! - Ni stąd, ni zowąd przybyła do jego domu i po niecałej dobie wydaje się już go prowadzić!

Clemency, niepewna, jak przyjąć te słowa, spojrzała na niego niezdecydowanie. Jednak, ku jej uldze, uśmiechał się.

- Bez obaw, wspólnie z lady Arabella poradzimy sobie z grzybami - odparła poważnie.

- A co z rozmówkami po francusku? Czy zamierzacie zupełnie to zaniedbać?

- *Pas du tout. Nous parlerons français en cherchant des champignons!*

Arabella popatrzyła na nauczycielkę z paniką w oczach, lecz Lysander tylko się zaśmiał.

- *Touché*, panno Stoneham. - Spojrzał na nią znacznie przychylniej. Do licha, podobała mu się dziewczyna, która staje do rozmowy z nim jak równy z równym. Nie mógł jej też ganić za to, że natknęła się w lesie na Arabellę, właściwie powinien to potraktować jako szczęśliwe zrządzenie losu - inaczej nie wiadomo, jak by się sprawy potoczyły. Jest poza tym niezwykle piękna, choć nazbyt szczupła jak na jego gust. Osobiście preferuje brunetki o obfitych kształtach, bardziej w typie Oriany. A w ogóle panna Stoneham została tu zatrudniona jako płatna towarzyszką Arabelli, Lysander zaś, w przeciwieństwie do swego brata, nie miał zwyczaju zadawać się ze służbą.

Zanim zdążyli się zjawić Fabianowie i wszyscy zasiedli do kolacji, Clemency czuła się, jakby mieszkała w Candover Court co najmniej od tygodnia, a nie zaledwie jeden dzień.

Lord Fabian, tęgi jegomość około pięćdziesiątki, zachowywał się jak przystało na prawdziwego dżentelmena. Traktował Clemency z dyskretną kurtuazją, podobnie zresztą jak jego żona. Lady Fabian, ubranej nieco modniej od męża, najwyraźniej odpowiadała podupadła świetność Candover Court. Mimo że pani Marlow wraz z pomocnicami uczyniły wszystko, co w ich mocy, nic nie zdołało ukryć postrzępio-

· Nic podobnego! Będziemy rozmawiać po francusku podczas zbierania grzybów. (przyp. red.).

* Trafione! (przyp. red.).

nych i wyblakłych zasłon czy też plam na jedwabnych draperiach. Lady Fabian, bliska kuzynka matki Lysandra, uważała zapewne, że trochę nieporządku w domu nie ma znaczenia i absolutnie nie brała tego krewnym za złe.

Już od dawna utarł się wśród rodziny pogląd, że trzeci markiz nie dba o swoją fortunę, a po jego śmierci lord Alexander okazał się jeszcze gorszy. Lady Fabian nie widziała Lysandra od czasu, kiedy chodził do szkoły, lecz z opowieści krewnych wiedziała, że jest on z nich trzech najbardziej odpowiednim kandydatem do sukcesji.

Starsza córka państwa Fabian, Adela, była początkowo zaszokowana panującą w majątku ogólną atmosferą zniszczenia i nieładu. W mniemaniu matki uchodziła za pannę dobrze wychowaną, chociaż może zbyt pochłoniętą pobożnymi praktykami i dobroczynnością. Minęły już trzy lata, jak została wprowadzona do towarzystwa, lecz dotąd nikt, nie licząc chorowitego wikarego z East End Mission, który cierpiał na polipy w nosie, nie zainteresował się nią. Chuda i wyjątkowo mało powabna, szczyliła się, że jest córką barona, a pokrewieństwo z markizem Storringtonem stało się dla niej dodatkowym źródłem satysfakcji - chociaż widziała go tylko raz, i to wiele lat temu. Nie przeszkadzało jej to w chełpliwym przypominaniu przyjaciółom o swoich znakomitych koneksjach. Nic więc dziwnego, że fatalny stan majątku i dworu były dla niej przykrą niespodzianką i tego niekorzystnego wrażenia nie poprawiły ani dumna postawa, ani

ciemna karnacja kuzyna Lysandra.

Jeśli dom popada w ruinę, pomyślała, taka już widać wola boska. Arabella wydała jej się bezwstydną flirtiarą i miała tylko nadzieję, że nie wciągnie Diany w swoje gierki.

Diana, młodsza córka Fabianów, zerknęła za to z zazdrością na Arabelle, siedzącą po drugiej stronie stołu. Jaka jest śliczna i ożywiona! Ona sama, od wielu lat skazana na bogobojne kazania siostry na temat skromności i całej reszty cnót obowiązujących młodą chrześcijankę, marzyła o odrobinie swobody, którą aż w nadmiarze cieszyła się Arabella. Nawet guwernantka jej młodszej kuzynki była piękna! Nauczycielka Diany, osoba o równie kanciastym wyglądzie, jak i charakterze, na pewno nie należała do osób, które bawią towarzystwo.

Co do szacownego Gilesa Fabiana, który w mniemaniu wielu miał zadatki na misjonarza, wystarczyło, by tylko rzucił okiem na Clemency, a nie potrafił już myśleć o niczym innym. Nie zwracał uwagi na oburzenie i rzucane szeptem uwagi Adeli, że panna Stoneham to zwykła guwernantka, i że robi z siebie durnia. Przez resztę kolacji wpatrywał się w nią, ledwie tknąwszy potrawki z dziczyzny i grzybów. Clemency miała na sobie czarną jedwabną suknię, delikatnie przymarszczoną pod szyją, która doskonale kontrastowała z jej złocistymi włosami i podkreślała zgrabną figurę.

Lysander, ku zadowoleniu i uldze ciotki, już od dawna nie był tak spokojny i odprężony. Timson znalazł w piwnicy lalka butelek

przedniego wytrawnego wina, które, o dziwo, przetrwało spustoszenia czynione przez Alexandra. Markiz rad zauważył, że przypadło ono do gustu lordowi Fabianowi. Najwyraźniej cnotliwe życie nie przeszkadzało kuzynowi delectować się jaśniejszymi stronami życia. W krótkim czasie Lysander uznał, że Fabian jest właściwie całkiem sympatycznym jegomościem z głową na karku, i postanowił przy pierwszej okazji wypytać go o kilka spraw dotyczących posiadłości. Zmienił także zdanie o lady Fabian, która okazała się nadzwyczaj rozsądną i bezpośrednią kobietą. Co więcej, dzięki niej nawet ciotka Helena zachowywała się z mniejszą niż zwykle ekscentrycznością.

Mniej czasu miał na ocenę młodszego pokolenia, co po części brało się z faktu, że nie dostrzegał tam nic interesującego. Adela dała się poznać jako klasyczna świętoszka, nie mająca ani ujmującej figury, ani charakteru, Diana zaś to jeszcze niezdarna pensjonarka. Całą uwagę przeniósł na Gilesa.

Młody człowiek gapił się, zupełnie oczarowany, na Clemency.

W oczach Lysandra pojawił się groźny błysk. Jeśli panna Stoneham zamierza usidlić swoim wdziękiem nieopierzonego młokosa, będzie musiała odejść. Choćby jej suknia! Wprawdzie jest czarna, w kolorze odpowiednim do jej pozycji, ale ten wyzywający krój! Czy guwernantki noszą tak głęboko wycięte staniki? Panna Lane nigdy by się tak nie ubrała. Poczł nagle niezrozumiałą złość i niepokój. Mimo że Clemency prowadziła ożywioną rozmowę to z lordem Fabianem po lewej stronie,

to z Arabellą po prawej, markiz przez resztę posiłku nie spuszczał wzroku ani z niej, ani z Gilesa.

Arabella bawiła się przednio. Nawet nie narzekała, że z braku wystarczającej liczby mężczyzn posadzono ją między Clemency i kuzynką Adelą. Rozkoszowała się swoją pierwszą dorosłą kolacją i nic nie mogło jej zepsuć humoru. Podano jej nawet maleńki kieliszek wina!

Szybko uznała, że Giles jej nie interesuje. Schadzka z młodym Baldockiem wypadła katastrofalnie, lecz Josh, w odróżnieniu od kuzyna, był przynajmniej prawdziwym mężczyzną. Starła się wyobrazić sobie młodego Fabiana w lesie wśród paproci, lecz nie potrafiła. Na jej dobre samopoczucie wpływała też Diana, która bez przerwy gapiła się na nią z takim samym wyrazem cielecego zachwyty, z jakim jej brat patrzył na Clemency. Do tej pory zamieniły ze sobą zaledwie parę słów, lecz Diana wyraźnie pragnęła zostać jej przyjaciółką, że poruszyła do głębi samolubne serce Arabelli. Uśmiechnęła się do kuzynki, otrzymując w zamian promienny uśmiech.

Lady Helena wstała tymczasem i poprowadziła panie do salonu, Lysander zaś wskazał ręką, by lord Fabian i Giles usiedli koło niego, i zaprosił ich na kieliszek porto. Timson postawił właśnie na stoliku butelkę i wyszedł.

- Czarująca dziewczyna ta panna Stoneham - stwierdził z przekonaniem lord Fabian. - Co więcej, potrafi też mówić do rzeczy, w

przeciwieństwie do mojej biednej Adeli. Skąd pochodzi?

- To kuzynka pewnej wdowy po pastorze, która niedawno się tu sprowadziła. Ciotka ma nadzieję, że dziewczynie uda się upilnować Arabelle, co wcześniej nie powiodło się łozinowi innych guwernantek!

- Jest również nadzwyczaj urodziwa - ciągnął lord Fabian. - Ty chyba też to zauważyłeś, co, Giles? - Młodzieniec w tym momencie zakrztusił się winem i zrobił się purpurowy. - Jedno mnie dziwi, czemu w ogóle najęła się do takiej pracy?

- Dlaczego pan tak mówi? - Lysander zmarszczył brwi.

- Guwernantki bywają zwykle łagodne i aż do przesady uległe. Panna Stoneham odznacza się wszelkimi walorami pięknej i niezależnej kobiety, która nigdy nie potrzebowała zarabiać na życie. A co ważniejsze, śmiało i bez udawania wyraża swoje sądy.

Giles przełknął ślinę i rzekł z zapalem:

- Wypowiedzi panny Stoneham muszą budzić respekt... - zamilkł, spostrzegłszy sardoniczny wyraz twarzy markiza.

- Jej opinie są często nieprzemyślane i zbędne - rzucił pstro Lysander.

W oczach lorda Fabiana zapaliły się wesołe iskry. Lysander ma w sobie dużo z arogancji Candoverów, pomyślał. Nie sądził, by kilka przegranych potyczek słownych z panną Stoneham zdołało tu coś zmienić. Zastanawiał się także, czy markiz nie został przypadkiem zauroczony jej urodą.

Dzięki Bogu, on sam jest już w wieku, kiedy może się cieszyć

względami młodej kobiety, nie wzbudzając wśród mężczyzn podobnej wrogości, jaką markiz okazuje biednemu Gilesowi. Zauważył z radością, że jego syn przejawiał wreszcie cień zainteresowania kobietą. Oboje, Giles i Adela, byli w jego mniemaniu stanowczo zbyt cnotliwi i pochłonięci pobożnymi praktykami.

Uważał ich przyjazd tutaj za nieporozumienie i zgodził się nań tylko z powodu nalegań żony. Teraz uznał, że to się może okazać całkiem pożyteczne i zabawne.

W salonie Arabella i Diana usiadły razem przy oknie. Diana dotykała nerwowo sukienki, zupełnie niepotrzebnie robiąc w niej pełno zagnieceń. Dziewczęta były na tyle młode, że mogły jeszcze nosić białe suknie na znak żałoby. Biel pasowała do świeżej, brzoskwiniowej cery Arabella. Dianie zaś nadawała wyblakły wygląd.

- Czy... czy... czy nadal masz... lekcje, kuzynko? - zająknęła się Diana.

- W rzeczy samej, codziennie rano - odparła Arabella z grymasem. - Ale teraz, kiedy przyjechaliście, być może ciocia Helena zgodzi się je zawiesić.

- Och, to szkoda - rzekła ze smutkiem dziewczyna.

- Dlaczego? - zdumiała się Arabella.

- Ja... miałam nadzieję przyłączyć się...

Arabella popatrzyła na nią z niedowierzaniem. Ona chce się uczyć? Zerknęła na Clemency, która akurat starała się podtrzymać jednostronną konwersację z Adelą.

- Panno Stoneham!

Dziewczyna odwróciła się w jej stronę.

- Kuzynka Diana chciałaby uczestniczyć w naszych lekcjach. Skoro mamy gości, czy naprawdę musimy je odbywać?

- Naturalnie - odparła Clemency. - To tylko poranne zajęcia. Oczywiście, panna Diana będzie również mile widziana, jeśli zgodzi się na to jej mama.

- Och, bardzo dziękuję, panno Stoneham! - Twarz Diany ponownie się rozpromieniła.

- Ale po co właściwie chcesz to robić? - zapytała ją Arabella z ciekawością.

- Ja... nie potrafię się zachowywać w towarzystwie - odpowiedziała szeptem Diana, przebierając znów palcami w fałdach sukni. - Boję się, że powiem coś nie tak. - Popatrzyła błagalnie na kuzynkę. - Ty jesteś taka piękna i pełna wigoru, i pewnie nawet nie wiesz, o czym mówię.

- To czysty egoizm myśleć w towarzystwie tylko o sobie wtrąciła zgryźliwie Adela, która usłyszała koniec ich rozmowy. - Gdybyś bardziej dbała o innych niż o siebie, nie byłabyś tak potwornie wstydliva.

Diana zamilkła, zdruzgotana krytyką siostry.

Arabella za to rzuciła drugiej kuzynce zawzięte spojrzenie i nie zważając na to, że ta wyjęła właśnie mały modlitewnik i zatopiła się w lekturze, krzyknęła:

- Co za okropnie bezduszne stwierdzenie!

Adela zignorowała ją, udając że tego nie słyszy.

Lady Helena i lady Fabian siedziały na kanapie i rozmawiały, a między nimi leżała suczka Muffin.

- Heleno, cieszę się, że do mnie napisałaś. Nie wiem, dlaczego nie pomyślałam wcześniej o przywiezieniu dziewcząt. Chyba sądziłam, że Arabella jest dużo młodsza! Ale to szczęśliwe zrządzenie Opatrzności. Muszę ci powiedzieć, że miałam poważne obawy, jeśli idzie o Dianę. Nie lubię jej nigdzie zabierać, nie potrafi się znaleźć w towarzystwie, zazwyczaj milczy i tylko wpatruje się w podłogę z czerwoną twarzą.

- Muszę cię ostrzec, Mario, Arabella bywa czasami trudna do opanowania i samowolna, ciężko ją kontrolować.

- Tak, ale przynajmniej nie nabiera wody w usta!

- Zaiste, jest raczej odwrotnie.

- Woląabym już mieć córkę nazbyt żywą, niż taką, która nie potrafi wydukać ani słowa - westchnęła lady Fabian. - Jestem pewna, że droga Arabella zajmie się Dianą i doda jej trochę pewności siebie. Cieszę się, że się poznały. a

Lady Helena wspomniała ostatnią eskapadę bratanicy i zacisnęła dłonie. Miała nadzieję, że nie zajdzie nic, co zmieni zdanie lady Fabian.

Kiedy Clemency kładła się wieczorem do łóżka, z zadowoleniem przypominała sobie wydarzenia minionego dnia. To, że udało się bez

trudu rozlokować Fabianów, mogła zawdzięczać głównie sobie i sprawiło jej to wielką radość. Poza Adelą, wydają się bardzo miłymi ludźmi. Nie martwiło jej nawet krępujące zachowanie Gilesa, a lord Fabian okazał się prawdziwym dżentelmenem. Nie musi się obawiać, że któryś z nich zachowa się jak jej fikcyjny były pracodawca. Poza tym pokładała wielkie nadzieje w Dianie, wierzyła bowiem, że będzie miała pozytywny wpływ na Arabelle, która jako najmłodsze i najbardziej rozpieszczone dziecko wymaga innego niż dotąd traktowania. Gdy zajmie się Dianą, osobą potrzebującą jej opieki i czułości, sama zapewne zmieni się na lepsze.

Z rzeczy bardziej praktycznych, znalazła zapasowy materac, o wiele wygodniejszy niż poprzedni. Wyciągnęła go spod jednego z łóżek i bez wahania przeniosła do swojego pokoju. Poprzedniej nocy przewracała się z boku na bok, nie mogąc zasnąć, i miała nadzieję, że teraz będzie lepiej.

Gdy czesała i zaplatała na noc włosy, przyznała w duchu, że niepokoi ją jedno, a mianowicie markiz. Zdawała sobie sprawę, że jest on mężczyzną nieprzeciętnym i atrakcyjnym, a oskarżenia pod jego adresem nie do końca wymazały z jej pamięci spotkanie w Richmond.

Obiecała sobie, że postara się jak najbardziej schodzić mu z oczu. Dzięki Bogu, że poranki przyjdzie jej spędzać przy nauce - powinna być za to wdzięczna Dianie. Musi sobie tylko znaleźć jakieś zajęcie na popołudnia, być może wyręczać lady Helenę przy kąpaniu i

szczotkowaniu psów albo wyprowadzaniu ich na spacer.

W każdym razie, gdy przyjadą Baverstockowie, nie będzie już tak bardzo potrzebna. Nie zapomniała jeszcze ani pogardliwego wyrazu twarzy Oriany, ani tego, jak pan Baverstock z lekceważeniem rzucił jej monetę. Teraz jednak była dobrej myśli - nie sądziła, że będzie się musiała nimi przejmować.

Niestety, bardzo przeliczyła się w tej kwestii.

Baverstockowie zjawili się następnego dnia około czwartej po południu. Na odgłos nadjeżdżającego powozu Lysander przerwał rozmowę z Frome'em i wyszedł im żwawo na spotkanie.

Gdy stangret zajechał przed dom, Timson uchylił potężne dębowe drzwi i pobiegł do powozu, by otworzyć drzwiczki i opuścić stopnie. Pierwsza wysiadła Oriana. Po władczym spojrzeniu, jakim obrzuciła dwór, służący od razu poznał, że być może ma przed sobą przyszłą panią. Podobnym wzrokiem dama zmierzyła markiza.

Pani Marlow czekała już w hallu, by przywitać się z nowo przybyłymi - podobnie jak Timson wyczuwała przyszłą panią domu. Gospodyni poprosiła jedną ze służących, aby zaprowadziła na dół pokojówkę i kamerdynera państwa Baverstocków. Spostrzegła natychmiast, że panna Baverstock należy do osób, które zupełnie lekceważą służbę - z pewnością nie jest hojna, jeśli chodzi o prezenty, prawdopodobnie też będzie bardzo wybredna. Dlatego z drżeniem serca poprowadziła

rodzeństwo po starych dębowych schodach, na których leżał wytarty chodnik. Wkrótce doszli do południowego skrzydła, gdzie razem z Clemency postanowiły umieścić Baverstocków.

Dziewczęta z wioski spędziły w pokojach cały ranek, myjąc i pastując meble, a Clemency ustawiła na stolikach gustowne bukiety kwiatów. Mimo to pani Marlow zdawała sobie sprawę, że sypialnie są zaniedbane, a meble wyglądają zdecydowanie staromodnie.

Wyraz niesmaku, z jakim Oriana rozglądała się po pokoju spowodował, że pani Marlow poczuła się w obowiązku przeprosić ją za niedogodności.

Oriana niecierpliwie wysłuchiwała gospodyni i pomyślała, że pierwszą rzeczą, jaką uczyni, gdy zostanie parną Candover Court, to pozbycie się starej, nieudolnej służby.

- Proszę przysłać tu Elizę - powiedziała krótko.

- Muszę dzielić pokój ze służącą lady Fabian, panno Oriano - to były pierwsze słowa, jakie usłyszała od swojej pokojówki. - Nie jestem do tego przyzwyczajona - narzekała dziewczyna. - Pokój jest prawie ogołocony z mebli i czuć w nim myszy, a w oknach nie ma nawet zasłon!

Oriana wzruszyła ramionami; te służące, wiecznie narzekają!

- Musisz mnie uczesać, zanim spotkam się z lady Heleną - powiedziała. Zdecydowała, że na wieczór włoży suknię z atłasu w kolorze herbacianym. Będzie doskonale kontrastowała z ciemnymi

strojami osób w żałobie.

Tak naprawdę nie chodziło jej o lady Helenę. Spotkała ją kilka razy w Londynie i wiedziała, że ta dama nie zwróci żadnej uwagi na jej strój i fryzurę.

Bardziej miała na względzie pozostałych, nie znanych jej jeszcze gości, szczególnie Adele, o której wiele słyszała, i młodego Gilesa Fabiana. Oriana lubiła mieć pewność, że przyćmi w towarzystwie każdą inną pannę i zrobi wrażenie na mężczyznach.

W salonie zastała tylko obie matrony i Adele. Wystarczył jeden rzut oka na pannę i Oriana uspokoiła się. Lysander z pewnością nie zechce spojrzeć na taką nudną, wykrochmaloną dziewczycę!

Nieco później z ogrodu powrócił Giles z Dianą i Arabellą, a Oriana poczuła na ich widok zarówno ulgę, jak i zawód. Stwierdziła, że Diana, podobnie jak Adela, nie dorasta jej do Pięt, Giles zaś jest, niestety, zbyt młody, by docenić urok kobiety. Należało jednak zająć się Arabellą - może mieć zgubny wpływ na brata.

Była zupełnie nie przygotowana na wejście Clemency.

Dziewczyna przebywała dotąd wraz z pozostałymi w ogrodzie i zbierała maliny. Miała na sobie starą sukienkę, tę samą, w której przyjechała do ciotki na wozie wuja Sally, nie przejmowała się więc, że krzaki plamią ją i wyciągają nitki z materiału. Nie wypadało jednak zjawić się w tym stroju w salonie, toteż poszła się przebrać do swojego pokoju. Zeszła do gości, gdy podawano herbatę, ubrana w suknię z

białego, delikatnie nakrapianego muślinu, ozdobioną gustownym kołnierzem i stanikiem obszytym czarną aksamitką.

Wrażenie, jakie wywarła na Baverstockach, było piorunujące. Mark, który właśnie wyglądał posępnie przez okno i zastanawiał się, co za diabeł podkusił go do przyjazdu tutaj, stanął jak wryty. Jeszcze bardziej ucieszył się, gdy usłyszał, że panna Stoneham jest guwernantką Arabelli. Co za smaczny kąsek, pomyślał. Jej pozycja w tym domu może tylko ułatwić sprawę. Przynajmniej nie musi się martwić, że będzie go ścigał jakiś zhańbiony ojciec.

- Miło panią poznać, panno Stoneham - przywitał się i znacząco uścisnął jej dłoń. Z przyjemnością ujrzał, że dziewczyna się zarumieniła.

Rozbawiony zerknął na siostrę - wyraźnie wyglądała na zgaszoną. Biedna siostrzyczka, miała nadzieję na wolną drogę. Zastanowił się, jakie zamiary może mieć Lysander. Nic o tym nie mówił, pokazując Markowi pokój, wspominał jedynie o możliwości pójścia na ryby, więc chyba nie jest zainteresowany tym pięknym kwiatuszkiem. Tym lepiej, nie lubi kłusować na terenie przyjaciół.

Oriana wyciągnęła niedbale dwa palce w stronę Clemency, po czym natychmiast powróciła do rozmowy z Adelą.

Guwernantka, pomyślała. Ha! A może jest kochanką Lysandra? No cóż, ona, Oriana Baverstock, już wkrótce pokaże tej pannie, gdzie jej miejsce. W tym momencie Clemency wstała, by podać lady Fabian

filiżankę herbaty, i Oriana spostrzegła z oburzeniem, że dziewczyna nosi jedwabne pończochy. Jedwab dla guwernantki! Ma się rozumieć, jeśli w ogóle jest guwernantką. Lady Helena mogła dać się oszukać i wpuścić taką kobietę za próg, ale ona nie ma wątpliwości co do prawdziwego zawodu i proveniencji tej panny.

Mark również zauważył pończochy. Zbyt dużo naznosił ich w prezencie przeróżnym aktorkom, by na pierwszy rzut oka nie rozpoznać charakterystycznego, jedwabistego połysku. A więc panna Stoneham nie jest aż tak poważną nauczycielką, jak mogło by się wydawać. Zapewne inni kochankowie zapłacili za te kosztowne fatałaszki. Tym lepiej, dotarcie do niej będzie łatwiejsze.

Lysander oczekiwał niecierpliwie przyjazdu Baverstocków. Z przyjemnością wspominał swoje liczne wizyty w Stoneleigh Manor, polowania z Markiem i małe flirty z Oriana, które urozmaicały im długie wieczory i ponure, pochmurne dni.

Razem z Markiem uczyli się w Eton i wspólnie wychodzili na miasto. Bawili się wspaniale, jak przystało na młodych i zamożnych mężczyzn z dobrych domów, chociaż Lysander dysponował jedynie pięciuset funtami rocznego kapitału w spadku po ojcu chrzestnym. Beztrosko spędzali czas to z tancerkami, to w licznych kasynach gry. Lysander miał głowę do gier i jeżeli nie zdawał się na los szczęścia, udawało mu się łątać dziury między wpływami a wydatkami. To mu zresztą

odpowiadało, ojciec bowiem, trzeci markiz Storrington, najwidoczniej doszedł do wniosku, że nie ma żadnych zobowiązań wobec drugiego syna - który pozostawał niejako w rezerwie - i zupełnie się nim nie interesował. Obyło się przy tym bez kłótni i awantur. Markiz z przyjemnością gościł syna w Candover na święta albo zapraszał go na obiad do White'a podczas nielicznych wizyt w Londynie, lecz zawsze dawał wyraźnie do zrozumienia, że nie zamierza mu pomagać finansowo.

Z pewnością byłoby mądrzej z jego strony, gdyby uczynił tak ze starszym synem, ale Alexander był dziedzicem i należały mu się wszelkie przywileje.

Istniało jednak wiele miejsc, w których lord Lysander Candover był mile widzianym gościem, i mimo skromnych funduszy udawało mu się żyć na zupełnie przyzwoitym poziomie. Naturalnie, nie spodziewał się, że zubożały dżentelmen, nawet syn markiza, będzie traktowany przez matrony z towarzystwa jako poważny kandydat na męża dla ich córek. Wcale się tym nie martwił, ponieważ, jak dotąd, nie myślał o ożenku. Poza tym miał pewność, że żadna debiutantka nie oskarży go o igranie z jej uczuciami.

W tej sytuacji, nie mając na względzie poważnych zamiarów, zaprosił do Candover Court pannę Baverstock wraz z bratem. Zawsze czuł do niej sympatię i podziwiał jej zdolność osiągnięcia zamierzonych celów. Uważał ją przy tym za kobietę niezwykle atrakcyjną, więc miesiąc w jej

towarzystwie wydał mu się nader miłym i obiecującym pomysłem.

Z pewnością nie spodziewał się żadnych kłopotów.

Ponieważ Lysander nie lubił jadać w godzinach, w jakich robiono to na wsi - uważał za absurdalne spożywać kolację o szóstej i odczuwać głód już o dziesiątej - nakazał zachować miejskie pory posiłków i kolację podano przed ósmą. Pierwszego dnia, zaraz po popołudniowej herbacie, zaprosił Baverstocków na przechadzkę do ruin starego klasztoru, leżącego po wschodniej stronie domu. Dzień był upalny, słońce właśnie zachodziło i Oriana nie potrzebowała nawet szala.

Lysander podał jej ramię, a parę kroków za nimi podążał Mark. Po głowach obojga rodzeństwa chodziła jedna myśl, ale żadne z nich nie miało śmiałości zapytać o to wprost.

- Twoja siostra jest taka słodka, Lysandrze, bardzo żywa i nie zepsuta - zaczęła Oriana.

- To piękne dziewczątko - dodał Mark.

- Miło mi to słyszeć - oparł Lysander z uśmiechem. Mimo denerwującego zachowania Arabelli, kochał siostrę i cieszył się, kiedy ją chwalono.

- Czy lady Helena zamierza w tym sezonie wprowadzić ją do towarzystwa? - spytała Oriana. - Będzie ozdobą salonów, z pewnością jest w wieku, kiedy nie potrzebuje się już guwernantki.

W powietrzu wisiało nie zadane pytanie.

- Kuzynka Maria chce jej urządzić wspólny debiut z Dianą -

poinformował markiz. - No proszę, już jesteśmy na miejscu. Klasztor pochodzi z trzynastego wieku, chociaż niewiele z niego pozostało.

Oriana obrzuciła zabytki przelotnym spojrzeniem i odparła z udanym współczuciem:

- Biedna panna Stoneham pozostanie bez pracy. Ale taki jest, niestety, los guwernantek. - Rozejrzała się dokoła i dodała: - Co za urocze miejsce. Musi tu być czarująco w czerwcu, kiedy wszystko jest pokryte różami. - A po chwili dorzuciła: - Zapewne będzie dla niej wstrząsem rozstanie z tak słodką dziewczyną jak Arabella.

- Jeszcze do niedawna nikt z nas nie wiedział o istnieniu panny Stoneham - zaśmiał się Lysander. - Poznaliśmy ją zaledwie dwa tygodnie temu. To ciotka nalegała, aby ją zatrudnić. Arabella ma talent do wprowadzania swoich nauczycielek w histerię, a ciotka Helena stwierdziła, że nowa, młoda guwernantka poradzi sobie tam, gdzie biedna panna Lane, tak jak i tuzin jej poprzedniczek, nie dało rady. Panna Stoneham ma u nas pracować jedynie do czasu powrotu Fabianów do miasta.

- Rozumiem, że nie zależy ci na tej pannie - rzekła Oriana, dotykając mchu rosnącego w szczelinach muru.

Lysander niechętnie rozmawiał o pannie Stoneham. Nie wahał się wypowiadać krytycznych uwag w obecności samej Clemency czy nawet ciotki, lecz nie zamierzał robić tego przy Orianie.

- Nie mam nic do powiedzenia na ten temat. - Wzruszył ramionami. -

Ciocia Helena zajmuje się Arabella i jej nauką - dodał krótko.

Mark, z uwagą przysłuchujący się rozmowie, był tymi słowami bardzo pocieszony. Nie chciał wchodzić w drogę swojemu przyjacielowi, ale skoro dziewczyna go nie interesuje, to nie będzie miał żadnych oporów. Przecież nie brakuje guwernantek, lady Helena będzie po prostu musiała znaleźć inną. Panna Stoneham - ciekawe, jak ma na imię - jest zresztą zbyt piękna, by pełnić w tym domu rolę popychadła. Być może, jeśli sprostą jego oczekiwaniom, umieści ją w jakimś przytulnym mieszkanku w Chelsea. Rozejrzał się po ruinach z błyskiem w oku.

- Niezłe miejsce na tajne schadzki - zauważył. - Ciekawe, co tu wyczyniali braciszczkowie zakonni.

- Muszę cię rozczarować - zaśmiał się Lysander. - Byli znani z wyjątkowej pobożności. Opat Walter, na grobie którego właśnie siedzisz, został, jeśli się nie mylę, kardynałem.

Co za głupiec, pomyślał Mark.

Clemency miała sporo do przemyślenia, gdy poszła przebrać się do kolacji. Już na pierwszy rzut oka pan Baverstock nie przypadł jej do gustu. Wyczuła w nim jednego z tych wstrętnych, zadufanych mężczyzn, którzy wierzą, że żadna kobieta im się nie oprze. Patrzył jej w oczy, starając się ujrzeć swoje własne odbicie, skwitowała w myślach. Nie podobał się jej sposób, w jaki ścisnął jej dłoń, ani ton głosu, pełen niedomówień i insynuacji.

Niestety, jako guwernantka ma bardzo ograniczone możliwości obrony. Nie może go ostro skarcić ani prosić Candoverów o ochronę; lady Helena z pewnością niczego nie zauważy, jej bratankowi zaś nie będzie na tym zależało. W każdym razie jakakolwiek skarga zapewne pogłębi tylko niezadowolenie markiza - już teraz nie darzy jej sympatią. Po raz pierwszy w życiu Clemency doszła do wniosku, że jest zdana tylko na siebie.

Powinna postępować ostrożnie. Może spróbuje wciągnąć do rozmowy o tym Adele, która wydała jej się poważną, rozsądną panną. Mimo wszystko podejrzewała, że będzie to wielka próba i dla niej, i dla panny Fabian.

Przy kolacji ogarnęła ją jednak konsternacja. Z powodu przybycia nowych gości zmieniono miejsca przy stole. Teraz Mark siedział prawie naprzeciwko niej, po lewej ręce lady Heleny. Zdawała sobie sprawę, że stanowczo zbyt często na nią spogląda. Starał się uchwycić jej wzrok, lecz dziewczyna pilnie się strzegła, by nie przerywać rozmowy z lordem Fabianem i Dianą, między którymi siedziała.

Nie przeszkadzało jej to zerkać na Oriane, pochłoniętą dyskusją z Lysandrem.

Clemency od razu spostrzegła, że Oriana interesuje się markizem. Dobrze mu tak, mówiła sobie. Trafi mu się próżna, egoistyczna żona, która najpewniej przytyje mocno w średnim wieku. Jednak próby wymazania jej z myśli okazały się bezskuteczne i zauważyła, że mimo

woli przysłuchuje się rozmowie tych dwojga.

- Lysandrze, słyszałam, że znajduje się tu kilka ciekawych miejsc - rzekła właśnie Oriana, jakby chciała otwarcie zademonstrować, że ma przywilej mówienia do markiza po imieniu. - Mam nadzieję, że twoje interesy nie zajmą cię tak bardzo i pokażesz nam okolice.

Lysandrze! - pomyślała gorączkowo Clemency. Dlaczego nie Alexandrze?

- Cóż za wspaniały pomysł, panno Baverstock! - krzyknęła Arabella. - Moglibyśmy urządzić sobie piknik. Zander, błagam, zgódź się!

- Nie możesz sprawić zawodu siostrze - droczyła się z nim Oriana.

- Co ty na to, ciociu Heleno? - spytał Lysander.

Lady Fabian przymknęła oczy. Na myśl o półtuzinie źle wychowanych psów biegających po łące pełnej owiec przeszły ją ciarki. Z drugiej strony pomyślała sobie, że Mark Baverstock jest rozsądnym młodym człowiekiem i być może zainteresuje się Adelą. Nie zaszkodzi stworzyć ku temu odpowiednią okazję. Toteż, gdy lady Helena sprzeciwiła się wycieczce, odparła szczerze:

- Moja droga, z wielką chęcią zaopiekuję się młodzieżą, jeśli uważasz, że to dla ciebie zbyt wielki kłopot.

- W porządku - podchwycił markiz. - A więc życzenie panny Baverstock zostanie spełnione. Panno Stoneham, jak pani myśli, czy pani Marlow da sobie radę? Brakuje nam trochę służby - wyjaśnił ciszej Orianie.

- Jestem pewna, że tak, milordzie, pod warunkiem, że poinformuje się ją kilka dni wcześniej - odparła Clemency. Jednocześnie pomyślała, że pomoc pani Marlow to dla niej dobra wymówka, by samej pozostać na uboczu.

- Lysandrze, jeśli panna Stoneham ma nadzorować przygotowania, co, mam nadzieję, uczyni, w żadnym razie nie może być pozbawiona przyjemności uczestniczenia w pikniku - oznajmiła lady Fabian i uśmiechnęła się do Clemency. Spodobała się jej ta dziewczyna, która pragnęła zbliżyć do siebie Arabelle i Dianę. Również jej próby rozmowy z Dianą podczas posiłku nie pozostały nie zauważone.

- Mam nadzieję - odparł markiz niezobowiązująco.

Giles rzucił matce spojrzenie pełne wdzięczności.

- Pani obecność na pikniku, panno Stoneham, jest nieodzowna - szepnął później Mark, pochylając się w salonie nad oparciem krzesła Clemency.

- Doprawdy? - spytała lodowato.

Dostałem kosza? To intrygujące, pomyślał Mark. Pozwolił osobie dotknąć jej złotych loków i dodał:

- Sprawiłoby mi to wielką przyjemność, ma się rozumieć.

Lysander przez cały czas obserwował ich z końca pokoju.

Uzgodniono z lady Heleną, że Clemency będzie spędzać niedzielne popołudnia z panią Stoneham. Po pełnych emocji chwilach w Candover

Court widok kuzynki Anne w kościele był dla niej najmiłą nagrodą. Dziewczynie wydawało się, że spędziła w posiadłości markiza co najmniej kilka tygodni, i miała wrażenie, że wydarzenia ostatniego dnia wymagają dłuższych przemyśleń. Potrzebowała ciszy i spokoju, toteż z przyjemnością przysiadła się w ławce do kuzynki Anne i poczuła, że świat wokół niej znowu zwalnia swoje szalone tempo.

Oczywiście, nie było to w smak Markowi Baverstockowi. Wdowa po szanowanym pastorze, na dodatek tak blisko wrót Candover Court - to ostatnia rzecz, jakiej pragnął. Niewyobrażalne wydawało się przekupienie takiej kobiety. Już ją widział, wrzeszczącą wniebogłosy na wieść o kompromitacji drogiej kuzynki. Wiedział, że jeśli nie będzie postępował ostrożnie, może wpaść w poważne tarapaty.

Zachowanie pana Baverstocka nie było główną przyczyną niepokoju Clemency. Gdy znalazła się w maleńkim salonie kuzynki Anne, zaczęła niepewnie opowiadać o swoich problemach.

- Nie rozumiem. Co to znaczy, że uciekłaś nie przed tym mężczyzną? - zażądała wyjaśnień mocno zdetonowana pani Stoneham.

- Ja... nie jestem pewna. Tego właśnie chcę się dowiedzieć. Eleanor i Mary Ramsgate znalazły w swojej książce notatkę opatrzoną nazwiskiem Alexander d'Evnecourt Ludovic Theobald. Lady Arabella zwracała się do niego Zander, pomyślałam więc, że...

- Może Lysander to przezwisko? - odezwała się pani Stoneham bez przekonania. - W końcu to wyjątkowo rzadkie imię.

- Nie masz u siebie wykazu parów, kuzynko Anne?

- Niestety, nie. A zresztą, po co mi taka książka? - Kobieta pokręciła głową. - Moja droga, po obiedzie przejdziemy się do kościoła; chrzcielnica normańska i tutejsze nagrobki wydają mi się godne obejrzenia. Pochowani są tam Candoverowie; pamiętasz grobowiec Elżbiety, z kamiennymi figurami lorda i lady, leżącymi po obu stronach?

- Tak, a u ich stóp klęczą dzieci.

W kościółku spotkały pastora Lamba.

- Moja młoda kuzynka interesuje się kaplicą Candoverów - wyjaśniła pani Stoneham.

- Oczywiście. To będzie smutny dzień, kiedy odejdzie ostatni z tej rodziny, pani Stoneham. Muszę stwierdzić, że nie uczęszczali zbyt często do kościoła.

- Obecny markiz jest czwarty czy piąty? - zapytała pani Stoneham.

- To piąty markiz. Jak pani zapewne wiadomo, jego brat dzierżył tytuł zaledwie przez kilka miesięcy.

Clemency spojrzała znacząco na kuzynkę Anne.

- Mój Boże, czy to był jakiś wypadek? Dopiero co przyjechałam i nie znam tej historii.

- Niestety, zginął w awanturze pijackiej - odparł pan Lamb opierając się o pulpit. - Lord Alexander był wyjątkowo leniwym i zatwardziałym w grzechu młodym człowiekiem. Rzadko przychodził do kościoła i

dopóki żył, żadna szanująca się rodzina nie posyłała nikogo do pracy na dworze.

- Jakie... to dziwne, że obecny markiz nosi tak niezwykle imię - zauważyła Clemency. - W odróżnieniu od brata.

- Wyjątkowo niechrześcijańskie imię - dodał pastor. - Dziwię się, że mój poprzednik zgodził się tak go ochrzcić.

- Chodź, moja droga, nie przeszkadzajmy panu Lambowi pracy. Rozejrzemy się jeszcze po kaplicy - powiedziała pani Stoneham i skierowała się do wyjścia.

Na miejscu wskazała na małą tabliczkę nagrobną umieszczoną na ścianie.

Pamięci

*Alexandra d'Evnecourta Ludovica Theobalda Candovera,
czwartego markiza Storringtona.*

Urodzony 15 stycznia 1786 roku. Zmarł 21 marca 1817 roku.

*Tablicę ufundował jego brat Lysander,
piąty markiz Storrington. 1817 r.*

Niech spoczywa w spokoju.

- Nawet nie napisano „nieodżałowany” - zauważyła Clemency.

- Najwyraźniej to przed tym młodzieńcem ostrzegła cię pokojówka - odparła pani Stoneham i usiadła w ławce.

- Chyba tak.

Dziewczyna ledwie mogła w to uwierzyć. To nie Lysander, powtarzała w myślach. To nie on przegrał fortunę w karty i przepuścił całą ojcowiznę, nie on był znany ze swego okrucieństwa. To nie Lysander! Przeszyło ją uczucie radości. Mężczyzna, który tamtego dnia tak delikatnie ją pocałował, nie jest rozpustnym hulaką. Jakże się myliła...

- Och... przepraszam, kuzynko Anne. O czym mówiłaś?

- Zapytałam, czy odmówiłabyś spotkania z markizem, znając prawdę?

- Ja... sama nie wiem. - Clemency przyłożyła dłonie do rozpalonych policzków.

Jak postąpiłaby wiedząc, że to Lysander przyjdzie na Russell Square?

- Za późno, żeby to roztrząsać - odparła w końcu. - On... pewnie poczuł się wielce urażony, gdy nie zgodziłam się na spotkanie. A zresztą wątpię, żeby był mną naprawdę zainteresowany. - Spróbowała uporządkować myśli. - Muszę mądrze rozegrać tę partię.

5

Spośród trzech młodych mężczyzn w towarzystwie aż dwóch uznało nieobecność panny Stoneham w niedzielne popołudnie za niemiłe zrządzenie losu - świat stał się przez to pusty i zdecydowanie mało ciekawy. Giles snuł się bez zapału między ruinami klasztoru, zauważając, że atmosfera tego miejsca doskonale oddaje jego ponury nastrój. Potem, z przyczyn bardziej prozaicznych, przyjął zaproszenie

Diany i Arabelli na spacer po lesie - jeśli nie ma tu obiektu jego westchnień, może z dwojga złego towarzyszyć dziewczętom.

Mark także zauważył, że popołudnie dziwnie mu się dłuży. Nie wypadało w niedzielę ani polować, ani łowić ryb, a przecież nie dołączy do Adeli, by czytać razem z nią modlitewnik! Oriana i Lysander zapewne bawili się świetnie w swoim towarzystwie, więc nie chciał im przeszkadzać.

Zdecydował się w końcu na spacer. Postanowił udać się w kierunku wioski i, przy odrobinie szczęścia, spotkać ją, kiedy będzie wracała do pałacu. Dowiedział się, że w zamku spodziewają się panny Stoneham na kolację i wyliczył, że jeśli przed szóstą znajdzie się na drodze do Abbots Candover, nie sposób, by się nie spotkali. Nie nazywa się Mark Baverstock, jeśli nie skorzysta z nadarzającej się okazji.

Tymczasem Lysander opuścił wraz z Orianą siedzące w ogrodzie panie i poprowadził towarzyszkę w kierunku sztucznych greckich ruin, wzniesionych przez jego pradziadka po powrocie z wielkiego świata. Budowla rozciągała się na niewielkim wzniesieniu na tyłach domu. Zgodnie z rodzinną legendą, pierwszy markiz, który uchodził za wielbiciela klasycyzmu, przychodził tu, by układać ody w stylu Horacego. Lysander nie miał talentu do poezji, ale doszedł do wniosku, że niewinny flirt w romantycznym otoczeniu będzie niezłym sposobem na spędzenie niedzielnego popołudnia.

Oriana włożyła delikatne pantofelki i Lysander musiał jej często

podawać rękę, gdy przechodzili po nierównym, kamienistym terenie.

- Jestem taka niemądra, zupełnie o tym nie pomyślałam - tłumaczyła się, spoglądając na niego spod długich rzęs.

- To dla mnie czysta przyjemność - odparł szybko. Zadowoleni, dotarli wreszcie do budowli i odwrócili się, by spojrzeć za siebie.

Oriana widziała stąd jak na dłoni długi, niski i rozłożysty budynek. Rozpaczliwy widok wprowadził ją w przerażenie. W oczy rzucały się uszkodzone rynny i kruszące się ściany. Dostrzegła nawet, że w stajni brakuje kawałka dachu, a z jednego z kominów wyrasta drzewko. Poza tym dom jest zdecydowanie niewygodny i nie miała wątpliwości, że w zimie panuje tu chłód, wilgoć i szaleją przeciągi. Jeśli zależałoby to od niej, nie wahałaby się ani chwili - jak najszybciej sprzedałaby korzystnie posiadłość i w zamian za to kupiła ładny kawałek ziemi z nowoczesnym domem.

- Urocze miejsce - powiedziała.

- Wilgotne i w stanie rozkładu - uzupełnił sarkastycznie markiz, choć jego wzrok spoczął ze wzruszeniem na kamiennym dachu i elżbietzańskich, poskręcanych niczym cukierki kominach.

- Ale jakie malownicze - odparła z uśmiechem. Tak naprawdę była zrozpaczona. Mark wspominał, iż sprawy Lysandra nie stoją najlepiej, ale nie spodziewała się, że jest aż tak źle. Dotąd sądziła, że arystokraci nie tracą tak łatwo swoich fortun; Wprawdzie chwilowo mogą zubożeć i znaleźć się w opałach, ale zazwyczaj wychodzą z tego obronną ręką.

Jej dłoń, tak skwapliwie spoczywająca do tej pory na jego dłoni, opadła.

- Chodź, wrócimy inną drogą - westchnął markiz i odwrócił się od domu. - Przejdziemy się koło dawnych stawów klasztornych. - Podał jej rękę, by mogła zejść po schodach. - Ciekawe, dokąd poszedł Mark?

- Zdaje się, że zmierzał w kierunku Abbots Candover - odparła Oriana z niewinną miną.

Markiz zmarszczył nagle brwi, po czym wzruszył ramionami.

- Niezbyt ciekawa przechadzka - podsumował.

- Znam brata i śmiem twierdzić, że z pewnością znajdzie coś interesującego - rzekła Oriana.

Clemency wyszła z domu pani Stoneham tuż przed szóstą.

- Tym razem nie czeka na mnie powóz - zaśmiała się i ucałowała kuzynkę na pożegnanie.

- Wcale mi się to nie podoba - powiedziała pani Stoneham. - I nie chodzi o brak powozu, lecz o to, że podajesz się za guwernantkę i niepotrzebnie narażasz na niebezpieczeństwo. Może robię z igły widły, ale niepokoi mnie ten pan Baverstock.

- Nie dbam o niego - odparła Clemency. - Nie sądzę też, by chciał znieważać gospodarza, nastając na cześć guwernantki jego siostry!

- Mam nadzieję, że się nie mylisz - westchnęła pani Stoneham, nie w pełni przekonana.

- Będę zajmowała się Pongiem.

Pongo był młodym dogiem o miłym usposobieniu, który zachowywał się równie niezdarnie, co hałaśliwie.

- Czy to coś pomoże?

- Nie wiem, może i nie - zaśmiała się dziewczyna. - Ale to najbardziej szalone zwierzę, jakie znam. Uwielbia kłaść ludziom łapy na ramionach i lizać po twarzy. To z pewnością ostudzi zapawy pana Baverstocka!

Pani Stoneham pozwoliła sobie na lekki uśmiech, lecz dodała:

- Clemency, jeśli okaże się, że masz jakikolwiek kłopot z tym człowiekiem, nie zawaham się porozmawiać o tym z lady Heleną - stwierdziła groźnie. Pozbywszy się pana Jamesona, czuła się odpowiedzialna za los swojej młodej, niedoświadczonej krewnej.

- Nie martw się, kuzynko Anne. Jestem pewna, że chodzi jedynie o niewinne umizgi.

Gdy Clemency wychodziła ze wsi, było jeszcze ciepło, późne popołudniowe słońce rzucało na drogę długie cienie. Nad żywopłotem krążyły motyle, a między krzakami głogu przelatywały zięby.

Dziewczyna wróciła myślami do osoby markiza. Próbowwała wyobrazić sobie, co mogłoby się wydarzyć, gdyby spotkała go wtedy na Russell Square. Miałaby wówczas na sobie krzykliwą, różową suknię z jedwabiu i zapewne spaliłaby się ze wstydu, widząc gorliwość, z jaką matka pragnie mu zaimponować. Prawdopodobnie nie potrafiłaby też powiedzieć nic rozsądnego, co więcej, doznałaby szoku, rozpoznając w markizie mężczyznę sprzed domku Bidy.

Tak czy owak, Clemency nie potrafiła sobie wyobrazić szczęśliwego zakończenia takiego spotkania. Wątpiła, by pokaz rodzinnej zamożności czy ostentacyjne hołdy dla jego tytułu zaimponowały Storringtonowi, a już z pewnością nie miałyby okazji poznać jej prawdziwego oblicza.

I co teraz? Miała okazję obserwować markiza na co dzień w jego własnym domu, zdążyła poznać siłę jego charakteru i temperamentu, lecz wciąż nie była pewna swoich uczuć.

Zastanawiała się nad tym, gdy wtem, wychodząc z zakrętu drogi o niecały kilometr od Candover Court, ujrzała pana Baverstocka. Stał oparty o płot i leniwie oglądał pasące się krowy. Raptem podniósł głowę i Clemency poczuła, że patrzy na nią wzrokiem wilka, który właśnie zobaczył owieczkę.

Mark wyprostował się i podszedł kilka kroków.

- No, proszę! Panna Stoneham! Co za miła niespodzianka!

- Witam pana - Clemency lekko dygnęła. Przekrzywiła nieco głowę i ścisnęła mocniej rączkę parasolki.

Jeśli nawet powodowały nim jakieś nieczyste intencje, zmienił zdanie, bowiem roześmiał się całkiem miło i powiedział:

- A to co? Parasolka w pogotowiu? Panno Stoneham, czy ja wyglądam na potwora?

- Mam nadzieję, że nie, proszę pana - odparła Clemency, obrzucając go chłodnym, stanowczym spojrzeniem, które wzbudziło w nim lekki

niepokój.

- Chyba nie okaże się pani tak okrutna, by nie pozwolić oprowadzić się do domu?

Clemency milczała, Mark zaś dodał po chwili:

- Prawdę mówiąc, panno Stoneham, spędziłem bardzo nudne popołudnie. Moja siostrzyczka i Zander wymknęli się razem na spacer, za bardzo im widać wchodziłem w drogę, a nie mogłem wszak zmarnować tak cudownego dnia na pobożne rozmowy z panną Fabian, prawda?

Clemency nie potrafiła powstrzymać uśmiechu, a mężczyzna, widząc to, odprężył się i kontynuował:

- Tak już lepiej. Daję słowo, panno Stoneham, że nie zamierzam pani skrzywdzić. - Wyciągnął dłoń i dziewczyna, z pewnym wahaniem, podała mu swoją.

Baverstock skrzywił się w duchu - musi staranniej niż dotąd dobierać słowa, ten ptaszek niechętnie wpada w zastawione sieci. Cóż, to jedynie doda pikanterii całej sprawie.

- Wielkie szczęście, że ma pani tak miłą kuzynkę i może odwiedzać ją w każdą niedzielę - stwierdził. - Zasługuje pani na chwilę oddechu po tygodniu spędzonym z tą małą kokietką, Arabellą!

Clemency zaśmiała się. A więc nie taki diabeł straszny, jak go malują, pomyślała z ulgą. Musiała go przecenić.

- Bardzo dobrze się rozumiemy z lady Arabellą - odparła lekko.

- Domyślam się, że i ona wielce sobie ceni pani towarzystwo. Nie dziwię się - powiedział Mark, dotykając lekko jej palców. - Mnie jednak bardziej interesuje pani zdanie. - Clemency zarumieniła się skromnie. - A jeśli chodzi o piknik, panno Stoneham, proszę mi tylko nie wmawiać, że nie należy zawdzięczać wszystkiego właśnie pani. Tyle przygotowań i pracy - obawiam się, że to za wiele, jak na tak delikatną istotę.

W głosie mężczyzny wyczuła tyle ciepła, że znowu ogarnęła ją początkowa niepewność. Zbliżali się już do bramy, więc puściła jego łokieć.

- Bardzo panu dziękuję za towarzystwo, panie Baverstock - rzekła. - Nie chcę pana dłużej zatrzymywać. - Zawahała się na moment i dodała: - To miło, że przejmuje się pan moimi obowiązkami, ale zapewniam pana, że niepotrzebnie. Mogę w każdej chwili zamieszkać z kuzynką Anne, ale wybrałam samodzielność.

Mark uchylił kapelusza i pozwolił, by dziewczyna odeszła. Do diabła, o co jej chodzi? - pomyślał zirytowany. A może to tylko taktyka, żeby zaciągnąć go do ołtarza?

Kiedy Clemency znalazła się w swoim pokoju, zaczęła machinalnie przebierać się do kolacji, lecz myślami błędziła gdzie indziej. Pan Baverstock zachowywał się jak zupełnie normalny człowiek, może tylko, jak na jej gust, nazbyt przymilny, ale przecież nie zamierza go zachęcać. I co ma, biedna, z tym wszystkim począć?

Zastanawiała się, czy nie powinna zwierzyć się lady Helenie, ale doszła do wniosku, że to nie najlepszy pomysł. Bo właściwie co mogłaby jej powiedzieć? Że podejrzewa pana Baverstocka? Ale o co? I na czym miałyby się oprzeć jej zarzuty? Niejasne słówko rzucone półgłosem czy dwuznaczne gesty nie są żadnym konkretnym dowodem. Niczym, co pojąłby logiczny umysł lady Heleny. Lady Fabian mogłaby się okazać bardziej przychylna, ale czy rzeczywiście by jej pomogła? Clemency domyślała się, że liczy skrycie, iż pan Baverstock zainteresuje się Adelą - nie byłaby zadowolona dowiadując się, że kawaler romansuje z guwernantką!

Przebrała się szybko w czarną suknię z jedwabiu, uporządkowała włosy, upinając je w tradycyjny grecki kok, po raz ostatni spojrzała w lustro i zeszła do jadalni. Czy życie guwernantki jest zawsze takie trudne? Żałowała, że nie może napisać do Bidy i dowiedzieć się tego od niej.

Kolacja okazała się dla Clemency pasmem udręki. Z nieznanых powodów Adela traktowała jej obecność przy stole jako zniewagę, zachowanie pana Baverstocka ledwie stało na pograniczu grzeczności, a Oriana po kolacji wyraźnie bawiła się jej kosztem, wypytując o powrót od pani Stoneham.

Lysander stał przy krześle Oriany, na tyle blisko, żeby słyszeć treść rozmowy.

- Więc spotkaliście się z panem Baverstockiem zupełnie przypadkowo,

to prawda? - zapytał.

Oriana spuściła wzrok, by ukryć uśmiech zadowolenia.

- Tak, milordzie. - Clemency spojrzała mu prosto w oczy. - Jednakże pan Baverstock niepotrzebnie zadał sobie tyle trudu.

Markiz spojrzał na nią i zmarszczył brwi.

- Może otrzymał jakąś zachętę, by tak postąpić? - wtrąciła słodko Oriana. - Jeśli się nie mylę, guwernantki nader często zmieniają zdanie.

Clemency zaczerwieniła się, słysząc obraźliwy ton.

- Trudno mi mówić w imieniu pozostałych guwernantek, panno Baverstock. Mogę tylko stwierdzić, że wolałabym, żeby dżentelmeni pozwolili mi cieszyć się moim wolnym czasem.

- Czy insynuuje pani, że zachowanie mojego brata nie jest godne dżentelmena?

- Daj spokój, Oriano, źle zrozumiałaś pannę Stoneham - wtrącił markiz pośpiesznie. - Musisz się zgodzić, że guwernantka ma prawo oczekiwać zwyczajowych grzeczności ze strony dżentelmena?

- Naturalnie. Pod warunkiem, że jest damą.

- Moim zdaniem prawdziwym dżentelmenem jest pański kuzyn, lord Fabian. Z jednakową kurtuazją traktuje wszystkie kobiety, od dam aż po kucharki - odezwała się Clemency, ignorując Orianą i zwracając się do markiza.

Wyczuła naturalnie, że Oriana chciała ją obrazić, lecz świadomie nie podniosła rękawicy. Jej zdaniem panna Baverstock okazała się w

gruncie rzeczy kobietą wulgarną i o pospolitym umyśle. Zastanawiała się raczej ze smutkiem, jak daleko posunął się markiz w stosunkach z Oriana, która wyraźnie kusila go obfitymi wdziękami w stylu lady Hamilton. Clemency próbowała sobie wmówić, że nic ją to nie obchodzi.

Mimo wszystko osiągnęła swój cel - dała wyraźnie do zrozumienia, jakie jest jej stanowisko odnośnie pana Baverstocka. Na razie musi się tym zadowolić. Wstała, lekko dygnęła i poszła poszukać Diany i Arabelli.

Lysander stanął przed ciężkim dylematem. Oto bowiem nie mógł nic zarzucić zachowaniu panny Stoneham, sprzeczka zaś z pewnością nie wynikała z jej winy. Niechętnie jednak krytykował Oriane, chociaż ogarnęła go irytacja, że postawiła go w takiej niezręcznej sytuacji.

Oriana widocznie doszła do podobnego wniosku, bo uśmiechnęła się i powiedziała z wdziękiem:

- Och, nie chciałam urazić panny Stoneham. Podwładni potrafią być tacy drażliwi na swoim punkcie, zdaję sobie z tego sprawę. Jestem pewna, że nie zachęcała celowo mojego brata. Biedny Mark, powiem mu, że mi się naraził i powinien odtąd zaprzestać jakichkolwiek żartów z panną Stoneham. - Udało się jej wywołać wrażenie, iż Clemency niepotrzebnie robi tyle zamieszania.

- Będę wdzięczny, jeśli tak uczynisz - odparł Lysander z widoczną ulgą. Odprężony, podniósł jej dłoń i ucałował.

Piknik wyznaczono na wtorek, zaś w poniedziałkowe popołudnie Clemency zostawiła Dianę i Arabelle pod opieką lady Fabian i poszła pomagać ochmistrzyni. Biedna kobieta była już u kresu wytrzymałości i Clemency musiała sama zdecydować, ile butelek piwa i napoju imbirowego należy zabrać i czy może panie nie wolałyby lemoniady. Poza tym zamówiła u ogrodnika sałatę, ogórki i kosz świeżych owoców.

Lord Fabian, Giles i Mark poszli na ryby, został tylko Lysander i naradzał się z Frome'em w swoim gabinecie. O czwartej Clemency zaniósł więc markizowi herbatę z ciastem śliwkowym.

Gdy dziewczyna weszła, Frome porządkował właśnie dokumenty.

- Dobry Boże, panno Stoneham, co się stało z Timsonem? - zapytał Lysander, biorąc od niej tacę.

- Pomaga pani Marlow w przygotowaniach do jutrzejszej wycieczki, milordzie. Trzeba przenieść kilka ciężkich koszy.

Markiz mruknął coś pod nosem, ale dał spokój.

- Frome, może filiżankę herbaty? - zapytał. - Panna Stoneham panu należy.

- Nie, milordzie, dziękuję. Muszę wracać. Obiecałem Staremu Batesowi, że do niego wpadnę. Biedak czuje się ostatnio coraz gorzej, i gorzej.

- To suchoty, prawda?

- Tak jest, to już trzeci z jego rodziny w tym roku. - Pokiwał głową ze smutkiem i podniósł płaszcz.

- Czy możemy jakoś im pomóc? - Markiz spojrział na Clemency.

- Pani Marlow posyła bulion z chudego mięsa, milordzie. - Nie wspomniała, że Adela odmówiła w tym celu modlitwę.

- Filiżankę herbaty, milordzie? - zapytała Clemency, gdy Frome wyszedł.

- Tak, chętnie. Proszę sobie również nalać, wygląda pani na zmęczoną.

- Znowu wymykają się jej te niesforne złote loki, zauważył.

Wzięła filiżankę i usiadła ostrożnie na sfatygowanym fotelu z zielonej skóry, stojącym przy biurku. Gabinet, podobnie jak wszystkie pokoje w posiadłości, wymagał gruntownego remontu. Boazeria była tu matowa i popękana, meble zaś bardzo wysłużone. Na podłodze leżał wytarty turecki dywan. Clemency zauważyła piętrzące się na biurku otwarte księgi rachunkowe.

- Przykro mi, milordzie, że ma pan tyle kłopotów - odezwała się impulsywnie, wskazując papiery.

Lysander westchnął.

- Cała ironia sytuacji polega na tym, że przed ostatnie dwadzieścia lat nadarzyło się kilka świetnych okazji do ulepszeń. Na przykład budowa nowego odgałęzienia kanału czy przedłużenie płatnej drogi do Abbots Candover - obie inwestycje znacznie poprawiłyby opłacalność majątku. Frome właśnie mi opowiadał, że błagał ojca, by się tym zajął. Niestety,

bezsukutecznie.

- Musi pan to ogromnie przeżywać.

- Równie ciężko jest ludziom na wsi - ciągnął żywo markiz, jakby sprawiała mu ulgę rozmowa z kimś współczującym. - Nie wiem, czy miała pani okazję przejść się po okolicy; niektóre obejścia są w opłakanym stanie.

- Widziałam je. - Szczególnie mocno utkwiła jej w pamięci jedna chata, porośnięta mchem i z przegniłym dachem.

- O czym myślał mój ojciec? Dlaczego do tego dopuścił? - pytał z gniewem Lysander. - To są nasi ludzie, a żyją w takim zaniedbaniu. Nie ma tu szkoły dla dzieci, niczego. Proszę mi wierzyć, panno Stoneham, często czuję wstyd, pokazując się we wsi.

- Jednak mieszkańcy wyrażają się o panu z sympatią - odparła Clemency. Była to prawda; jedna z dziewcząt, które przyszły do pracy we dworze, opowiedziała z przejęciem, że markiz polecił pani Marlow przygotować bulion dla jej chorej matki. Stary lord nigdy by tego nie zrobił, dodała w zaufaniu.

- Jestem odpowiedzialny za ich los, a nic nie mogę uczynić - stwierdził ze smutkiem.

Chyba że poślubisz odpowiednią pannę, pomyślała. Zapytała tylko:

- Milordzie, co pan zrobi, gdy posiadłość zostanie sprzedana?

- Jeszcze się nad tym nie zastanawiałem. Prawdopodobnie wstąpię do wojska. Nie będę pierwszym oficerem żyjącym z żołdu. Zresztą nie

chodzi tu o mnie, jakoś sobie poradzę. Martwię się głównie o Arabellę. A właśnie, przypomniało mi się, że nie miałem jeszcze okazji podziękować pani za dobrą radę. Kuzynka Maria jest zachwycona pomysłem sprowadzenia tu dziewcząt. Pod znakiem zapytania pozostaje jednak, czy będzie tego zdania po miesiącu pobytu z Arabellą.

- Pańska siostra zapewne jeszcze nieraz znajdzie się w opałach - zaśmiała się Clemency. - Jestem jednak pewna, że pozostanie to bez wpływu na jej debiut w towarzystwie w przyszłym sezonie.

- A pani, panno Stoneham? Jakie są pani plany po zakończeniu pracy w Candover Court?

- Moja sytuacja jest dość skomplikowana - zaczęła Ostrożnie. - Niestety, pokłóciłam się z najbliższą rodziną, w konsekwencji czego musiałam się zatrudnić jako guwernantką. Na szczęście, na dwudzieste piąte urodziny mam otrzymać pewną sumę, więc cokolwiek się zdarzy, będę finansowo zabezpieczona.

- Dobry Boże! Chyba nie uciekła pani z domu? Jeśli tak, to w każdej chwili powinienem się tu spodziewać zirytowanego ojca.

- Nie wygląda to aż tak dramatycznie, milordzie. - Pozwoliła sobie podjąć jego żartobliwy ton.

- Już wiem. Starano się zmusić panią do poślubienia potwora! - Markiz zmarszczył brwi na myśl, że tak piękna dziewczyna musi mieć mnóstwo adoratorów. Pewnie swatano jej jakiegoś gamoniowatego

urzędnika o niezgrabnych rękach i czerwonej twarzy.

- Coś w tym sensie.

- Więc znalazła pani pracę w Yorkshire i była tam nękana przez lubieżnego ojca swojej wychowanki. Mam nadzieję, panno Stoneham, że nikt z tutejszych gości nie sprawia pani kłopotu? - zapytał unosząc brwi.

Rozmowa z Orianą nadal ciążyła obojgu. Clemency spojrzała na niego i po chwili odpowiedziała:

- Uczyniłam wszystko, co mogłam, by dać świadectwom mojej uczciwości.

- Proszę do mnie przyjść, jeśli będzie pani miała jakiegokolwiek problemy - odparł krótko. Nastąpiła chwila ciszy. Markiz podniósł pióro i długo obracał je między palcami. - Wydaje mi się, że nasza znajomość rozpoczęła się dość niefortunnie - odezwał się w końcu. - Chciałbym panią przeprosić za moje zachowanie i wszystkie niesłuszne podejrzenia, panno Stoneham.

- Puściłam to już w niepamięć - rzekła po prostu.

- Dziękuję.

Po wyjściu Clemency markiz starał się wrócić do przeglądania ksiąg, lecz myślami błędził zupełnie gdzie indziej.

Oriana czuła się mocno znudzona. Wizyta przebiegała nie całkiem po jej myśli, głównie dlatego, że Lysander, zamiast bawić gości, zaszył się

w swoim przeklętym, odległym gabinecie. Lady Helena wyszła na spacer z psami, lady Fabian drzemała właśnie pod rozłożystym cedrem, a jej robótka ześlizgnęła się na trawę. Panowie wybrali się na ryby, Diana zaś wymknęła się gdzieś z Arabellą. Oriana nie miała zamiaru pomagać Clemency w przygotowaniach do pikniku, do towarzystwa pozostała jej więc jedynie Adela. W innej sytuacji Oriana nie zawracałaby sobie głowy taką nadętą nudziarą, lecz przyszło jej na myśl, że panna Fabian może coś wiedzieć o prawdziwej kondycji finansowej Lysandra. Po namyśle zaproponowała jej wspólny spacer.

Chociaż Adeli wcale nie pochlebiło to zainteresowanie, już wkrótce obie panie włożyły kapelusze i wzięwszy parasolki, ruszyły w kierunku lasu Home Wood. Gdyby przechodziły koło warzywnika, przez zdobione kraty ogrodzenia ujrzały Clemency zajętą rozmową z ogrodnikiem. Dziewczyna nie miała nic na głowie i wiatr rozwiewał jej jasne włosy, co sprawiało wrażenie złotej aureoli.

Może panowie zatrzymaliby się, by podziwiać wdzięczny widok, jednak żadnej z pań nie przyszło to do głowy.

- Panna Stoneham powinna raczej zająć się tym, za co jej płacą - skomentowała złośliwie Adela.

- Lady Helena pozwala jej za wiele - przytaknęła towarzyszka. - Wiem skądinąd, że markiz uważa ją za zbyt bezpośrednią, przynajmniej zasugerował to wczoraj w rozmowie ze mną.

- Przyznam, że nie podoba mi się ta osoba - powiedziała szczerze

Adela. Bardzo zirytowała ją wiadomość, że pan Baverstock towarzyszył guwernantce w drodze z Abbots Candover.

- Ani mnie, panno Fabian. Mówiąc między nami. podejrzewam, że jest kimś w rodzaju oszustki.

- Naprawdę? - Oczy Adeli zaiskrzyły się nagłym zainteresowaniem.

- Byłam zaszokowana, widząc jej jedwabne pończochy! Która guwernantka może sobie pozwolić na takie wydatki, zarabiając trzydzieści funtów rocznie?

- Mój ojciec twierdzi, że została przyzwyczajona w domu do wygod, i uważa ją za czarującą - odparła panna Fabian.

- Naturalnie, takie kobiety są zawsze czarujące dla mężczyzn - stwierdziła znacząco Oriana.

- Ależ to okropne! Co robić? - zatrwożyła się Adela. - Moja siostra bierze u niej lekcje. U takiej kobiety!

- Na razie nie możemy nic uczynić, jeszcze nie. Ale ta awanturnica zaczęła już kokietować mojego brata i prędzej czy później się skompromituje, jestem tego pewna - rzekła Oriana. Miała zamiar dopomóc jej w tym, jeśli tylko zdarzy się ku temu okazja.

Adela oblała się rumieńcem. Osławiona pobożność nie przeszkodziła jej zauważyć i docenić wszystkich zalet pana Baverstocka, choć on sam okazywał do tej pory tylko zwyczajową uprzejmość. A teraz wszystkie plany mogą zostać zniweczone machinacjami zwykłej nauczycielki. Dlaczego? Przecież na korzyść Adeli przemawia pochodzenie i

pokażny posag; a co takiego ma do zaoferowania panna Stoneham? Ładną buzię i pokrętne zamiary.

- Już zdążyła pokłócić się z Lysandrem. Podśluchałam, Jak kuzynka Helena mówiła o tym mojej matce.

- Nie wydaje mi się, żeby była w jego typie - dodała Oriana z odrobiną zadowolenia.

- A ja wątpię, czy markiz jest dla niej dostatecznie bogaty - stwierdziła Adela ze złośliwością niegodną chrześcijanki.

- Rzeczywiście, posiadłość jest w bardzo złym stanie. - Oriana starała się ukryć niepokój.

Adela miała ją właśnie poinformować, że majątek Lysandra to zupełna ruina i powinien zostać sprzedany, ale w ostatniej chwili powstrzymała się. Była na tyle przebiegła, że domyślała się, iż za pozorną obojętnością kryje się coś więcej. Jako aktywna członkini stowarzyszenia misjonarzy poznała siłę milczenia i wiedziała, że może być czasem najlepszą strategią. Uważała pannę Baverstock za osobę interesowną i dość bezwzględną, więc dopóki nie pozna jej zamiarów, postanowiła nie robić sobie z niej wroga.

Zdecydowała dorzucić jakiś istotny szczegół i sprawdzić, co z tego wyniknie.

- Szkoda, że nie doszło do małżeństwa ze śliczną córką kupca - rzekła niedbale. - Co się stało, panno Baverstock?

- Nie... nic takiego. Upuściłam parasolkę, to wszystko. Jestem taka

niezdarna - odparła Oriana.

Adela uśmiechnęła się.

Diana i Arabella spędziły popołudnie przy huśtawce. Właściwie był to konar starej brzozy, rosnącej przy strumyku, z którego doprowadzano kiedyś wodę do klasztornych stawów. Arabella zdradziła, że to jedno z jej ulubionych miejsc jeszcze z czasów dzieciństwa, a i teraz żadna z dziewcząt nie była na to zbyt dorosła. Gałąź rosła nisko i podkasawszy sukienkę, można było z łatwością tam wejść i przesunąć się nad wodę. Jeśli zsunęły się wystarczająco daleko, pod wpływem własnego ciężaru zaczynały się kołysać.

Spośród wszystkich młodych gości Diana najbardziej cieszyła się z przyjazdu. Panna Stoneham okazała się wspaniałą nauczycielką, a poranna lekcja była ciekawa i zabawna. Poza tym bardzo polubiła swoją kuzynkę Arabellę. Po latach dokuczania ze strony Adeli, rozpieszczana przez Gilesa i cierpiąca na napady wstydu, teraz dopiero poczuła, że żyje.

Arabella także dobrze się bawiła. Nie znała dotąd żadnej rówieśnicy. Pomimo diametralnie różnych charakterów, a może właśnie dzięki temu, stały się szybko przyjaciółkami. Diana podziwiała żywiołowość Arabelli, ta z kolei uznała, że jej kuzynka, choć tak nieśmiała, ma podobne jak ona własne opinie, tyle że bardziej przemyślane. Pod pewnymi względami Arabella była, jak na swój wiek, bardzo niedoj-

rzała i zauważyła, że Diana ma coś, czego jej brakowało.

- Wpadam czasami w okropne tarapaty - westchnęła i usiadła wygodniej na gałęzi. - Tak się nudziłam, zanim przyjechałaś. Di, gdybyś tylko wiedziała...

- Chciałabym postępować jak ty - przyznała się kuzynka. - Ale jestem na to zbyt tchórzliwa.

- To wcale nie wygląda tak wesoło - zwierzyła się Arabella, podskakując lekko, aż zatrzęśły się liście. - Mówię ci. Di, w zeszłym tygodniu przeżyłam prawdziwą katastrofę. Obiecuj, że nie będziesz zgorszona.

- Jak mogę obiecać, jeśli nie wiem, co chcesz powiedzieć? - zapytała Diana logicznie. - Ale cokolwiek by to było, nadal pozostanę twoją przyjaciółką, Bello.

Arabella zdecydowała, że to wystarczy i cichym głosem opowiedziała kuzynce historię z Joshem Baldockiem.

- Och, Di, tak się bałam - skończyła szeptem. - A potem Poczułam straszny wstyd. To było okropne! Wolę nie myśleć, co by się stało, gdyby nie nadeszła panna Stoneham.

- Jeszcze nigdy nikt nie chciał mnie pocałować - odparła smutno Diana, po czym dodała: - To wielkie szczęście, że masz pannę Stoneham.

- Czy to znaczy... Nie myślisz więc, że jestem okropna?

- Oczywiście, że nie - Diana poklepała ją lekko po ramieniu.

- I nie jesteś zaszokowana?

- Może odrobinę, ale przyznam, że trochę ci zazdroszczę.

- Och, Di! - krzyknęła Arabella. - Tak się cieszę, że przyjechałaś! Nasz debiut będzie taki radosny!

- Mam nadzieję - powiedziała Diana z powątpiewaniem w głosie, bo dobrze pamiętała swoje skrepowanie podczas rodzinnych spotkań. - Jestem strasznie nieśmiała. Wiesz, jak głupio zachowuję się w towarzystwie.

- Ależ, Di, będę przy tobie i nie pozwolę, żebyś czuła się zaniedbana.

- Szkoda, że panna Stoneham nie może nam towarzyszyć. - Zamilkła na chwilę, a potem zapytała: - Bello, jak ona ma właściwie na imię?

- Nie wiem. Nigdy nie przyszło mi do głowy, by ją o to spytać. - Arabella spojrzała na nią zaskoczonym wzrokiem.

Od palącego słońca w ogródku i żaru panującego w kuchni Clemency rozboleła głowa.

- Wszystko przez to, że nie włożyła pani kapelusza, panno Stoneham - rzekła surowo pani Marlow. Bardzo polubiła tę dziewczynę i zaraz pogłaskała ją po dłoni na znak, że się o nią troszczy. - Kobiety o tak jasnej cerze jak pani zawsze gorzej reagują na słońce. Proszę sobie teraz usiąść i odpocząć, a Molly zaparzy moją herbatkę z róży.

- Dziękuję, pani Marlow. Pani zioła z pewnością okażą się pomocne. - Uśmiechnęła się, trochę już zmęczona.

- A może poproszę jedną z dziewcząt, by przyniosła pani kolację do pokoju?

- Nie jest ze mną aż tak źle, pani Marlow. - Clemency pokręciła głową.

- To powinno zaraz minąć.

- Panienka nie chce pójść w ślady panny Lane - wtrąciła Molly. Rzekła to ze współczuciem, jako że nieraz biegała do poprzedniej guwernantki z naparami i wodą lawendową.

- Nie wymądrzaj się - skarciła ją pani Marlow.

Molly tylko się uśmiechnęła, a Clemency zrobiła to samo. Sposób bycia i szczerść Molly czasami przypominały jej Sally.

- Mogłaby panienka przejść się do ruin klasztoru? - ciągnęła Molly. - O tej porze panuje tam miły chłodek.

- Dobry pomysł. - Jest dopiero wpół do siódmej i będzie miała wystarczająco dużo czasu na powrót i przebranie się do kolacji. Clemency wypiła ziółka, podziękowała pani Marlow i wyszła.

Słońce schowało się już za budynki, zaczął wiać lekki wiatr, a ruiny klasztoru okrył przyjemny cień. Zewsząd, dochodził intensywny zapach róż. Pszczoły brzęcząc przelatywały z jednego kwiatka na drugi, powietrze zaś coraz to przeszywał krzyk przelatujących jaskółek. Clemency usiadła na nagrobku opata Waltera i wciągnęła głęboko powietrze. Poczwała, jak powoli opuszczają zmęczenie i nagromadzone w ciągu dnia napięcie.

Wspomniała dzisiejszą pracę i stwierdziła, że kuchnia jest stanowczo

przestarzała. Potrzeba tam nowego pieca, który pozwoliłby zaoszczędzić węgiel i ograniczył buchający żar. Nie mogła pojąć, jak wytrzymują to piekło gotujące tam kobiety. Nic dziwnego, że pani Marlow ma kłopoty z sercem. W sierpniowy gorący dzień panujący tam upał jest wprost nie do zniesienia.

Myślami wróciła do ostatniej rozmowy z markizem. Wyraźnie widziała, jak źle go oceniła, myląc początkowo z Alexandrem. Obecna jego sytuacja zasługiwała raczej na współczucie, a nie wymówki. Przyszło mu płacić, i to wysoką cenę, za lekkomyślność ojca i brata. To niesprawiedliwe, że obarcza się go odpowiedzialnością za ich długi. Clemency zrozumiała, dlaczego czasami bywa tak gwałtowny i niecierpliwy.

Nie potrafiła jednak powstrzymać niepokoju, czy rozmawiając z markizem przypadkiem się z czymś nie zdradziła? Chyba nie. O ile się orientuje, tylko lady Helena i markiz wiedzą o niefortunnej wizycie na Russell Square. Arabella, choć nieprzeciętna gaduła, nigdy o tym nie wspominała, toteż nie powinna niczego skojarzyć.

Najprawdopodobniej jest więc nadal bezpieczna.

Tak głęboko pogrążyła się w rozważaniach, że nie usłyszała zbliżających się kroków. Raptem poczuła obejmujące ją w talii ręce i ujrzała twarz Marka Baverstocka, pochylającego się nad nią z zamiarem pocałunku.

Clemency krzyknęła.

- Na miłość boską, dziewczyno, bądź cicho! - Jego uścisk stał się mocniejszy. - Chcesz, aby wszyscy się tu zlecieli?

- Proszę mnie natychmiast puścić! Jak pan śmie tak mnie nachodzić? - Ze złością wytarła usta dłonią.

- Ależ moja słodka, to tylko pocałunek. - Mark zaśmiał się i znowu pochylił głowę, zbliżając wargi do jej ust.

Clemency krzyknęła, tym razem o wiele głośniej, i zaczęła się wyrywać.

Mark niechętnie ją puścił. Boże, ależ jest pruderyjna, pomyślał.

- To tylko niewinne żarty - protestował.

- Dla kogo? - zapytała lodowatym tonem.

Wtem rozległ się odgłos pośpiesznych kroków i z za rogu wyłonił się markiz. Clemency stała bez ruchu, pobladła z wściekłości. Na jej ramieniu pojawiła się czerwona pręga - podczas szamotaniny z Markiem, zadrapała się o ostry kamień nagrobka. Mark z nonszalancką miną obserwował okolicę,

- Co się stało? - Lysander przenosił wzrok z mężczyzny na kobietę.

- Małe nieporozumienie. - Młodzieniec wzruszył ramionami. Lysander milczał i Mark poczuł się zobowiązany dodać: - Panna Stoneham nie usłyszała, że się zbliżam, i krzyknęła ze strachu, to wszystko.

Nastąpiła kolejna chwila niezręcznej ciszy, po czym Lysander rzekł chłodno:

- Baverstock, gong na kolację już za dwadzieścia minut. Proponuję,

byś wrócił do pałacu i przebrał się.

Mark zawahał się przez moment.

- Przykro mi, że panią przestraszyłem, panno Stoneham - powiedział w końcu i odszedł.

Clemency przymknęła oczy i usiadła na kamiennym nagrobku. Bolała ją ręka i czuła szczypanie w oczach.

- Dziękuję, milordzie - zdołała wyszeptać.

Markiz usiadł obok i wziął ją za rękę, żeby przyjrzeć się zadrapaniu.

- Trzeba to przemyć - powiedział głosem dziwnie wzburzonym. - Pani Marlow powinna mieć coś na skaleczenia.

- Tak.

Żadne z nich się nie poruszyło. Clemency siedziała w milczeniu i po chwili na dłoń markiza spadła łza, a potem jeszcze jedna.

- Przepraszam, milordzie, to... to nic takiego.

- Biedactwo. - Lysander objął ją i położył jej głowę na swoim ramieniu.

- Proszę, to moja chusteczka. A teraz niech mi pani wszystko opowie.

- Ja... okropnie bolała mnie głowa, milordzie. W kuchni jest bardzo gorąco, więc przyszedłam tutaj zaczerpnąć świeżego powietrza. Nie usłyszałam nadchodzącego z tyłu pana Baverstocka. On... on... nie chcę źle mówić o pańskim przyjacielu, milordzie. Powiedzmy, że kierował się fałszywymi przesłankami.

- Do diabła z nim! Czy nie ma za grosz sumienia? - wykrzyknął Lysander z pasją.

- Niewiele - odpowiedziała szczerze dziewczyna. Wytarła nos i osuszyła łzy. Niespodziewanie poczuła się bardzo szczęśliwa.

Lysander zaśmiał się i lekko ją przytulił.

- Tak, nigdy go nie miał. Powiem mu parę słów. Nie mogę pozwolić, by tak panią niepokoił.

- Dziękuję, milordzie. - Clemency wyprostowała się. - Jestem wdzięczna, że zjawił się pan we właściwym momencie. Mam nadzieję, że nie postawi to pana w zbyt krępującej sytuacji wobec pana Baverstocka.

- Och, dam sobie z nim radę. - Lysander opuścił rękę z pewną niechęcią.

Nagle oboje ogarnęło lekkie zawstydzenie. Clemency wstała i z udaną swobodą rzuciła:

- Pójdę się przebrać, kolacja już niedługo.

- Tak, niedługo, ja też pójdę - odparł machinalnie Lysander.

Clemency, czując, że się czerwieni, szybko dygnęła i odeszła. Jeszcze jakiś czas Lysander patrzył niewidzącym wzrokiem na jaskółki, a potem odwrócił się i także pośpieszył do domu.

Kolacja upłynęła w niemal całkowitej ciszy i nic dziwnego, bo większość obecnych osób, z gospodarzem na czele, nie miała ochoty do rozmów. Po wyjściu pań Clemency poprosiła lady Helenę o pozwolenie udania się na spoczynek.

- Naturalnie, moja droga. Wyglądasz na całkiem wyczerpaną, czyż nie, Mario? Mam nadzieję, że przygotowania do pikniku nie są dla ciebie zbyt wielkim ciężarem.

- Ależ skąd! To wszystko przez ten upał. Sen dobrze mi robi i rano poczuję się znacznie lepiej.

Tymczasem w jadalni mężczyźni z mniejszym niż zazwyczaj zapalem skończyli wieczorne porto. Wędkarze czuli się nieco senni, markiz zaś pogrążył się w milczącej zadumie.

- Lysandrze, gdzie zaplanowano miejsce na piknik? - zapytał lord Fabian. - Mam nadzieję, że znajdziemy tam trochę cienia. Dzisiejszy skwar dał mi się mocno we znaki.

- Zwykle chodzimy nad strumyk koło ruin starego kościółka. To bardzo przyjemne, zacienione miejsce na skraju małego lasu, będziesz więc mógł, kuzynie, odpocząć do woli pod drzewami.

- Już od niepamiętnych czasów nie brałem udziału w pikniku - rzekł lord Fabian. - Od razu poczuję się o kilka lat młodszy.

Towarzystwo rozeszło się na dobre wkrótce po tym, jak panowie dołączyli do pań na kawę w salonie. Lysander odprowadził damy na piętro i wrócił do kuchni, by sprawdzić, czy wszystko zostało należycie przygotowane na następny dzień.

Pani Marlow i jej pomocnice poszły już spać. Został jedynie Timson, żeby pozamykać wszystko na noc. Na podłodze stało Mika koszy, a mniejsze koszyki ustawiono na stole. Na jednym z nich leżała kartka i

właśnie ona przyciągnęła uwagę markiza.

- Timson! - zawołał. - Co to jest?

- Przepraszam, milordzie, nie słyszałem pana - odparł i Timson, wychodząc po schodach z piwnicy.

- Kto napisał tę kartkę?

- To lista produktów na piknik, milordzie - rzekł służący, rzuciwszy na nią okiem.

- Przecież widzę! - odparł markiz. - Chcę wiedzieć, kto ją napisał.

- Nie mogę tego dokładnie stwierdzić, wielmożny panie. Na pewno nie jest to pismo pani Marlow. Może panny Stoneham?

Markiz podniósł kartkę i przyjrzał się jej uważnie. W układzie liter zauważył coś dziwnie znajomego. Gdzie, u diabła, widział już takie pismo?

6

Piknik miał się okazać wydarzeniem, które na długo utkwilo w pamięci Clemency. Dzień zaczął się jednak nie najlepiej, rankiem bowiem zastała w jadalni tylko pana Baverstocka, który zajadał smażone na bekonie cynaderki. Na jej widok mruknął oschłe „dzień dobry”. Cokolwiek powiedział mu markiz, musiało go mocno dotknąć.

Clemency nie spała dobrze tej nocy i nadal bolała ją ręka. Bez słowa naląła sobie kawy i wzięła grzanekę. Mark również nie zamierzał podejmować konwersacji, toteż sięgnęła po wczorajszy *Morning Post* i zaczęła go przeglądać. Znajdowała się tam jak zwykle notatka na temat

zdrowia księżniczki Charlotty, informacja o ciekawszych wydarzeniach w nadchodzącym tygodniu i oświadczenie specjalnego komitetu na temat wykorzystywania małych chłopców do prac kominiarskich. W każdy inny dzień artykuły wzbudziłyby jej zainteresowanie, lecz dzisiejszego ranka ledwie na nie zerknęła.

Gdyby zechciała jeszcze zajrzeć do rubryki „zgubiono - znaleziono”, przeczytałaby ciekawy anons: *Panna C.H.- W. Proszę o kontakt. Jameson. Skrzynka numer 240. Dyskrecja zapewniona.*

Po skończonym śniadaniu Clemency opuściła jadalnię i poszła do kuchni. Na dole wrzała praca. Na wpół wypełnione kosze z wiktuałami stały na podłodze, a Molly i Peggy oraz kucharz energicznie uwijali się, by dokończyć pakowania. Clemency popatrzyła na panią Marlow.

- Wszystko w najlepszym porządku, panno Stoneham. Timson dopilnuje, by do południa wszystko znalazło się w powozie.

- Dziękuję, to wspaniale. - Clemency odwróciła się i pobiegła na górę. Chciała sprawdzić, jak radzą sobie Arabella z Dianą. Lekcja miała rozpocząć się o dziewiątej, ale nie spodziewała się zrobić dziś zbyt wiele.

Dziewczęta jednak już czekały. Clemency zaproponowała, by korzystając z wycieczki założyły zielnik, a do specjalnego koszyczka zbierały okazy, które potem przyniosą do domu. Clemency odkryła u Arabelli talent do akwareli - jedną z niewielu umiejętności tej panny, które przystały prawdziwej damie. Postanowiła więc, że to ona będzie

malować, Diana zaś opisze później te obrazki pięknym pismem.

- Czy mamy szukać czegoś unikalnego, panno Stoneham? - zapytała Diana.

- Myślę, że powinnaś uzgodnić to z Arabella - odparła Clemency.

- Och, nie. Di. Wybierzmy po prostu interesujące rośliny - wtrąciła Arabella. - Coś z ładnymi liśćmi, na przykład bluszcz. Inaczej będzie to strasznie nudne zajęcie.

Diana spojrzała na Arabelle z powątpiewaniem.

- Moja droga - Clemency zwróciła się do Diany z życzliwym uśmiechem - chęć malowania pięknych rzeczy zamiast czegoś bezbarwnego nie jest niczym nagannym, wiesz o tym. Zatem pozwól kuzynce rozwijać artystyczne zdolności!

- Adela nie pochwaliłaby tego. - Mimo wszystko twarz Diany rozjaśniła się. Jej siostra wszędzie dojrzy czyhające zło, pomyślała Clemency.

- Adeli tu nie ma - odparła Arabella. Jej zdaniem moralne rozterki Diany były czasem niezrozumiałe. - Na szczęście Bóg stworzył też i piękne kwiaty - dorzuciła.

To nie podlegało dyskusji, więc dziewczęta zabrały się do pakowania szkicowników i notatników na popołudniowe zajęcia.

- Panno Stoneham - odezwała się nagle Arabella. - Zastanawialiśmy się, i mam nadzieję, że nie weźmie pani tego za wścibstwo, jak pani ma na imię. Diana twierdzi, że to musi być coś bardzo ładnego.

- Ależ to żadna tajemnica - odparła z uśmiechem. - Moje imię jest nieco staromodne: Clemency. Nie wiem, czy spodoba się Dianie. - Potem dodała poważniej: - Posłuchajcie, dziewczęta, chcę, abyście zachowały tę informację dla siebie. Nie mam nic przeciwko temu, żebyście znały moje imię, ale nie rozpowiadajcie tego dalej.

- Oczywiście. Nie powiemy nikomu, prawda, Di?

Diana kiwnęła głową. Była trochę rozczarowana. „Clemency” brzmiało jak imię jakiejś świętoszki z książek Adeli. Wolałaby coś bardziej romantycznego, na przykład „Clementina”.

W południe wszyscy zebrali się w hallu. Postanowiono, że kosze zostaną załadowane do starego powozu, zaś dwukólką Lysandra pojedą panie - lady Fabian i lady Helena. Lord Fabian zgodził się jechać wierzchem za powozem, a młodzież miała iść leśnymi skrótami na piechotę. Ścieżka wzdłuż strumyka biegła prawie cały czas lasem, więc towarzystwo nie powinno się zmęczyć. Należało tylko mieć nadzieję, że dotrą na miejsce jednocześnie z powozami.

- Proszę pozwolić sobie pomóc, panno Stoneham - zaproponował Giles, który starał się iść jak najbliżej dziewczyny. - Poniosę pani koszyk.

- Och, dziękuję bardzo, panie Fabian.

Arabella i Diana spojrzały na siebie tłumiąc chichot.

- Ale w środku znajduje się mech!

- Zgadza się. Proszę uważać na ubranie, panie Fabian, mech jest jeszcze wilgotny. Zamierzamy zebrać trochę kwiatów do naszego zielnika.

Giles pragnął powiedzieć jej komplement, bo właśnie przyszło mu do głowy, że przypomina boginię Prozerpinę, jednak nie potrafił ubrać swych myśli w słowa. Stwierdził za to z ulgą, że pan Baverstock poszedł przodem. Wyostrzonym wzrokiem zakochanego młodzieńca Giles obserwował z gniewem natrętne umizgi Marka. I chociaż nie dowierzał jego intencjom - nie potrzebował umoralniających uwag siostry, by dostrzec, że Mark nie ma dobrych zamiarów - to jednocześnie zazdrościł mu swobody i pewności siebie.

Zdecydował, że zostanie sługą i rycerzem swej damy. Będzie niezwykle szlachetny i nigdy nie wyjawia swojej miłości, zadowolając się jedynie czuwaniem nad bezpieczeństwem. Naturalnie, pomyślał, odsuwając z melancholią jeżyny, zapadnie przy tym na śmiertelną chorobę (dziewczyna ześliznie się do potoku, uciekając przed zdradzieckimi objęciami Baverstocka i on, Giles, uratuje ją i umrze). Będzie długo cierpieć na łożu śmierci i odejdzie z tego świata z jej imieniem na spierzchniętych ustach. W tej samej chwili uzmysłowił sobie, że tak naprawdę nie wie, jak ona ma na imię, a panna Stoneham na ustach umierającego nie brzmi tak samo romantycznie, jak „Mary” czy nawet „Cecil”.

Sprawca jego nieszczęść szedł tymczasem obok Adeli i starał się nie

ziewać, słuchając opowieści o jej pracy dla kościoła. Coraz bardziej żałował przyjazdu do Candover i gdyby nie siostra, już rano kazałby służącemu doręczyć sobie pilny list wzywający do natychmiastowego powrotu. Jednak Oriana miała tu swoją pieczeń do upieczenia, a Mark na swój leniwy sposób był czułym i oddanym bratem. Gdyby ta cholerna dziewczyna, panna Stoneham, okazała się bardziej przystępna, cieszyłby się z pobytu na wsi co najmniej przez miesiąc. Dni pełne podniecających flirtów a noce uwieńczone rozkosznym spełnieniem w jej małym pokoiku sprawiłyby, że czas mijałby im szybko i przyjemnie.

Niestety, jest zanadto pruderyjna. Albo wyjątkowo przebiegła. Jeśli liczy na złapanie go w sidła, bardzo się myli. Nagle przyszedł mu do głowy świetny pomysł. Zacznie, flirtować z Arabella. Naturalnie, nie zamierzał uwieść siostry przyjaciela - wtedy rzeczywiście dołałby oliwy do ognia - ani się z nią żenić. Arabella jest ładna i nie tak niedoświadczona, jak by się mogło wydawać, a jej zachowanie może przysporzyć wiele kłopotów pannie Stoneham. Jeśli pofigluje nieco z małą, jej śliczna opiekunka już choćby z poczucia obowiązku będzie musiała im wszędzie towarzyszyć. A wówczas przyjmie jego zaloty z obawy, że w przeciwnym razie zrobi krzywdę jej podopiecznej.

Im więcej o tym myślał, tym bardziej podobał mu się ten pomysł. Wszystko wydawało się takie proste.

Za sprawą Adeli Oriana stanęła przed poważnym dylematem. Czy Lysander rzeczywiście dążył do - małżeństwa z córką kupca? Z pewnością nie. Słyszała nieraz, jak wypowiadał się z pogardą na temat wyrastających jak grzyby po deszczu fortun parweniuszy, którzy dorobiwszy się majątku starają się wejść do wyższych sfer. Nikt bardziej niż Lysander nie jest świadom znaczenia i pozycji arystokracji!

Panna Fabian musiała zostać źle poinformowana. Uspokoilo to ją na całą następną minutę, ale potem przypomniała sobie tragiczny stan domu i majątku. Wszędzie widać było ślady zniszczenia. Oriana nie miała w tych sprawach doświadczenia, ale nawet laik potrafiłby zauważyć, że brakuje funduszy na podstawowe naprawy. Następnie przyszło jej do głowy, że Lysander jest markizem zaledwie od kilku miesięcy, więc nie miał czasu na uporządkowanie wielu spraw.

Mimo wszystko martwiła się. Mijały już trzy lata, jak została wprowadzona do towarzystwa, i czuła, że najwyższy czas na zamążpójście. Nigdy nie narzekała na brak wielbicieli, lecz poważnych kandydatów do małżeństwa było raczej niewielu. Większość dżentelmenów wolała pozostać przy mało zobowiązującej admiracji i słowach zachwyty. Orianie to nie wystarczało. Postanowiła wyjść dobrze za mąż. Posag upoważniał ją co najmniej do tytułu baronowej i panna Baverstock nie widziała powodu, dlaczego miałyby na tym poprzestać.

Zubożały markiz jest lepszy niż żaden, poza tym uważała Lysandra za

całkiem pociągającego mężczyznę.

Przy okazji utrże nosa tej bezczelnej pannie Stoneham. Przeklęta kokietka o anielskim wyglądzie, któremu nie oprze się wielu mężczyzn - o ile, rzecz jasna, brak im smaku i gustują w lalkach o jasnych włosach i niebieskich oczach. Poprzedniego wieczora miała miejsce jakaś awantura i chociaż Mark nie chciał powiedzieć, o co poszło, Oriana podejrzewała, iż panna Stoneham stara się podstępem złapać męża. Fakt, że sama zamierzała zrobić dokładnie to samo, nie miał tu nic do rzeczy. Panna Stoneham powinna się cieszyć z pozycji, którą przyniósł jej los, zaś obowiązkiem panny Baverstock jest zapewnić sobie jak najlepszą przyszłość.

Problem z guwernantkami polega na tym, myślała, że roszczą sobie pretensje do praw należnych szlachetnie urodzonym. Ładna pokojówka nie może zagrozić nikomu, ale guwernantka to już co innego. Mimo wszystko jest coś w tej pannie Stoneham, co nie pasuje do jej rzekomego pochodzenia. Zwyczajna uprzejmość wymaga, by ostrzec przed tym markiza.

Oriana wybrała więc swoją najładniejszą suknię z muślinu, koloru pierwiosnków, z delikatnymi haftami kwiatów, która podkreślała jej czarne loki. Na głowę włożyła słomiany kapelusz z żółtą wstążką, trochę cygański w stylu, i ruszyła na podbój markiza. Jak się spodziewała, Lysander dotrzymał jej kroku i szli tak razem na czele małej grupy. Gdy wchodzili do lasu, orszak rozciągnął się i Oriana,

zerknąwszy przez ramię, uznała, iż może prowadzić rozmowę bez obawy, że zostaną podsłuchani.

Po wymianie banalnych uwag na temat wspaniałej pogody, lasu i kwiatów Oriana stwierdziła:

- To bardzo miłe z twojej strony, Lysandrze, że pozwoliłeś pannie Stoneham wziąć udział w pikniku.

- Opiekuje się dziewczętami - odparł krótko markiz.

W tej samej chwili Arabella wydała z siebie okrzyk zupełnie niestosowny dla damy, po którym nastąpiła łagodna nagana ze strony Clemency.

- Jestem pewna, że bardzo się stara. - Oriana ścieła Parasolką pokrzywę.

Markiz nie odpowiedział.

- To oczywiste, że biedaczka jest przyzwyczajona do większych wygod - ciągnęła.

- Co masz na myśli? - zdumiał się Lysander.

- No cóż, zauważyłam, że nosi jedwabne pończochy. Jaka guwernantka może sobie na to pozwolić? A szal, który miała na sobie zeszłego wieczora? Czysty jedwab, i to bynajmniej nie z tych najtańszych.

Nastąpiła chwila ciszy. Lysander zmarszczył brwi i wyglądał na zamyślonego. Oriana rozejrzała się wokół siebie i odetchnęła głęboko.

- Ach! - westchnęła głośno. - Jakie świeże, wiejskie powietrze! Czasem

zastanawiam się, dlaczego wybraliśmy życie w mieście, kiedy tutaj jest tak pięknie.

- Udajesz, że nic cię nie obchodzi?

- Co takiego? - zapytała z zakłopotaną miną.

- Panna Stoneham.

- Nie mogę się pozbyć wrażenia, że nie jest tym, za kogo się podaje - zaśmiała się i wzruszyła ramionami. - Być może jednak czytałam zbyt dużo powieści! W każdym razie czułabym się lepiej wiedząc, że nie ma żadnych niegodnych zamiarów wobec mojego biednego braciszka.

- A myślisz, że tak jest?

- Lysandrze, mój drogi! - Oriana ścisnęła go za rękę. - Wystarczy na nich popatrzeć, by zrozumieć, że panna Stoneham jest Markiem mocno zainteresowana. Naturalnie, że ma nadzieję coś wskórać, a która guwernantka by nie miała, jakkolwiek stara się to ukryć.

- Nie wierzę, by go zachęcała.

- Jesteś zbyt łatwowierny - uśmiechnęła się Oriana. - Taki ostentacyjny pokaz niechęci potrafi niekiedy zdziałać cuda.

- Rozumiem.

- Tak też sobie myślałam.

Gdy towarzystwo przybyło pod ruiny kościoła, państwo Fabianowie już ich oczekiwali. Woźnica wyładował z powozów kosze i rozłożył na trawie kilka dywaników. Lady Fabian zajęta była rozpakowywaniem i

Clemency natychmiast zaczęła jej pomagać. Giles również postanowił pójść w jej ślady.

- Czy mogę w czymś pomóc, panno Stoneham?

- Dziękuję, panie Fabian. Może pan postawi napoje w chłodnym miejscu.

- To znaczy gdzie? - Giles rozejrzał się bezradnie. Jego wizja rycerskiej pomocy nie przewidywała przenoszenia kilkunastu butelek piwa, napoju imbirowego i lemoniady.

- Proszę zapytać kuzyna. - Clemency wskazała Marka i Lysandra wyprzęgających konie. Doprawdy, ten człowiek jest beznadziejny, pomyślała. Dzięki Bogu, ojciec wychowywał ją w sposób bardziej liberalny. Od Clemency wymagano, by umiała się ubrać, pościła łóżko, a od czasu do czasu nawet ugotować. Jej matka nadaremnie protestowała, że to nie przystoi prawdziwej damie.

- Co za bzdury, Amelio - mawiał ojciec. - Nie chcę żeby nasza mała Ciem wyrosła na jedną z tych niezaradnych panienek, które na każdym kroku potrzebują pomocy.

Zauważyła, że pozostałe panny - Diana, Adela i Oriana - kompletnie nic nie robią, choć nie była pewna, czy bierze się to z lenistwa, czy też ze zwykłej ignorancji. Arabella, idąc za przykładem Clemency, zaczęła rozpakowywać kosze.

- Di! - krzyknęła. - Pomóż mi przy wycieraniu kieliszków.

Szkło zostało starannie zapakowane w słomę.

- Tak jest, Diano, zrób coś pożytecznego - podchwyciła lady Fabian.

Oriana i Adela spojrzały po sobie.

- Panno Fabian, może zwiedzimy ten osobliwy kościółek - zaproponowała Oriana. - Chyba nie wszyscy muszą zajmować się rozpakowywaniem.

Adela podążyła za nią.

- Ostrzegłam Lysandra przed podstępными sztuczkami panny Stoneham - ciągnęła Oriana, gdy tylko znalazły się wystarczająco daleko od reszty towarzystwa. - Będzie miał na nią baczne oko, proszę zapamiętać moje słowa.

- Mama nie widzi w jej postępowaniu niczego zdrożnego - odparła Adela ze smutkiem. - Przestrzegłam ją, a ona tylko powiedziała, iż panna Stoneham jest dobrze wychowana i całe szczęście, że Diana ją polubiła! Diana! A co ona może wiedzieć, ta mała idiotka?

- Jestem zdecydowana zdemaskować tę awanturnicę! - odparła Oriana.

- Guwernantka, akurat! Nie zdziwiłabym się, gdyby okazała się jakąś bezrobotną aktorką.

- Ohyda! - Adela uniosła brzegi sukni, jakby nie chciała się zarazić.

- Na pewno nie zachowuje się jak guwernantka. Gdzie jej pokora i szacunek?

- Z pewnością postępuje tak, jakby była nam równa! - przytaknęła jej towarzyszka.

- Właśnie, panno Fabian. - Oriana zerknęła na Adelę i dodała: -

Zauważyłam, że mój brat dotrzymywał pani towarzystwa, gdy szliśmy przez las, i wydawał się z tego powodu bardzo zadowolony!

Adela zarumieniła się. Nigdy jeszcze nie mówiono jej tak otwarcie o zainteresowaniu mężczyzny i poczuła coś w rodzaju przyjemnego zmieszania.

- Pan Baverstock to prawdziwy dżentelmen - udało się jej powiedzieć.

Oriana odwróciła twarz, żeby ukryć uśmiech politowania. Ani przez chwilę nie wierzyła, że Mark odczuwa cokolwiek poza dyskretną pogardą dla tej biednej istoty. Jednak na razie woląa mieć Adelę po swojej stronie. Dodała więc:

- Mark rzadko interesuje się wartościowymi kobietami. - Niech panna Fabian myśli o tym, co tylko chce.

W tym momencie usłyszały wołanie lady Fabian i zawróciły w stronę reszty towarzystwa.

Clemency dzieliła właśnie mięso, Arabella zaś rozdawała halerze i sztucce. Diana układała sałatę w dużej salaterce.

- Chodźcie, leniuchy - uśmiechnął się Lysander do Oriany. - Ty też, kuzynko Adelo. Arabello, proszę o talerze dla gości.

Oriana usiadła z wdziękiem na dywanie i pozwoliła, by Lysander nałożył jej na talerz kilka plasterków szynki i cielęciny.

Kątem oka Clemency dostrzegła, że Mark pomaga Arabelli przy sałacie i wkłada jej do ust rzodkiewkę. Arabella śmiała się. Za to Adela, z pustym talerzem na kolanach, patrzyła przed siebie z wypiekami na

twarzy.

- Panno Fabian - zawołała Clemency. - Chciałabym polecić pani pieczeń. Została sporządzona według specjalnego na tę okazję przepisu kucharki, mam nadzieję, że będzie pani smakować.

- Dziękuję. - Adela wyglądała na bardziej przygnębioną niż wdzięczną.

- Panie Baverstock - odezwała się chłodno Clemency. - Czy zechciałby pan dopilnować, żeby panna Fabian otrzymała wszystko, co trzeba?

Mark wziął ostatnią rzodkiewkę i z ręką na sercu ofiarował ją chichoczącej Arabelli, po czym posłusznie zwrócił się do Adeli.

Lord Fabian patrzył na Clemency z uznaniem. Śliczna dziewczyna, a na dodatek ma charakter. Poradziła sobie z Gilesem, Dianą i Arabellą, a teraz jest o krok od pokazania panu Baverstockowi, gdzie jego miejsce. Naturalnie, Giles jest w niej zakochany, ale lord Fabian nie widział w tym niczego niepokojącego. Wprost przeciwnie, z przyjemnością zauważył, że syn interesuje się młodą panną o dobrych manierach i właściwych zasadach.

Na pewno nie uwierzy w brednie, jakie Adela opowiedziała jego żonie, a mianowicie, że panna Stoneham zamierza usidlić młodego Baverstocka. Z tego, co widział, wprost nie cierpiała tego człowieka.

Jedyną osobą, której uczuć nie potrafił rozszyfrować, był markiz. Lysander rzadko rozmawiał z panną Stoneham i starał się raczej nie wchodzić jej w drogę, mimo to lord Fabian wyczuwał z jego strony

zainteresowanie. Wspomniał kiedyś o tym żonie.

- Mój Boże, mam nadzieję, że to nieprawda - odparła dobra kobieta. - Biedny Lysander! Byłoby wielką nieroztropnością, gdyby odczuwał słabość do panny Stoneham.

- Na szczęście, to nie nasza sprawa - rzekł lord Fabian. - Ale jeśli tak jest, szkoda mi go, Mario. Lubię twojego kuzyna, a ma już wystarczająco dużo kłopotów na głowie.

Lady Fabian przyznała mu rację. Teraz, rozglądając się po towarzystwie, przypomniawszy sobie tamtą rozmowę. Zauważyła, że Lysander jest pochłonięty rozmową z panną Baverstock i sprawia wrażenie zadowolonego. Ale oto zerknął nagle na Clemency. Nie było to spojrzenie zakochanego. Lady Fabian nie dostrzegła w nim żadnej czulej delikatności, niczego, co potwierdzałoby domysły męża,

Jednakże, na pewno nie było obojętne.

Obiad dobiegł końca, właśnie zniknął ostatni kawałek placka ze śliwkami. Lysander oparł się o pień drzewa i z wolna gryzł jabłko. W misce z wiśniami widać było dno, a koło jednego z koszy leżała sterta pustych butelek. Nikt nie miał ochoty wstawać. Oriana wprowadziła w osłupienie Adelę i Dianę, kładąc się na plecach na trawie i zamykając oczy. Mark przeniósł wzrok z Arabelli na Clemency, po czym rzekł:

- Arabello i Diano, co z waszym zielnikiem, o którym tyle słyszałem? Może się przejdziemy?

Diana wyprostowała się, niepewna, co powiedzieć, jednak Arabella machnęła tylko ręką i rzuciła:

- Za gorąco.

- Chodźmy w takim razie popluskać się w wodzie.

- W wodzie? - Arabellą aż usiadła z wrażenia.

- Czemu nie? Jest upał i mały spacer po wodzie na pewno nas ochłodzi.

Clemency pozbierała myśli. Pan Baverstock nie może pójść sam z Arabellą, nie będzie to przyzwoite. Zatem musi iść z nimi.

- Pochlapać się w wodzie? - wtrącił niespodziewanie lord Fabian. - Cóż, dlaczego by nie? Niech pani zostanie, panno Stoneham, zapewne czuje się już pani zmęczona, cały dzień na nogach. Dobrze, panie Baverstock, niech pan weźmie dzieci nad wodę. Giles, ty pójdziesz również. Będziesz miał oko na nasze dziewczęta, dobrze?

Mark rzucił mu spojrzenie pełne niechęci, które lord Fabian łaskawie zignorował.

- Mamo, czy będę mogła pójść z nimi? - zapytała raptem Diana, nieco przerażona wizją zdjęcia pończoch i pokazania wszem i wobec gołych stóp.

- Naturalnie, moja droga - odparła lady Fabian, właściwie interpretując spojrzenie męża. - Schowacie się z Arabellą za drzewo, zdejmiecie pończochy i zostawicie je tam. Nie oddalajcie się jednak zbytnio. Panie Baverstock, dziękuję bardzo, to wyśmienity pomysł.

- Nie przyłączy się pani do nas, panno Stoneham? - zapytał z nadzieją Mark. - Taka wspaniała, chłodna woda. Jestem pewien, że pani nie odmówi.

- Proszę nam towarzyszyć - pisnęła Diana.

Clemency usiadła.

- Zostawcie pannę Stoneham w spokoju - rzekł Lysander, kończąc jabłko i rzucając ogryzek w zarośla. - Pozwólcie jej choć przez jakiś czas cieszyć się zasłużonym odpoczynkiem.

Nie pozostało już nic do powiedzenia. Czwórka chętnych odeszła i wkrótce słychać było okrzyki radości Arabelli i wtórujący jej śmiech Diany.

Clemency, w rzeczy samej dość zmęczona, oparła głowę o zniszczoną kolumnę i po chwili zasnęła. Kiedy się przebudziła, zauważyła, że słońce zmieniło położenie. W pobliżu znajdował się tylko Lysander. Clemency zamrugnęła powiekami i usiadła.

- Och! - wyjąkała. Wszystkie rzeczy poza szklankami zostały uprzątnięte. - Przepraszam... powinnam była pomóc...

- Bzdury, była pani zbyt wyczerpana. Proszę napić się lemoniady. - Schowałem w cieniu kilka butelek.

- Bardzo chętnie. Boże, co za upał.

- Jeśli ma pani ochotę, panno Stoneham, może pani również ochłodzić się w wodzie. Mogłaby pani zdjąć te urocze jedwabne pończochy i zostawić je za krzakiem, tak jak Arabella i Diana. Proszę podać mi

swoją szklanę.

- Jest pan już trzecią osobą, która mi wypomina pończochy z jedwabiu

- zaśmiała się dziewczyna. - Czy kryje się w tym jakaś tajemnica?

- Nie, oczywiście że nie. - W głowie dźwięczały mu jeszcze słowa Oriany.

- Ojciec zawsze dawał mi pod choinkę jedwabne pończochy - wyjaśniła. - Nigdy nie nosiłam innych. Chociaż po jego śmierci... - urwała, przywołując się do porządku. - Widzę, że najwyraźniej nie przystoją guwernantce. Nie pomyślałam o tym.

Nastąpiła chwila ciszy, po czym Lysander ponaglił:

- Chodźmy już, panno Stoneham, pobrodzimy razem w strumieniu. - Nachylił się, by rozwiązać buty. Clemency postawiła szklanę i udała się za krzaki.

Kiedy wróciła, świadoma swoich bosych nóg, Lysander już na nią czekał.

- Pomogę pani zejść z brzegu. Proszę uważać na spódnicę - dodał i podał jej rękę.

Clemency ogarnęło zakłopotanie, poczuła się, jakby śniła pną jawie. Jakaś jej część zdawała sobie sprawę, że nie powinna tego robić, jednak nie potrafiła się powstrzymać. Lysander ma bardzo zgrabne stopy, zauważyła. W porównaniu z nimi jej własne wydały się jej małe i blade.

- Ma pani ładne stopy, panno Stoneham - rzekł w tej samej chwili z uśmiechem, jakby czytał w jej myślach.

Ostrożnie zanurzyła jedną nogę w wodzie.

- Och! - Była zimna, ale cudownie orzeźwiająca. Chwyła mocniej jego dłoń i weszła do potoku. - Och! - powiedziała raz jeszcze. - Wspaniale! - Podniosła brzegi sukni i pozwoliła się poprowadzić na środek strumienia.

- Dokąd idziemy?

- Zobaczy pani.

Ręka w rękę posuwali się powoli w górę strumyka, który po kilku metrach zakręcił w lewo, zasłaniając miejsce ich pikniku.

- Cicho! - Lysander położył palec na ustach. Szli środkiem nurtu, więc ich ruchy nie wywoływały pluśnięć. - Proszę spojrzeć - szepnął. - Widzi pani? Tam, na wystającej gałęzi.

- Och, tak! Co to za ptak?

- Zimorodek.

- Czyż nie jest piękny?

Ptak musiał ich usłyszeć albo dostrzec, bo odfrunął nagle, zamieniając się w niebieską, świetlistą smugę. Lysander odwrócił się z uśmiechem do dziewczyny.

W tej chwili Clemency wydało się, że świat się dla niej zatrzymał. Wszystko zamarło i stanął czas. Jedyne, co istniało, to twarz o ostrych rysach i ciemnych oczach oraz ręka trzymająca jej dłoń. Lysander także się w nią wpatrywał.

- Już panią wcześniej widziałem, prawda? - szepnął w końcu. Podniósł

drugą rękę i dotknął kosmyka jej włosów.

Clemency otworzyła usta, chcąc coś powiedzieć.

- Hej, hej! Lysander! Gdzie jesteś? - dobiegł ich głos Arabelli.

Natychmiast wrócili do rzeczywistości. Dziewczyna zdała sobie sprawę, w jak niezręcznym znaleźli się położeniu. Lysander westchnął głęboko, jego umysł był także czymś zaprzątnięty.

- Sądzę, że powinniśmy wrócić oddzielnie - odezwał się wreszcie, starając się mówić normalnym tonem. - Nie chciałbym sprawić pani kłopotów.

- Jak możemy to zrobić? - zapytała po prostu. Odetchnęła głęboko. Jeśli zostaliby odkryci, mogłaby się znaleźć w opałach.

Markiz uśmiechnął się.

- To nic prostszego. Kilka metrów dalej krzaki przerzedzają się. Wyjdzie pani na łąkę w pobliże wozów, a potem należy tylko pójść w dół. Ja wrócę tą samą drogą, którą przyszliśmy. - Odprowadził ją do brzegu, zczekał, aż bezpiecznie wyjdzie na górę, po czym uniósł jej dłoń do ust i powiedział: - Pora ruszać.

- Dziękuję za pokazanie zimorodka - powiedziała zawstydzona.

- Cała przyjemność po mojej stronie.

Po tych słowach markiz zniknął.

Arabella zaczęła szukać brata, by mu opowiedzieć o nowej tamie, jaką zbudowali dzisiaj na strumieniu. Chciała też znaleźć się w jego pobliżu,

bo czuła się skonfundowana i zaniepokojona zachowaniem pana Baverstocka. Pod pewnymi względami, szczególnie gdy szło o mężczyzn, Arabella potrafiła być bardzo bystra; miała wystarczająco dużo rozmaitych skrytych doświadczeń, by zauważyć, kiedy się komuś naprawdę podoba. Nie mogła tego powiedzieć w przypadku pana Baverstocka.

Droczył się z nią i flirtował, ale robił to hałaśliwie i na pokaz, jakby jego poczynania kierowane były do kogoś innego. Arabelli wcale się to nie podobało. Ostatnio wspomniał o mającym się odbyć w najbliższą sobotę wiejskim odpuście. Dał jej do zrozumienia, że jeśli zechce, zabierze ją wieczorem na tańce. Zdobędzie maski, więc nikt ich nie rozpozna.

W innej sytuacji taki zakazany wypad spodobałby się jej natychmiast. Podobnie zresztą uczyniła w zeszłym roku raz z Joshem Baldockiem. Piórkiem naoliwiła drzwi kuchenne, by nie skrzypiały, i po cichu wymknęła się z domu. Po dziś dzień nikt o niczym nie wiedział. Lecz pan Baverstock to nie Josh Baldock. Tak jak i ona doskonale wiedział, że nie powinien jej tam zabierać. O co więc mu chodzi?

Z ulgą usłyszała głos brata i podążyła w jego stronę. Nie dostrzegła Clemency, która w tym samym czasie wspięła się na brzeg, przebiegła szybko łąkę i skrywszy się za powozami, włożyła pończochy i pantofle.

Kiedy wyszła zza krzaków, zobaczyła, że Giles i Diana już wrócili. Dziewczyna podbiegła do niej.

- Och, panno Stoneham, proszę tylko popatrzeć! Udało nam się zebrać trochę kwiatów. - Wskazała na brata, który właśnie podszedł z koszem.

- Brawo - odparła Clemency, próbując wziąć się w garść. - Co takiego zebraliście?

- Proszę spojrzeć na kwiaty, rosły przy brzegu.

- Jaskry! Są prześliczne.

Spakowano resztę rzeczy do koszy i wraz z dywanami załadowano do powozu. Zaprzęgnięto konie. Tymczasem państwo Fabianowie wrócili z przechadzki po lesie i znów całe towarzystwo było razem. Lysander i Arabella wyszli z potoku i udali się po buty. Jeśli nawet markiz był nieco milczący, nikt nie zdawał się tego zauważać. Arabella odzyskała humor i rozprawiała głośno, również Adela i Oriana śmiały się do siebie.

Także Mark był zadowolony. Jak na razie, wszystko szło po jego myśli. Nie wątpił, że Arabella przyjmie, mimo skrupułów, jego propozycję. Zresztą nie zamierzał nalegać na nią w tej chwili. W końcu musi się zgodzić, a wówczas w zastawioną pułapkę wpadnie i Clemency. Marnuje się tu jako guwernantka, wmawiał sobie, tak uroczy kątek zasługuje na ładne stroje i kosztowne drobiazgi. Jeśli spełni jego oczekiwania, być może postara się dla niej o małe, dyskretne gniazdko. Stał i kontemplował w myślach upadek dziewczyny, jakby wyświadczał jej wielką przysługę.

Nic nie może pokrzyżować jego planów. Aby odsunąć jakiegokolwiek

podejrzenia, zaproponował ramię Adeli, nastawiając się na pół godziny przeraźliwej nudy.

W drodze powrotnej Clemency szła obok rozszczebiotanych dziewcząt, Diany i Arabelli. Jak zwykle, towarzyszył im wierny Giles. Na szczęście wystarczało, że od czasu do czasu wtrącała krótki okrzyk zdziwienia czy aprobaty. Jej uczucia znajdowały się w stanie takiego zamętu, że nie potrafiłaby prowadzić logicznej konwersacji.

Przede wszystkim zdała sobie sprawę, że jest zakochana w Lysandrze. Ogarnęło ją uczucie podobne do tego, którego doświadczyła przed domkiem panny Biddenham, tyle że po stokroć silniejsze. Teraz poznała go już lepiej, potrafiła zrozumieć i docenić jego charakter. To dobry człowiek, pomyślała, uśmiechając się w zadumie. Dbał o zapewnienie godziwej przyszłości swojej siostrze i najbliższym, niepokoił się o losy pracowników i chłopów w majątku i jako głowa rodu był gotów wziąć na siebie cały ciężar odpowiedzialności.

Może w przeszłości, w towarzystwie pana Baverstocka, zachowywał się jak hulaka, uprawiając hazard czy goniąc za tancerkami z West Endu. Tego nie wie. Niewątpliwie jednak nie jest człowiekiem tak gwałtownym i brutalnym, jak jego brat. Clemency miała do przemyślenia wiele problemów, ale na razie nie potrafiła się skupić na żadnym z nich.

Jej umysł zajęty był wspomnianiem krótkiej wycieczki w górę strumyka i owej cennej chwili, gdy stała z nim po kostki w wodzie,

obserwując zimorodka. Co by się mogło zdarzyć, gdyby nie zawołała go Arabella, pozostaje pytaniem, które zatrzyma sobie na spokojniejszą chwilę.

Oriana wracała, tak jak przyszła, z markizem. Dzisiejszy dzień spędziła całkiem przyjemnie, choć nie udało się jej pogłębić wiedzy na temat finansowej kondycji Lysandra. Kiedy szli na końcu towarzystwa, niespodziewanie wyszło na jaw kolejne niebezpieczeństwo. Oriana dostrzegła z oburzeniem, że markiz coraz to spogląda na Clemency. Były to jedynie krótkie zerknięcia, ale upewniły Oriane, że święci się tu coś niedobrego. Lysander jest dżentelmenem i nie pozwoliłby sobie na flirty z guwernantką, jednakże nie pozostaje obojętny na wdzięki tej bezwstydnicy.

Przez moment ogarnęła ją wściekłość i całą siłą woli powstrzymywała się, by nie rzucić w stronę guwernantki paru dosadnych epitetów, które same cisnęły się na usta. A więc o to chodzi tej spryciarze! Nie zadowalała się bałamuceniem Marka, teraz zastawia sidła na samego markiza!

Tego już za wiele, pomyślała. Im prędzej panna Stoneham zniknie z horyzontu, tym lepiej. Musi rozważyć, jak się do tego zabrać. I ona, i Lysander powrócili do domu prawie w milczeniu, lecz żadne z nich tego nie zauważyło. Jeśli przedmiotem ich rozmyślań była ta sama osoba, to wnioski, jakie wysnuli, okazały się diametralnie różne.

Gdy dotarli do Candover Court, Oriana podeszła do brata i chwyciła go za ramię.

- Chciałabym zamienić z tobą słówko - powiedziała z uśmiechem, przeprosiwszy grzecznie Adelę. Wzięła go pod rękę i oddalili się w miejsce, gdzie nikt ich nie mógł usłyszeć.

- O co chodzi, siostrzyczko?

- Chcę, by zniknął z mojej drogi ten łakomy kasek, za którym się tak uganiasz.

- Naprawdę?

- Oczywiście. Możesz potrzebować mojej pomocy. Fabianowie trzymają jej stronę, wiesz o tym.

Mark spojrzał na siostrę.

- Daj spokój. Zawsze sobie pomagaliśmy, prawda?

- Myślisz, że Lysander jest jej celem? - zapytał Mark marszcząc brwi.

- Nie obchodzą mnie zamiary panny Stoneham - Oriana wzruszyła ramionami. - Jestem pewna, że poczuje się najlepiej w roli, jaką dla niej planujesz.

- Bądź ostrożna, siostrzyczko. Chodzą słuchy, że Lysander nie jest dobrą partią. Popatrz tylko na tę posiadłość. Alexander musiał popaść w olbrzymie długi. Tylko jednej nocy przehulał u Watiera dobre sześć tysięcy, byłem tam i widziałem.

- Niepokoi mnie ta panna - ciągnęła Oriana, nie bacząc na jego słowa. - Jest taka dobra i uczynna. Nie znoszę tego rodzaju cukierkowych istot i

z prawdziwą przyjemnością ujrzę jej upadek.

- W porządku - uśmiechnął się Mark. - Powiem ci, co zamierzam zrobić. - W kilku słowach wyjaśnił swój plan.

- Ale czy ona się zgodzi? - wątpiła Oriana. - Może się po prostu poskarżyć lady Helenie.

- Nie sądzę. Doskonale zdaje sobie sprawę, że wejście Arabelli do towarzystwa zależy od jej dobrego zachowania. Nie zechce tak ryzykować.

- Po tym wszystkim nie będziesz mógł tu pozostać - rzekła panna Baverstock po namyśle.

- Moja droga, prawdę mówiąc, nie chcę. Jak dla mnie, czas się tutaj zbyt dłuży. W sobotę rano nadejdzie list wzywający mnie do domu.

- Przecież nie możesz podróżować w niedzielę!

- Mylisz się. Zresztą mój pobyt tu jest bez sensu, Oriano. Nie mam pojęcia, co stało się z Lysandrem, ale zachowuje się ostatnio jak stary, oklapły pies. Nie, wolę miły wypad do Paryża z rozkoszną panną Stoneham.

- A co ze mną? Nie możesz mnie tu tak po prostu zostawić. Pomyśl tylko, w jak dwuznacznej stawiasz mnie sytuacji.

- Twoja sytuacja wcale nie będzie dwuznaczna, jeśli nie połączy się zniknięcia panny Stoneham ze mną. Będą może coś podejrzewać, lecz nikt nie odważy się powiedzieć słowa na głos. A kiedy zabiorę stąd dziewczynę, dla ciebie droga do Lysandra stanie otworem, jeśli tylko

tego pragniesz.

- A co z Arabellą? - zapytała z wolna.

- Znajdzie drogę do domu. I jeśli wie, co dla niej najlepsze, będzie trzymać buzię na kłódkę.

- W porządku. Powiedz, kiedy będziesz potrzebował mojej pomocy.

- Zamierzałem zostawić krótki liścik panie Stoneham i przed wyjazdem podrzucić go do jej pokoju. Bezpieczniej jednak będzie, jeśli ty to zrobisz.

Po powrocie do domu Lysander zastał na stoliku w hallu list od Thorhilla. Prawnik pisał, że potrafi już określić z grubsza wielkość długów markiza, proponuje więc swój przyjazd do Candover Court w przyszłym tygodniu, jeśli tylko nie sprawi to kłopotu. Poza tym otrzymał właśnie kilka propozycji kupna posiadłości i chciałby przedyskutować je z markizem.

Lysander szybko przebiegł wiadomość wzrokiem i już miał zamiar odłożyć list na stolik, gdy zauważył dopisek na drugiej stronie kartki.

Opowiadał mi pan o swojej niefortunnej wizycie u pani Hastings-Whinborough - pisał Thorhill. - Być może zainteresuje pana wiadomość, że owa młoda dama nie wstała jeszcze odnaleziona. Mój kolega po fachu, pan Jameson, który zajmuje się jej sprawami, przypuszcza, że uciekła do Abbots Candover! Wszystko wskazuje na to, że zatrzymała się tam u swojej kuzynki.

Powiedziałem panu Jamesonowi, że to dość wątpliwe: piękne dziedziczki nie pozostają nie zauważone w małych wioskach.

Dało się zauważyć, że choć poprzednia strona listu od pana Thorhilla została przeczytana dość pobieżnie, jego dopisek potraktowano z większą uwagą, markiz bowiem, przyciągnąwszy sobie krzesło, usiadł i jeszcze raz zagłębił się w lekturze.

7

Informacje na temat panny Baverstock, które lady Helena Candover uzyskała od kuzynki Marii, były wystarczająco alarmujące, żeby przestrzec ją przed tą młodą damą. Po pierwsze, istniało duże niebezpieczeństwo, że Oriana uczyni wszystko, by jak najszybciej zostać markizą. Po drugie, najwyraźniej starała się dostać w swe szpony pannę Stoneham. Lady Helena nie zamierzała dopuścić do tego, by jedyna sensowna guwernantka, która wydawała się mieć dobry wpływ na Arabelle, była nękana przez tę butną pannę. A już z pewnością nie chciała, by weszła ona do rodziny.

Dlaczego tak się dzieje, pomyślała, że gdy tylko ma się do czynienia z ludźmi, zaczynają się kłopoty? Prawdę mówiąc, wolała już swoje psy, które robiły, co im kazała, i dobrze znały swoje miejsce. Musi się zdecydować, jak ma postąpić w tej sprawie.

- Panno Baverstock - oznajmiła następnego dnia przy śniadaniu. - Dzisiaj po południu zamierzam złożyć wizytę pastorowi i jego żonie.

Byłabym wdzięczna, gdyby mogła mi pani towarzyszyć. Z pewnością pani nie pożałuje. - Propozycja została wygłoszona tonem nie znoszącym sprzeciwu.

- Oczywiście, lady Heleno.

- Panno Stoneham, jeśli zabierze się pani z nami, z przyjemnością podrzucę panią na godzinkę do kuzynki. Będzie okazja, żeby zawieźć jej trochę owoców z naszego ogrodu.

- Bardzo dziękuję, lady Heleno.

- Zatem wyruszamy o drugiej. Lysandrze, zechcesz zamówić powóz? Nie potrzebujesz go już po południu.

- Czy to stwierdzenie, czy tylko zapytanie? - mruknął pod nosem Mark. - Straszna kobieta ta twoja ciotka.

- Zarówno mój powóz, jak i ogród są do twojej dyspozycji, ciociu - odparł cierpko markiz.

Lady Helena pozostała jednak nieczuła na jego ironię i spokojnie zajęła się psami.

Arabella i Diana, które nie przepadały za Oriana, wymieniły porozumiewawcze spojrzenia. Arabella poczuła lekki niepokój na myśl o tym, że ciotka poświęca tej damie szczególną uwagę. Gdy tylko pozwoliła na to etykieta, dziewczęta przeprosiły pozostałych i udały się do pokoju lekcyjnego przedyskutować tę sprawę.

Clemency skrzywiła się słysząc ton markiza - bynajmniej nie miała ochoty, by jej kuzynka stała się celem jego wymuszanej szczodrości.

Oriana uśmiechnęła się z zadowoleniem i poczęstowała się jeszcze jedną dorodną brzoskwinia z sadów markiza.

Lysander miał wiele do przemyślenia. Ogromnie poruszyła go rozmowa z Arabella poprzedniego popołudnia i wiadomość o tym, że Mark zaproponował jej potajemną schadzke na wsi w sobotni wieczór. Jego siostra niewątpliwie była taką psotną kokietką, ale już jako dziecko spowiadała się mu ze swoich problemów, nie widział więc powodu, by tym razem jej nie wierzyć.

Ale dlaczego Mark chciałby zrobić coś tak lekkomyślnego? Przecież doskonale wiedział, że taki wypad może zrujnować reputację Arabelli i zaprzepaścić jej szansę na debiut towarzyski wiosną. Lady Fabian, która miała ją wprowadzić do towarzystwa, jest tolerancyjna, lecz wszystko ma swoje granice. Jeśli sprawa wyszłaby na jaw, nie postawiłoby to jego siostry w dobrym świetle.

Lysander nie sądził, by Mark rzeczywiście nastawał na niewinność Arabelli, a już na pewno nie wierzył, żeby chciał ją poślubić. A więc dlaczego?

Wtem przemknęło mu przez myśl, że siostra wymyśliła tę całą eskapadę. Jeśli tak, to po co mówiłaby mu o tym? Poza tym biedne dziecko czuło się najwyraźniej zagubione. Jedyne, co można teraz zrobić, to prosić Arabellę, by nikomu o tym nie wspomniała i powiadomiła go, jeśli Mark zechce powrócić do sprawy.

Potem pomyślał o Orianie. Nie potrafił sobie tego wytłumaczyć, ale wizyta Baverstocków nie sprawiła mu oczekiwanej przyjemności. Mark, ostrzeżony przed spoufalaniem się z panną Stoneham, nie wiedzieć czemu zamierzał teraz namówić na tajną eskapadę jego siostrę. Także Oriana bardzo go rozczarowała. Ostatnio nawet zauważył, że zachowuje się wręcz jak sekutnica, i ogarnęło go niejasne przeczucie, iż ukrywa przed nim swoje prawdziwe oblicze.

Oboje okazali się niezbyt miłymi gośćmi. Być może, zastanawiał się, ocenia ich niesprawiedliwie pod wpływem kłopotów i stresu.

Może po prostu nie chce dopuścić do siebie myśli o rozstaniu się z czterystoma latami rodzinnej historii? Nie przyszło mu do głowy, że to on mógł się zmienić.

Do czasu śmierci brata życie Lysandra było zabawne i nieskomplikowane. Utrzymywał znajomości z niezliczonymi tancerkami, strzelał u Mentona, chadzał do klubu, z większym lub mniejszym powodzeniem grywał w karty lub na wyścigach - jednym słowem, zachowywał się jak większość młodych, niezależnych finansowo mężczyzn, nie obarczonych żadnymi większymi kłopotami.

To wszystko uległo nagłej zmianie. Nieoczekiwanie spadły na niego uciążliwe obowiązki. Stał się odpowiedzialny za przyszłość siostry i jej pozycję w świecie, a także, choć w mniejszym stopniu, za losy ciotki i podległych mu chłopów. Z początku był tym przytłoczony, by nie powiedzieć zirytowany, jednak z czasem jego uczucia się zmieniły.

Zdał sobie sprawę, że nie chce wracać do dawnego nie skrepowanego trybu życia. Gorąco pragnął wyciągnąć swój ród z tarapatów, zarządzać majątkiem, jak należy, a może nawet osiąść tu z własną rodziną na stałe.

Po zastanowieniu zaniepokoiła go ostatnia refleksja. Jak może myśleć, że żona będzie przyjemnym dodatkiem do jego życia i obowiązków! Chyba zupełnie zwariował! Czyż nie zgadzał się z Markiem, że beztroskie życie bez zobowiązań uczuciowych jest najpiękniejsze? Czy naprawdę chce codziennie przy śniadaniu widywać tę samą twarz i obarczać się zgrają płaczących maluchów? O tym myśli?

Wtedy przypomniał sobie dzisiejsze zaproszenie Oriany przez lady Helenę. A może ciotka pragnie tym samym okazać zgodę na ten związek? Jak Oriana wypadnie w roli pani Candover Court? Jest atrakcyjna i niewątpliwie byłaby odpowiednią markizą. Z całą pewnością również sprawnie poprowadziłaby dom.

Ale bez sensu jest myśleć w ten sposób. Lysander nie widział sir Richarda w roli dobrego wujka, oddającego posag córki na spłacenie długów Alexandra. Nie, jedynym sposobem utrzymania Candover jest, jak sugerował Thorhill, ożenić się dla pieniędzy.

Ponownie wziął do ręki list od prawnika. Dziwne, że dziewczyna się jeszcze nie znalazła. Po spotkaniu z panią Hastings-Whinborough, śmieszoną kobietą o farbowanych jasnych włosach i sztucznym zachowaniu, był tak oburzony, że nie zastanawiał się dłużej nad tą

sprawą. Jaka matka, taka córka, pomyślał teraz, jeszcze raz czytając list. Zapewne dziewczyna uciekła z kochankiem, który już korzystał z jej hojnego posagu. Dość tego, nie warto o tym rozprawiać.

Mimo to nie przestawał myśleć o dopisku Thorhilla, nie mógł wybić sobie z głowy, że istnieje tu jakiś związek, którego nie potrafi pojąć.

Tuż przed drugą Clemency zeszła do kuchni, by sprawdzić, czy pani Marlow nie potrzebuje czegoś ze wsi. Posiadłość była mniej więcej samowystarczalna, ale takie produkty jak cukier czy świece należało kupować w sklepie.

- Dziękuję, panno Stoneham, ale złożyłam już zamówienie w poniedziałek - odparła gospodyni.

- W porządku. - Clemency odwracając się, dostrzegła spory kosz stojący na podłodze.

- To dla pani, panno Stoneham - wyjaśniła pani Marlow, widząc zaskoczenie na jej twarzy.

- Jestem pewna, że lady Helena nie miała na myśli aż takiej ilości - broniła się dziewczyna. - Chyba chodziło o coś mniejszego.

- To z polecenia milorda, panienko. Pan zszedł tu osobiście.

Clemency popatrzyła na koszyk z konsternacją. Nie chciała się tłumaczyć przed lady Heleną, a już z pewnością nie wobec panny Baverstock.

Do kuchni wszedł woźnica, uchylił przed Clemency kapelusza i wziął

kosz.

- Wstawię go do powozu, panienko - powiedział, mrugając do pani Marlow. - Nie będzie pani przeszkadzał.

- Dziękuję - wyjąkała dziewczyna.

- Życzę miłego popołudnia, panno Stoneham - odezwała się gospodyni. - Z pewnością zasłużyła sobie pani na to.

Clemency pobiegła na górę po pelerynę i kapelusz i punktualnie o drugiej wsiadła do powozu. Tuż przed nią ulokowały się w nim lady Helena z dwoma pekińczykami oraz panna Baverstock. Podróż upłynęła na wymuszonej wymianie grzeczności między Orianą a Clemency. Lady Helena nie miała im nic do powiedzenia, toteż zajęła się uspokajaniem psów, szczególnie mniejszego, który nie znosił podróży i nieprzerwanie szczeakał. Młodsze pasażerki dzielnie walczyły, by utrzymać wątplą konwersację, ale poddały się w końcu i przez resztę drogi wyglądały w milczeniu przez okna powozu.

Woźnica zajechał wkrótce przed domek pani Stoneham, rozłożył stopnie powozu i poszedł po koszyk.

Przednie siedzenie było teraz wolne, przez co w środku zrobiło się więcej miejsca, więc lady Helena ze spokojem wyjęła z torebki kość i rzuciła ją na podłogę - ujadający pekińczyk wreszcie zamilkł. Oriana pośpiesznie cofnęła nogi.

- Czarująca dziewczyna ta panna Stoneham - stwierdziła żywo lady Helena. - Zgadza się pani ze mną, panno Baverstock?

- Musiała mieć wspaniałe referencje - odparła Oriana wymijająco.
- Referencje, panno Baverstock? Nie bardzo rozumiem.
- Od poprzedniego pracodawcy, lady Heleno.
- Co za bzdury! Myśli pani, że nie potrafię sama ocenić ludzi?
- Jestem pewna, że milady jest w swych sądach bardzo wnikliwa - rzekła ostrożnie Oriana. - Mimo wszystko, jeśli idzie o tak słodką dziewczynę jak Arabella, nigdy za wiele czujności.

Kobieta podniosła do oka lorgnon i spojrzała przez szkło na Oriane.

- Mam rozumieć, że chce pani podać w wątpliwość kompetencje panny Stoneham? - zapytała oschle.

- Może osobie w moim wieku łatwiej dostrzec sprawy, które mogą ujść uwadze milady - zasugerowała Oriana. - Zarówno ja, jak i panna Fabian zauważyłyśmy, że panna Stoneham próbuje zarzucić sieci na mojego brata, a nawet na markiza.

- Doprawdy, panno Baverstock, obawiam się, że naczytała się pani za dużo romansów. Panna Stoneham bynajmniej nie ma takich planów. Nie biorę pod uwagę zdania Adeli, bo jest ona po prostu zazdrosna. Z moich obserwacji wynika, że to raczej brat pani sprawia kłopoty naszej guwernantce. Jeśli ma pani na niego wpływ, sugerowałabym ukrócić te praktyki. Pana Baverstocka, jako gościa, można się pozbyć, panny Stoneham nie - zbyt ją sobie cenię.

Nastąpiła chwila ciszy.

- Skoro jesteśmy przy temacie, czy interesuje się pani moim

bratankiem?

Oriane tak bardzo zaskoczył ten niespodziewany atak, że przez dłuższy czas nie potrafiła wykrztusić ani słowa. Gdy w końcu doszła do siebie, była zbyt wzburzona, by powiedzieć coś mądrego.

- Z całym szacunkiem, lady Heleno, ale to sprawa między mną a lordem Storringtonem!

- Storrington, dobre sobie! - parsknęła śmiechem kobieta. - Dobry Boże, dziewczyno, czy nie zdajesz sobie sprawy z powagi sytuacji? Posiadłość zostanie sprzedana najdalej pod koniec roku i nawet wtedy starczy ledwie na spłacenie starych długów, zaciągniętych jeszcze przez mojego brata i drugiego bratanka, Alexandra.

Sprzedane? Na chwilę ślepy gniew Oriany przyćmił wszystko inne. Sprzedane! Właśnie wtedy, gdy nadarza się sposobność, by zostać markizą. Jak mógł jej to zrobić! Z pewnością musi być jakiś ratunek, markizowie nie bankrutują ot tak sobie! Muszą istnieć jakieś ukryte fundusze czy rezerwy.

- Co Lysander zamierza zrobić potem? - Miała nadzieję, że jej głos brzmi dostatecznie obojętnie.

- Chyba wstąpi do wojska. - Lady Helena natychmiast zauważyła, że troska Oriany nie rozciąga się ani na nią, ani na Arabellę. - Pieniądzy starczy jedynie na kupienie stanowiska w jakimś pułku.

- Jestem... Bardzo mi przykro - odparła Oriana, przypominając sobie o dobrych manierach. Co za sromotna klęska, pomyślała. Pewnie jest

zadłużony na co najmniej dwadzieścia tysięcy funtów. Lysander może się jej podobać, ale urok męczyzny bez majątku i odpowiednich dochodów jest minimalny. Skromne uposażenie ostatecznie mogłaby znieść, Jednak ubóstwo to już zupełnie inna sprawa.

Lady Helena ujrzała z zadowoleniem, że jej towarzyszka nagle sposepniała. Starsza dama od dawna cieszyła się w rodzinie reputacją osoby bezkompromisowej, której opinie wywoływały często miażdżący efekt. Widząc, że i tym razem dopięła swego, uśmiechnęła się z zadowoleniem i rzekła:

- Ach! Jesteśmy już na miejscu. Jaka przyjemna przejażdżka!

Clemency siedziała w salonie z panią Stoneham i przeglądała w *Morning Post* rubrykę „Zgubiono - znaleziono”. Kuzynka odłożyła specjalnie dla niej ten numer, zamierzając pokazać go w niedzielę. Z wielką ulgą powitała jej wcześniejszą wizytę, jako że wiadomość bardzo jej ciążyła. Będąc kobietą czynu, nie mogła znieść tego stanu niepewności.

- Kuzynko, czy twoim zdaniem nie kryje się tu jakiś podstęp? - spytała ostrożnie dziewczyna. O ile dobrze pamiętała, pan Jameson nie był typem człowieka, do którego mogła się zwrócić.

- Możliwe - odparła kobieta po namyśle. - Jednak nie widzę powodu, abys od razu podawała mu swój adres. Możesz poprosić, by pisał do ciebie na numer skrzynki pocztowej albo zamieścił następne ogłoszenie.

Clemency zastanowiła się. Dziwne, ale zdała sobie sprawę, że mimo pojawienia się szans na pojednanie, nie jest pewna, czy tego właśnie chce. Jeśli pominąć obawy przed panem Baverstockiem, którego zabiegi, zdaje się, ustały, zaczynała jej się podobać nowa praca. Nigdy by o tym nie pomyślała, ale jako guwernantka zyskała wolność, której dotychczas nie doświadczyła. W Candover Court, gdzie nikt nie wiedział, kim jest, czuła się potrzebna i doceniana. Zapracowała sobie na to u Arabelli, pani Marlow, i, jak sądziła, nawet u markiza.

Nauczyła się też, że guwernantka oprócz obowiązków ma również pewne prawa. W domu jej powinnością było składanie wizyt wraz z matką i odkurzanie w salonie francuskiej porcelany. Nie miała jednak żadnych praw. Wciąż musiała być do dyspozycji matki, nieprzerwanie na służbie, skazana na ciągłe kaprysy.

W Candover Court zauważono jej wkład w edukację Arabelli, a nawet w zorganizowanie ostatniego pikniku. Nie wierzyła, by matka doceniła tak kiedyś jej pracę.

- Wiesz co, kuzynko Anne, to dziwne, ale wydaje mi się, że nie mogłabym już wrócić do domu na dawnych warunkach - odparła w końcu Clemency. - Naturalnie nie chcę być do końca życia guwernantką, jednak doświadczyłam niezależności i chyba nie potrafiłabym już się bez tego obejść.

Bessy miała rację, pomyślała pani Stoneham, patrząc z czułością na młodą kuzynkę. Ta przygoda dobrze jej zrobiła. Jest w niej nowa

pewność siebie, w każdym słowie słycać zdecydowanie.

Pani Stoneham byłaby wielce zaniepokojona wiedząc, jaką rolę w tej przemianie odgrywa markiz. Jednak zadowolila się informacją, że pan Baverstock otrzymał należną nauczkę, i nie wnikała głębiej w szczegóły.

- Moja droga, a może napisałaabyś do pana Jamesona, że czujesz się dobrze i jesteś szczęśliwa, mieszkasz zaś za pół darmo u przyzwoitej rodziny. Lepiej negocjować z mocnej pozycji.

- Zapewne mogłabym tak zrobić - westchnęła dziewczyna.

- Nie zabrzmiało to zbyt entuzjastycznie - zauważyła kuzynka.

Clemency westchnęła raz jeszcze. Co ma powiedzieć? Że nie ma już zastrzeżeń do proponowanego związku? Czy można oczekiwać, że markiz przełknie taką zniewagę? Naprawdę wierzy, że ten dumny mężczyzna raz jeszcze uda się na Russell Square?

- Zastanowię się nad tym, kuzynko Anne - odparła po chwili. - W niedzielę będzie więcej czasu na omówienie tych spraw.

Pukanie do drzwi ściągnęło z kuchni Bessy.

- Powóz wielmożnej pani zajechał po panienkę - oznajmiła. - Woźnica zabiera właśnie pusty koszyk. Tyle było w nim rzeczy, nie uwierzy pani! Wiśnie, brzoskwinie, szparagi i Bóg wie co jeszcze!

- Muszę wyjść z tobą i osobiście podziękować lady Helenie - oznajmiła pani Stoneham i wstała.

- Och, nie! - krzyknęła Clemency mimo woli.

- Oczywiście, że powinnam - rzekła stanowczo starsza kuzynka. -
Clemency, gdzie twoje maniery?

Dziewczynie nie wypadało dłużej oponować, a w końcu jej obawy okazały się bezpodstawne. Psy tak ujadły na widok trzeciej kobiety w powozie, że lady Helena ledwie słyszała własne słowa.

Zmieniła się nie tylko Clemency, to samo działo się z Arabellą. Czy to możliwe, że zaledwie tydzień temu, nie myśląc o konsekwencjach, wyruszyła na spotkanie z Joshem Baldockiem? Wydawało się to wręcz nieprawdopodobne. Wydarzenie to jasno uświadomiło Arabelli, że lekkomyślne wyczyny z przeszłości mogły mieć dla niej bardzo przykre skutki. Teraz, gdy Mark Baverstock zaproponował jej potajemną schadzki na wiejskim jarmarku, Arabella poczuła niepokój zamiast radości.

Myślała o tym nieustannie, lecz nie zdradziła się ani przed Dianą, ani przed Clemency. Wiedziała, że obie stanowczo by się sprzeciwiły, a tego właśnie chciała uniknąć. Pragnęła raczej zrozumieć, o co chodzi temu mężczyźnie. Tym razem doskonale zdawała sobie sprawę z niebezpieczeństwa podobnej gry. Gdyby nie zwierzyła się bratu, musiałyby wtajemniczyć w swoje plany kuzynkę lub guwernantkę. Jednak po raz pierwszy w życiu podzieliła się tak ważnym sekretem z Lysandrem. Stał się jej gwarantem na wejście w dorosłość i dopóki miała pewność, że on wszystko wie, nie musiała się tym sekretem

dzielić z nikim innym.

Kiedy w środę po południu Oriana i Clemency wybrały się na przejażdżkę z lady Heleną, a Diana czytała na górze, Arabella przystała na propozycję Marka, by pospacerować po parku. Podobnie jak Lysander, nie posądzała go, że dybie na jej cześć, mimo to z ulgą patrzyła na kołyszący się w oddali biały słomkowy kapelusz lady Fabian. Szacowna dama siedziała pod drzewem cedrowym zajęta haftowaniem.

Mark zachowywał się bez zarzutu. Poprosił swoją towarzyszkę, by wybrała mu różę do butonierki, wydawał się rozbawiony jej opowieściami o dziecięcych wyczynach i traktował ją z należytych respektem - jednym słowem, był bardzo układny. Nie powtórzył już tego błędu, by mówić w jej obecności o pannie Stoneham - nie miał zamiaru wzbudzać podejrzeń - a po kwadransie zagadnął:

- Widzę, że jest pani zbyt żywą istotą, by siedzieć w domowym zaciszu przy robótkach ręcznych!

- Próbowałam wyszywać, gdy byłam mała, nigdy jednak nie udało mi się skończyć tamtego haftu - przyznała Arabella ze śmiechem. - Znalazłam go kilka dni temu w którejś szufladzie. Był cały upstrzony kropkami krwi od nieustannego kłucia się igłą. Och, naprawdę nienawidziłam tego zajęcia!

- Zatem wagarowała pani, prawda?

- Owszem. Uciekałam, kiedy tylko mogłam. Wspinałam się na drzewa

i wiecznie wpadałam do strumyka.

- A co z jarmarkami we wsi? Z pewnością musiała pani tam bywać. Nie pociągały pani stragany z ciastkami imbirowymi i inne atrakcje? Proszę się przyznać!

Oczywiście, że tak było. Przez kilka lat wymykała się tam w ciągu dnia, a w zeszłym roku zaczęła też chodzić na wieczorne zabawy, które okazały się o wiele bardziej hałaśliwe. Mieszkańcy wioski, rzecz jasna, dobrze wiedzieli, kim jest, ale nigdy nie wydali jej przed ciotką.

- Dobry Boże, ależ skąd! - skłamała. - To było absolutnie niemożliwe, choć przyznaję, że zawsze miałam na to ochotę.

Sama nie wiedziała, czemu minęła się z prawdą, wyczuła jednak, iż mądrzej będzie nie zdradzać mu wszystkich tajemnic. Była pewna, że pan Baverstock ukrywa coś w zanadrzu, i nie widziała powodu, dla którego miałyby odkryć przed nim swoje karty.

- Więc pozwoli się pani tam zabrać? Obiecuję, że zaopiekuję się panią, jak należy, i odprowadzę bezpiecznie do domu jeszcze przed północą, zupełnie jak w bajce o Kopciuszku.

Dlaczego mu na tym tak zależy? - zastanawiała się. Nie lubiła się oszukiwać i była daleka od przeceniania swojego uroku. Żaden mężczyzna nie chciałby bez powodu ponosić takiego ryzyka, żeby spędzić parę godzin w jej towarzystwie. Po co w ogóle miałyby robić skrycie coś, co miał na co dzień w Candover Court?

- Nie mogę uwierzyć, że tutejszy jarmark tak bardzo pana pociąga,

panie Baverstock.

- Czemu nie? - zaprotestował. - Jako chłopiec zawsze chodziłem na okoliczne odpusty. Jestem mistrzem w rzucaniu do celu i mogę zagwarantować pani wygraną wielu nagród.

Chyba zdecyduję się na ten wypadek, pomyślała Arabella, a głośno zapytała:

- Jak pan to sobie wyobraża?

- To proste. Chodzi pani spać zwykle o dziewiątej, prawda? - Arabella przytaknęła. - O wpół do dziesiątej będę czekał na panią w tym miejscu, znajduje się z dala od domu i jest dostatecznie zasłonięte. Przyprowadzę mojego wierzchowca i jeśli nie przeszkadza pani jazda na jednym koniu, zajedziemy tam w pół godziny. Co pani na to?

- Wspaniale! I nikt się nie dowie? - pisnęła radośnie, zacierając ręce.

- To będzie nasz mały sekret - obiecał Baverstock.

Udało się! Głupia dziewczyna dała się nabrać. Teraz tylko Oriana musi dobrze grać swoją rolę.

Arabella pozwoliła się odprowadzić na trawnik i z wdziękiem usiadła obok lady Fabian. Mark zamienił z nimi jeszcze parę słów, dyskretnie puścił do dziewczyny oko, po czym odszedł.

Arabella mogła zamienić z bratem ledwie kilka słów i to dopiero następnego dnia. Do tej pory przeżywała prawdziwe katusze. Niecierpliwiła się, nie uważała na lekcjach, nie traktowała też zbyt

przychylnie biednej Diany. W końcu udało się jej dopaść Lysandra po obiedzie.

- Zander! Zaproponował mi! - Pociągnęła go za rękaw.

- O co chodzi, Bello?

- Pan Baverstock - szepnęła dziewczyna. - Umówiliśmy się na wyprawę do wioski w sobotni wieczór.

- Dobry Boże, Arabello, czy ty do reszty zwariowałaś?

- Nic ci nie powiem, jeśli zamierzasz być taki tępy - rzekła i odrzuciła włosy do tyłu. - Nie obchodzi mnie, co o mnie myślisz. Nie lubię pana Baverstocka i chcę wiedzieć, dlaczego się tak zachowuje.

- Przepraszam cię, kotku. - Lysander musnął ją palcem po policzku. - Posłuchaj, jestem dziś zajęty interesami, właśnie idę na spotkanie z Frome'em. Porozmawiamy o tym Jutro koło czwartej. Przyjdź do gabinetu.

- Pojedziesz z pistoletem w ślad za nami? - spytała Arabella z błyskiem w oczach.

Lysander odsunął tę sprawę na bok. Nadal nie dowierzał jej opowieściom, a poza tym miał zbyt wiele pracy, by się przejmować czymś jeszcze. Jednak piątkowe wydarzenia spowodowały, że zmienił zdanie.

Większą część poranka spędził z Frome'em na objeżdżaniu posiadłości; należało porozmawiać z kilkoma najemcami i obejrzeć

kilka chat. W południe poczuł się zmęczony i spragniony. Frome wrócił do swojego biura, on zaś postanowił wpaść do zajazdu „Korona”, by napić się i coś przekąsić.

Oddał konia stajennemu i wszedł do gospody.

Za ladą stał gospodarz i wycierał kufle do piwa.

- Witam, jaśnie panie!

- Jak się masz, Barlow.

- Miło znów pana widzieć, milordzie. Jeśli potrzebuje pan odrobiny spokoju, zapraszam do saloniku na zapleczu. Co mogę panu podać?

- Dziękuję. Chcę tylko napić się piwa i zjeść trochę chleba z serem.

- Oczywiście, milordzie. Proszę tedy.

W saloniku panował spokój i przyjemny chłód. Lysander z przyjemnością usiadł na starej kanapie.

- Jak interesy, Barlow?

- Zatrzymuje się u nas niewiele osób. - Gospodarz westchnął. - Naturalnie przez to, że gospoda jest na uboczu. W zeszłym tygodniu gościł u nas niejaki pan Jameson. Z tego, co zrozumiałem, zamierzał złożyć wizytę pani Stoneham. Zadawał mi wiele pytań. - Nie było osoby, o której Barlow by czegoś nie wiedział. - Ostatnio jakiś młody dżentelmen zarezerwował tu pokój na jutrzejszą noc dla guwernantki swojej siostry - ciągnął, puszczając do markiza oko. - Nazywa się Richmond. Zastanawiałem się, czy to nie pana gość, milordzie.

- Richmond? Nie znam. - Lysander zastanowił się chwilę, po czym

pokręcił głową. - Może zatrzymał się u Maddoxów?

- To prawdopodobne - przytaknął Barlow.

- A ten człowiek, Jameson, czego chciał? - zapytał Lysander od niechcienia. - Jak wiesz, panna Stoneham jest teraz guwernantką lady Arabelli. Mam nadzieję, że nie przywiózł jej kuzynce złych wieści.

- To brzmiało jak opowieść z bajki - zaśmiał się oberżysta na wspomnienie mężczyzny. - Zdaje się, że zaginęła jakaś dziedziczka, i Jameson sądził, że to może być panna Stoneham! Nieprawdopodobne, prawda, milordzie? Bo niby czemu taka bogata panna miałaby zostać guwernantką? Ma się rozumieć, nie mam nic złego na myśli.

- Tak, to mało prawdopodobne - zgodził się markiz.

Nieco później, wyglądając przez okno gospody, Lysander starał się dopasować do siebie kawałki łamigłówek. Jednym z nich był niejaki pan Richmond, który zarezerwował pokój dla guwernantki siostry.

W przeszłości, gdy wypuszczali się z Markiem na miasto, nieraz używali fałszywych nazwisk. Żaden nie chciał być ścigany przez roznamiętnione panny. Poza tym było rzeczą ogólnie przyjętą, że młodzi mężczyźni, zatrzymani przez straż, gdy zabawa stawała się zbyt wesoła, następnego dnia podawali sędziemu obce nazwiska, płacili grzywnę i wychodzili na wolność. Lysander przedstawiał się wtedy jako pan Abbott.

Mark zaś podawał się za Richmonda.

Druga informacja była tak zdumiewająca, że nie mógł w nią uwierzyć.

To po prostu niemożliwe, żeby panna Stoneham okazała się zaginioną spadkobierczynią, dziewczyną, która uciekła, nie chcąc przyjąć jego propozycji.

Nie, to zapewne jakiś nadzwyczajny zbieg okoliczności. Panna Hastings-Whinborough bez wątpienia zbiegła do jakiejś przyjaciółki. Młode damy legitymujące się stutysięcznym posagiem zwykle nie zatrudniają się jako guwernantki za niecałe trzydzieści funtów rocznie. A może tak robią?

Z trudem oderwał myśli od zaginionej panny Hastings-Whinborough i starał się skupić uwagę na Marku. To jasne, że Arabella mówiła prawdę, a motywy Marka do pewnego stopnia stały się bardziej zrozumiałe. Z pewnością nie zechce zabrać Arabelli do „Korony”. Nie tylko znają ją wszyscy we wsi, ale wynikły z tej awantury skandal mógłby go zrujnować. Chociaż Lysander balansuje na krawędzi bankructwa, bez wahania stanie do walki, by bronić honoru siostry. Jest też uznanym strzelcem i choćby dlatego Mark nie zaryzykowałby swojej skóry. Zapewne nie chciałby też zostać zmuszony do opuszczenia kraju.

Nie, Baverstock poluje na całkiem inną zwierzynę, tak jak przypuszczał oberżysta. O kogo innego może mu chodzić, jak nie o pannę Stoneham?

Bez odpowiedzi pozostawało jeszcze jedno dręczące go pytanie: czy Mark realizuje swój plan za wiedzą i przy współudziale dziewczyny?

To właśnie sugerowała Oriana. Nie był skłonny jej wtedy uwierzyć, ale teraz nie miał tej pewności. Po wydarzeniach w ruinach klasztoru panna Stoneham i Mark już od kilku dni traktują się z chłodną obojętnością. Czy to prawda, czy tylko wybieg dla ukrycia prawdziwych uczuć? Czyżby panna Stoneham pragnęła tu przyjechać z jego przyjacielem?

Nagle chleb i ser wydały się mu zupełnie bez smaku.

Mark Baverstock był bardzo zajęty przez cały piątek. Rano pojechał do Abbots Candover i zarezerwował na następną noc pokój dla panny Stoneham. Naturalnie istniało niebezpieczeństwo, że dziewczyna ucieknie do swojej kuzynki, lecz Mark był przekonany, że zdoła temu zapobiec. Zrujnowana i zhańbiona nie zaryzykuje dalszych upokorzeń w oczach szanowanej krewnej. Nie, raczej spędzi noc w „Koronie”, oplakując utraconą niewinność. Nie sądził też, by oponowała, gdy przyjedzie po nią następnego ranka.

Jeśli będzie mądra, szybko nauczy się go zadowalać. Mark miał nadzieję, że do czasu powrotu z Paryża stanie się ślicznym i uległym stworzeniem, jakiego mógłby pożądać każdy mężczyzna.

Wrócił do Candover Court i napisał adresowany do siebie list, pilnie wzywający go do domu. Wymagało to niejakich przemyśleń, bo z pewnością nie chciał podróżować z Oriana, która, jak się domyślał, sprzeciwi się jego planom.

Zdecydował w końcu, że wyraźnie pogorszy się stan zdrowia jego ojca chrzestnego. Ponieważ Mark był znany jako główny beneficjent tego dzentelmena, jego niepokój i chęć bycia przy łóżku chorego nie będą wymagały komentarza.

Zakończył list, zakleił i zaadresował na swoje nazwisko zmienionym charakterem pisma, po czym wezwał służącego.

- Chcę, by dostarczono mi to jutro rano - powiedział.

- Oczywiście, jaśnie panie - odparł kamerdyner beznamiętnym tonem.

Bynajmniej go to nie zaskoczyło. Nie przywykł do mieszkania w takim domu i warunkach, zastanawiał się więc, jak długo pan Baverstock tu wytrzyma.

- Czy mam powiadomić Elizę, jaśnie panie?

- Nie. Panna Baverstock zostaje, przynajmniej jeszcze na jakiś czas.

- Och! - W głowie służącego roilo się od przypuszczeń.

- Dopilnuj tylko spakowania moich rzeczy. Wyjeżdżamy w niedzielę rano.

- Dobrze, proszę pana.

- I na razie nie puszczaj pary z ust.

Mark rzucił mu pół korony i udał się na poszukiwanie siostry. W środę po południu, gdy wróciła z przejażdżki z lady Heleną, była w paskudnym humorze i bardzo niechętna do podejmowania jakichkolwiek kroków. Mark miał nadzieję, że dzień odpoczynku nieco Oriane uspokoi. Gdy spotkał ją w salonie, przynajmniej z początku nie

wydawała się bardziej uległa.

Siedziała przy oknie i wyglądała posepnie na dwór. Z okna rozpościerał się uroczy widok na trawnik i bramę wjazdową, lecz Oriana tego nie widziała. Miała przed oczami jedynie swoje utracone nadzieje i otaczający ją ze wszystkich stron egoizm. Czuła, że stoi na przegranej pozycji, i nawet utarcie nosa pannie Stoneham przy śniadaniu nie poprawiło jej nastroju.

Zwróciła głowę w stronę brata, ale zaraz wróciła do studiowania krajobrazu.

- Co się stało, siostrzyczko? - Mark zbliżył się i usiadł obok. - Nie cieszysz się, że śliczna panna Stoneham zniknie stąd wkrótce?

Oriana wzruszyła ramionami.

- Obiecałaś mi pomóc - przypomniał.

- Dla ciebie wszystko układa się pomyślnie - odcięła się ostro. - Zamierzasz wyjechać ze swoją bogdanką. A co ze mną? Myślisz, że chcę pozostać w tym okropnym miejscu, gdzie wszystko popada w ruinę?

- Sądziłem, że masz chrapkę na Lysandra.

- To się pomyliłeś. On nie ma złamanego grosza. Dowiedziałam się o tym z najpewniejszego źródła: od lady Heleny. Posiadłość ma być sprzedana, nie pozostanie nic.

- Aż tak źle? - zagwizdał Mark. - Biedaczek. Pamiętaj, że od początku coś podejrzewałem. Wiedziałem, że po śmierci Alexandra sprawy nie

wyglądają wesoło, ale przypuszczałem, że uda mu się zgarnąć coś dla siebie. Zatem nie możesz wyjść za niego, siostrzyczko?

- To chyba oczywiste. Dlatego wyjadę razem z tobą.

- Kochanie, nie możesz, przynajmniej do czasu, aż panna Stoneham znajdzie się w bezpiecznym miejscu.

- A czemu nie teraz? Chyba jestem ważniejsza od tego czupiradła?

Marka ogarnął niepokój. To takie typowo kobiece, ryzykować wszystko z powodu kaprysu.

- Posłuchaj, Oriano, zostaniesz tu co najwyżej kilka dni - zaczął łagodnie. - Jeśli mi teraz pomożesz, dopilnuję, abyś dostała nowego wierzchowca, zgoda?

Oriana zastanowiła się. Całą zimę namawiała ojca na kupno konia. Miała już na oku jednego za sto gwinei i nawet tak pobłażliwy ojciec jak sir Richard unikał tego tematu. Ale jeśli w sprawę wtrąci się Mark, wtedy dopnie swego. Mark zwykle osiąga to, co zamierza.

- Obiecujesz?

- Słowo honoru.

- W porządku. Co mam zrobić? - zapytała na koniec.

Tego wieczora podczas kolacji markiz bacznie obserwował towarzystwo. Czy Mark, jego najlepszy przyjaciel - a przynajmniej za takiego go uważał - tak bardzo utracił poczucie honoru, że nie zawaha się uwieść jego pracownicy i okryć hańbą niewinnej dziewczyny?

Lysander powrócił myślami do lat znajomości z Markiem. Wybrankami przyjaciela były zwykle doświadczone kobiety, ale zdarzyło się kilka epizodów, które wprowadziły Lysandra w prawdziwe zakłopotanie. Pamięta jeden z jego podbojów, pewną uczennicę modystki, pannę skromną i niewinną, jeśli takie w ogóle istnieją. Mark, rzecz jasna, nie pozostawił jej bez grosza - był przecież dżentelmenem - lecz dziewczyna była zdruzgotana i gorzko płakała. Nie, Mark nie zachował się wtedy elegancko.

Markiz spojrział znowu na Clemency. Słuchała Gilesa z wyrazem uprzejmego zainteresowania. Młodzieniec opowiadał o tym, jak pewnego razu złowił pstrąga i zaplątał sznurek w pobliskich zaroślach. Lord Fabian również przysłuchiwał się opowieści. Z rozbawieniem na twarzy obserwował nieporadne wysiłki syna, który usiłował pokazać pannie Stoneham, że jest światowcem.

Ale Lysandra nie obchodziły ryby Gilesa. Jego myśli krążyły wokół panny Stoneham. Czy odgrywa w Candover Court jakąś rolę? Przecież nie może być córką jakiegoś odpychającego parweniusza! Prawda, że podobnie jak pani Hastings-Whinborough ma jasne włosy, lecz loki tamtej matrony zawdzięczają swoją barwę kosmetykom, panny Stoneham zaś, czego był pewien, mają kolor naturalny.

Pozostaje jeszcze owo uporczywe, niepokojące wrażenie, że już ją gdzieś spotkał. Ale Lysander wyczuwał, że nie ma to nic wspólnego z domem na Russell Square. Pamięć potrafi być bardzo zwodnicza,

jednak bez wątpienia zetknęli się gdzieś pod gołym niebem. Podczas wspólnego spaceru nad strumykiem upewnił się, że i panna Stoneham zapamiętała ich spotkanie. Czy chciała powiedzieć mu o tym, zanim Arabella tak niefortunnie im przerwała?

Nie, zdecydował, panna Stoneham nie może być panną Hastings-Whinborough. Jeśliby tak było, to Jameson niechybnie by to odkrył. Ale czy to nie dziwne, że spadkobierczyni Hastingsów okazuje się krewną pani Stoneham? Może ona i panna Stoneham są kuzynkami, co tłumaczyłoby podobny kolor włosów. W każdym razie panna Stoneham ma wygląd i maniery damy. Lysander, jak określała to ciotka, był przewrażliwiony na punkcie tak zwanych „pączkujących klas”, czyli wszelkiej maści nuworyszy. Z pewnością na milę rozpoznałby taką osobę.

Jednego był pewien - jakiegokolwiek jest pochodzenie panny Stoneham, z pewnością nie wywodzi się z plebsu.

Jego wzrok spoczął w końcu na Orianie. Od czasu wyprawy z ciotką zachowywała się inaczej. Nawet spytał lady Helenę, co między nimi zaszło, że panna aż tak się zmieniła, ale ciotka tylko roześmiała mu się w nos i rzekła:

- Odbiliśmy przyjemną przejażdżkę, Lysandrze. - Zaraz też zmieniła temat: - Nie siadaj tam, bo przygnieciesz mojego szczeniaka.

Oriana była zdecydowanie nie w humorze. Zazwyczaj wieczór mijał im na przyjemnych rozmowach, ale nie tym razem. Albo wyglądała

znudzona przez okno, albo rzucała zgryźliwe uwagi pod adresem panny Stoneham. Parę dni temu markizowi wydało się, że zaprzyjaźniły się z Adelą, ale to już chyba minęło.

Lysander pomyślał, że zachowanie Oriany jest co najmniej nie na miejscu. Rzadko zwracała uwagę na Dianę i Gilesa, była nadmiernie opiekuńcza w stosunku do Arabelli, gdy sobie o niej przypomniała, a niegrzeczna w stosunku do panny Stoneham. Jedynymi, wobec których zachowywała się bez zarzutu, pozostali państwo Fabianowie oraz lady Helena.

Oto prawdziwa dama, pomyślał Lysander, obserwując Clemency, jak z taktem włącza Dianę do rozmowy, uśmiecha się uprzejmie do wszystkich i każdemu poświęca uwagę. Zastanawiał się, dlaczego nie uderzyło go to przedtem.

Od czasu ostatniej rozmowy z kuzynką Anne Clemency spędzała kolejne wieczory, zastanawiając się usilnie, co zrobić w związku z ogłoszeniem pana Jamesona.

Naturalnie, kuzynka Anne zachęcała ją, by jak najszybciej dała mu odpowiedź. Niestety, dziewczyna nie miała pewności, jak dalece kuzynka okaże się wobec niej lojalna. Czy nie będzie uważała za stosowne sama zareagować, jeśli Clemency tego nie zrobi? Od ucieczki z domu sprawy tak bardzo się skomplikowały, że sama już nie wiedziała, czego właściwie chce.

Po pierwsze, martwił ją markiz. W istocie, początkowo uciekła od niego. Teraz oddałaby wszystko, żeby to cofnąć. Kochała go, poza tym lubiła i szanowała lady Helenę i bardzo spodobała się jej Arabella. Była pewna, że czułaby się dobrze w Candover Court. Mogła tu zrobić mnóstwo rzeczy. Wiedziała, że poradziłaby sobie i że ta praca sprawiłaby jej wiele radości.

Ale jeśli ma zostać panią Candover Court, markiz musi dowiedzieć się prawdy. Czy będzie w stanie powiedzieć mu o tym? Nie można tego odwlekać. Posiadłość zostanie sprzedana najdalej za kilka miesięcy. Nie ma sensu liczyć na to, że czas złagodzi gniew markiza, bo wtedy może już być za późno.

Nie bez racji poczuje się oszukany. Clemency wzdrygnęła się. Nie chciała nikogo zwodzić, lecz dziwnym trafem jedno prowadziło do drugiego. Jeśli nawet ją poślubi, będzie musiała uznać, że dla niego to małżeństwo z rozsądku. Brunetki o obfitych kształtach - oto co go naprawdę interesuje. Czy zdoła żyć z mężczyzną, który jej nie kocha, nawet jeśli stanie się bardziej uprzejmy niż na początku? Clemency podejrzewała, że byłby to szczególnie rodzaj tortur.

A może, pomyślała z nadzieją, w końcu ją pokocha albo przynajmniej polubi, jeśli puści w niepamięć okoliczności zawarcia ich małżeństwa?

Usiadła na brzegu łóżka i ostrożnie wyrwała kartkę z jednego z zeszytów Arabelli. Znalazła ołówek i po kilku próbach udało się jej skreślić kilka zdań.

Jameson. Skrytka 240.

*Panna C. H.-W. przebywa w rodzinie bardzo szanowanej. napisała. Oczywiście, to nieprawda. Lady Helena jest ekscentryczką, poszanowanie zaś markiza było mocno wątpliwe. Zamierza tam pozostać, chyba że będzie magła sama decydować o swojej przyszłości. Czy to aby nie za mocne słowa? Jest w końcu niepełnoletnia. Może powinna to nieco złagodzić, szczególnie jeśli chce, żeby Jameson renegocjował jej związek? A jakby tak napisać: *Pragnie, by jej przyszłość stała się sprawą obopólnego porozumienia.* Tak, to brzmi lepiej. Jak tu zakończyć? Może: *Pełne szacunku pozdrowienia dla wszystkich.* Jameson zrozumie, że ma na myśli matkę. Na koniec numer skrytki.*

Z drobnymi poprawkami przepisała na czysto notatkę i zadowolona, przyjrzała się swemu dziełu.

Jameson. Skrytka 240.

Panna C. H.-W. przebywa bezpiecznie w szanowanej rodzinie.

Pragnie, by jej przyszłość stała się sprawą obopólnego porozumienia. Pełne szacunku pozdrowienia dla wszystkich. Skrytka numer...

Tak będzie dobrze. Nieświadoma, że jeden z gości markiza wiąże z jej osobą zupełnie inne plany, zdecydowała, że po niedzielnej mszy

zanieście tę wiadomość kuzynce Anne i poczeka na odpowiedź.

8

Kiedy sobotnim rankiem Clemency schodziła na śniadanie, usłyszała, jak Mark mówi pozostałym gościom o skróceniu swojego pobytu w Candover Court.

- Chodzi o mojego ojca chrzestnego - wyjaśnił, pokazując list. - Biedak, jest bardzo chory. To stary żołnierz, nigdy nie doszedł do siebie po postrzale w ramię, jaki otrzymał pod Badajoz.

Rozległy się słowa ogólnego współczucia. Clemency wyczuła, że obecnym bardziej chodzi o majora Armstronga, niż o wyjazd pana Baverstocka. Sama doznała ogromnej ulgi. Aż do tej pory nie zdawała sobie sprawy, jak bardzo gnębi ją obecność tego człowieka.

- Mam nadzieję, że pani nas nie opuści, panno Baverstock - rzekła uprzejmie lady Fabian, choć prywatnie pomyślała, że wcale nie żałowałyby tej straty.

Lysander mówił niewiele. Kiedy Mark oznajmił mu o konieczności wyjazdu, posłał przyjacielowi szybkie, pełne sceptycyzmu spojrzenie, po czym zajął się znowu gotowanym ryżem z dodatkiem ryby i jajka na twardo. Przewidywał, że Mark wcześniej czy później wymyśli zgrabną wymówkę, zastanawiał się tylko jaką. Ponieważ sprawa nie mogła dotyczyć Oriany, pomyślał więc, że Mark spisał się nieźle.

- Nie zamierza pan chyba podróżować w niedzielę, panie Baverstock! - oburzyła się Adela.

- Niestety, panno Fabian, nie mam wyboru - odparł Mark, spuszczać wzrok. - Dzień święty został, tak jak pozostałe, stworzony dla człowieka, a sumienie nie pozwoliłoby mi w tak ciężkich chwilach być z dala od ojca chrzestnego - dodał z szacunkiem.

Co za hipokryzja, pomyślała Clemency.

Rozmowa zeszła na sprawy zaplanowane na dalszą część dnia. Lady Helena oznajmiła, że po południu zamierza się pokazać na wiejskim jarmarku i z chęcią zabierze ze sobą każdego, kto zechce jej towarzyszyć.

- Nie zabawię tam długo - dokończyła. - Mario, interesuje cię to? - Milordzie? - Państwo Fabianowie zgodnie oświadczyli, że są do jej dyspozycji. - A ty, Adelo?

- Nie pociągają mnie takie imprezy, kuzynko Heleno - odparła Adela.

- Jestem pewien, że Diana będzie miała ochotę, prawda, moja droga? - zapytał markiz. Zmienił zdanie na temat młodszej kuzynki; pod płaszczykiem nieśmiałości i nieporadności kryła się miła, ciekawa świata duszyczka.

Dziewczyna kiwnęła głową i z błyskiem w oczach zerknęła na Arabelle. Ta zaś spojrzała pytająco na brata.

- Podwiozę dziewczęta moją dwukółką, jeśli nie będzie przeszkadzała im ciasnota. Oriano, a co z tobą? Pojedziesz z cicią Heleną?

Oriana stłumiła ziewnięcie i odparła, że raczej nie. Jej zdaniem markizowi nie należało się nawet minimum grzeczności, skoro

postanowił tak samolubnie sprzedać ojcowiznę.

- Nie uważam za rozrywkę pokazów błaznów - oznajmiła wyniośle. -
Zostanę z panną Fabian.

- Giles, a co ty o tym sądzisz? - spytała lady Fabian.

Młodzieniec stanął przed sporym dylematem. Był na tyle młody, że pociągały go wiejskie jarmarki, jednak z drugiej strony chciał pozostać w pobliżu Clemency, a wszystko wskazywało na to, że dziewczyna nie pojedzie.

- Myślę, że powinieneś wybrać się z nami, synu - odezwał się lord Fabian. Ten młodzian już wystarczająco długo naprzykrzał się pannie Stoneham. Dziewczyna bez wątpienia z radością przyjmie chwilę wytchnienia.

Tymczasem Clemency przeprosiła gości i udała się do sali lekcyjnej. Nikt nawet nie zastanawiał się, czy ona zechce pojechać na jarmark, ale to dziecinada z jej strony, że czuje się tym urażona. Przecież jestem guwernantką, powiedziała sobie stanowczo; guwernantek zwykle nie bierze się pod uwagę przy planowaniu przyjęć i zabaw. Gdyby jej o to chodziło, zostałyaby z matką na Russell Square. Będzie niemądra, jeśli pozwoli, by to ją przygnębiało. Ma tyle spraw na głowie, powinna się zająć czymś pożytecznym. W sobotę lekcje się nie odbywały, lecz zamierzała przykleić na tekturki kilka rysunków Arabelli i oprawić je w ramki.

Nie w smak jej było zostać przez pół dnia z panną Fabian i

Baverstockami, ale postanowiła nie wchodzić im w drogę. Dziwiło ją jedno. Nie mogła nie zauważyć, że panna Baverstock zaprzestała pogoni za markizem. Co to ma oznaczać? Czy znudziła się nim - nie, to absurdalny pomysł - a może jest już tak pewna swego, że nie obawia się sprawiać wrażenie obojętnej?

W każdym razie Clemency miała przed sobą kolejne spokojne popołudnie. Mark udał się do Oriany, żeby razem z nią pisać list, który miał pociągnąć Clemency w przepaść.

Oriana okazała gorliwe, niemal perwersyjne, zainteresowanie losem Clemency.

- Co właściwie zamierzasz robić? - pytała z ciekawością.
 - Zgubię Arabelle, gdy tylko zauważę pannę Stoneham, a potem zaciągnę dziewczynę gdzieś w krzaki. Nie przypuszczam, żeby sprawiała kłopoty.
 - To na nic - odparła siostra zdecydowanie. - W zaroślach będzie się roić od zakochanych par, pomyślałeś o tym? Poza tym tutejsi ludzie doskonale wiedzą, kim ona jest.
- Mark wyglądał na zaniepokojonego.
- Nie - ciągnęła Oriana, podekscytowana myślą o rychłym upadku panny Stoneham. - Musisz zabrać ją do „Korony”.
 - Ona tam nie pojedzie, nie bądź naiwna, moja droga.
 - Pojedzie, jeśli uwierzy, że jest tam Arabella.
 - Może masz rację - odparł Mark rozważając to w myślach. Dopnie

swego w komforcie wiejskiej sypialni, co z pewnością sprawi mu większą przyjemność, a być może Hej.

- Oczywiście, że mam! Powiedzmy, że w imieniu Arabelli napiszę do guwernantki liścik, że po skończonych tańcach zabierasz ją na prywatną kolację do „Korony”?

- Genialne, siostrzyczko - zaśmiał się Mark. - Nie będzie można powiedzieć, że zmusiłem ją do przyścia. Przybiegnie do mnie jak na skrzydłach! - Poklepał Oriana po dłoni. - Doprawdy, zasługujesz na tę klacz.

Poprzedniej nocy Oriana zabrała z pokoju lekcyjnego Zeszyt Arabelli i teraz usiadła przy biurku, by skopiować jej charakter pisma.

- Co ty na to? - zapytała brata. - *„Droga panno Stoneham, proszę się nie martwić, że nie ma mnie w domu. Pojechałam na jarmark z panem Baverstockiem”* - a może napisać *„z Markiem”* - To zabrzmiałoby bardziej alarmująco. *„Zjemy razem kolację w «Koronie» - w prywatnym pokoju, więc proszę się nie martwić o moją reputację, a potem Mark odwiezie mnie bezpiecznie do domu. Arabella”*. Coś jeszcze dodać?

- Tak będzie doskonale, siostrzyczko.

Oriana spojrzała na list. Pomyślała, że udało jej się całkiem nieźle podrobić bazgroły Arabelli.

Po spędzeniu przyjemnego popołudnia rozbawione towarzystwo wróciło do Candover Court. Lady Helena obejrzała wszystkie

jarmarkowe atrakcje, wydając pieniądze na niepotrzebne błahostki. Lord i lady Fabianowie również stanęli na wysokości zadania, pozbywając się swoich funduszy, lord Fabian kilkakrotnie nawet brał udział w rzucaniu do celu. Arabella i Diana, otrzymawszy od Fabianów po dwa szylingi, wydały je natychmiast na wizytę u wróżki zwanej Zabiną. Cyganka przepowiedziała im obu bogatych i przystojnych mężów, a chichoczącej Arabelli dodatkowo narodziny bliźniaków. Arabella poszła jeszcze popatrzeć na Josha Baldocka, który brał udział w zawodach we wspinaniu się na wysmarowany łożem słupek. Młodzieniec miał na sobie stare ubranie, pobrudzone już po pierwszym etapie konkurencji. Widząc Arabelle, uśmiechnął się do niej szeroko, ona zaś po chwili wahania pomachała mu ręką.

Lysander również przyglądał się z boku Joshowi. Kiedy po zakończeniu konkursu zawodnicy umyli się przy studni i poszli w stronę stoiska z piwem, kiwnął na chłopca.

Josh, nieco zdenerwowany, podszedł z wolna. Nie zapomniał ich ostatniego spotkania, jednak markiz nie miał zamiaru czynić mu wymówek.

- Czy potrafisz trzymać język za zębami? - zapytał.

Młodzieniec wybałuszył na niego oczy, ale przytaknął skwapliwie.

- Dobrze, w takim razie chcę, żebyś coś dla mnie zrobił.

Josh znowu kiwnął głową, tym razem ostrożnie.

- Lady Arabella zjawi się tu dziś wieczorem z jednym z moich gości.

Chcę, byś ją miał na oku, tak, żeby nic jej się nie stało. Potrafisz to zrobić?

- Jasne - odparł młodzieniec, patrząc w ziemię i przebierając nogami. Przełknął ślinę i dodał: - Zawsze lubiłem Bellę. Jeśli będzie trzeba, dopilnuję, by była bezpieczna. Nie chciał pytać, dlaczego ów dżentelmen nie zamierza jej chronić. Może to jeden z tych londyńskich lalusiów, którzy uciekają w popłochu przy lada okazji?

- Josh, przyjadę tu później, ale nie chcę zwracać na siebie uwagi. Nie podchodź więc do mnie, chyba że cię zawołam. Zrozumiałeś?

- Tak jest, jasnie panie.

- Dobrze. - Lysander sięgnął do kieszeni i dał mu pół korony. - Tylko pamiętaj, nie pij za dużo. Możesz potrzebować jasnego umysłu.

- Dziękuję panu - odparł Josh i schował monetę. - Może pan na mnie polegać, zajmę się Bellą, chciałem powiedzieć lady Arabella - poprawił się zmieszany.

- Wiem o tym. Gdybym myślał inaczej, już w zeszłym tygodniu skreśliłbym ci kark.

Nieświadoma burzy, jaka już wkrótce miała się rozpętać nad jej głową, Clemency spędziła miłe, ciche popołudnie. Sprawdziła kilka prac, choć brakowało jednego z zeszytów Arabelli, przygotowała poniedziałkową lekcję francuskiego i zastanawiała się, czy nie zacząć przerabiać z dziewczętami romantycznej prozy Cowpera. Dianie z pewnością

spodoba się jego tęskna melancholia, nie była jednak pewna reakcji Arabelli.

Usiadła potem do lektury *Prostej opowieści* autorstwa pani Inchbald, starając się zrozumieć rozterki i cierpienia niejkiej panny Milner. Po pewnym czasie zdziwiło ją ogromnie, że główna bohaterka ciągle rzuca się na kolana przed swoim opiekunem i uznała ten zwyczaj za wielce irytujący. Nie mogła powstrzymać się od myśli, że panna, zamiast stawów, winna częściej gimnastykować swój umysł.

Zdegustowana odłożyła książkę i poszła się przebrać do kolacji w suknię z czarnego jedwabiu. Dowiedziała się już, że panny Fabian i Baverstock uważają jej ubiór za zbyt dobrze skrojony, a stanik nadmiernie wycięty, i nie mogła powstrzymać uśmiechu na myśl, co powiedziałyby na widok jej pozostałych strojów - na przykład błękitnej toalety ze stanikiem ozdobionym tiulem. Dziewczyna westchnęła. Udawanie guwernantki ma swój urok, ale czasem tęskniła za odrobiną luksusu.

Rozmowa przy kolacji była ożywiona, a Mark i Oriana nadstawiali ucha, przysłuchując się opowieściom innych. Goście opowiadali, jak dobrze bawili się na jarmarku, i Mark wyraził żal, że go tam nie było. Nic nie szkodzi, może w przyszłym roku? Tylko Arabella pozostała milcząca.

- Arabello, czy coś się stało? - spytała Clemency z troską.

- Jestem trochę znużona - odparła dziewczyna ze słabym uśmiechem. -

Było tak gorąco. - Zerknęła ukradkiem na Marka, który rzucił siostrze triumfalne spojrzenie.

Lady Helena po kolejnym ziewnięciu Arabelli posłała ją w końcu spać. Tylko Diana ubłagała matkę, by pozwoliła jej pozostać jeszcze chwilę.

- Dobrze, kochanie, ale tylko do wpół do dziesiątej. Potem pójdziesz do siebie - zgodziła się lady Fabian.

Tuż po wyjściu Arabelli wstał i Mark. Przeprosił wszystkich, tłumacząc się, że ma dużo do zrobienia przed jutrzejszym wyjazdem, a lady Helena z pewnością go zrozumie. Ukłonił się i opuścił towarzystwo. Lady Helena poczuła się w istocie lekko urażona, będąc zdania, że od tego są wszak służący. Skoro jednak Lysander go nie powstrzymał, a jej samej właściwie nie zależy na Baverstockach, niech i tak będzie; Skinęła jedynie głową i wróciła do rozmowy z lordem Fabianem.

Wszyscy rozeszli się dość wcześnie. Może byli zmęczeni, bowiem, jak przyznała lady Helena, dzień był to wyjątkowo upalny. W każdym razie tuż po wyjściu Diany lady Helena zarządziła podanie herbaty i przed dziesiątą towarzystwo udało się na spoczynek.

Clemency zaszła jeszcze na chwilę do pokoju lekcyjnego, by spojrzeć na zielnik, podniosła świeczki, które zostawiła dla niej na schodach pani Marlow, zapaliła jedną od kaganka płonącego na ścianie i pośpieszyła na górę do swojej sypialni.

Z przyjemnością wchodziła do tego małego pokoiku. Przestało ją razić

panujące tu ubóstwo i cieszyła się z otaczającej ją ciszy i spokoju - bardzo sobie ceniła tę odrobinę prywatności. Właśnie wypadła pełnia księżycy i przez okno sączyły się blade promienie, wypełniając pokój chłodną poświatą. Księżyc oświetlał stojącą na stoliku miniaturkę z podobizną ojca, a także mały biały trójkąt na kapie łóżka. Zdziwiona Clemency odłożyła świeczkę i podniosła papier.

To, co przeczytała, okazało się tak okropne, że litery zatańczyły jej przed oczyma. Musiała podejść do światła i mocno trzymać kartkę, by skończyć odczytywać wiadomość.

Arabella pojechała z Markiem Baverstockiem na jarmark! Jak mogła być aż tak nierozsądna i pozbawiona poczucia przyzwoitości! W dodatku wybierała się z nim na kolację do „Korony”. Na chwilę zrobiło się jej słabo z przerażenia. Taki wypadek do cna zrujnuje reputację dziewczyny - trzeba ją powstrzymać!

Opadła na łóżko, usilnie starając się wymyślić, co począć. Od razu odrzuciła myśl o powiadomieniu ciotki; to najkrótsza droga ku hańbie, tego była pewna. Nie może też zdradzić się z tym przed markizem. Jest kochającym bratem, ale po pamiętnej awanturze z Joshem Baldockiem Clemency obawiała się, że Lysander nie pohamuje gniewu i jeszcze bardziej upokorzy Arbellę. Nie wspominając już o tym, jak niezręczna dla niej samej byłaby ich konfrontacja...

Musi wziąć sprawy w swoje ręce. Po pierwsze sprawdzi, czy Arbelli rzeczywiście nie ma w pokoju, a potem spróbuje znaleźć dziewczynę,

zanim ta dotrze do „Korony”. Gdyby doszło do najgorszego, zabierze ich oboje do pani Stoneham, jednak miała szczerą nadzieję, że nie okaże się to konieczne. Zdawała sobie sprawę, że kuzynka nie pochwala jej gierk i niebezpieczeństw, na jakie naraża się w Candover Court. Clemency wołała nie robić nic, co mogłoby sprawić, że pani Stoneham napisze do Jamesona i powiadomi go o miejscu jej pobytu.

Szarpnęła z przejęciem guziki sukni. To nie jest okazja na eleganckie czarne jedwabie. Powinna włożyć coś starego, najlepiej sukienkę, w której była na grzybobraniu, oraz solidne buty. Znalazła też podniszczony szary płaszcz. Wyjęła z włosów grzebienie i za pomocą czarnej aksamitki zgrabnie związała je w koński ogon.

Dziesięć minut później opuściła pokój i na palcach poszła do sypialni Arabelli. Nie zastała tam nikogo.

Zdecydowała się wymknąć tylnymi drzwiami. Wiedziała, gdzie Timson zostawia klucze. Gdy schodziła do hallu, każde skrzypnięcie drewnianych schodów wydawało się jej nienaturalnie głośne. Nie zauważyła, jak na końcu korytarza powoli zamknęły się drzwi. Oriana z uśmiechem zadowolenia obserwowała jej wyjście. To już koniec panny „nietykalskiej”, pomyślała, dobrze jej tak!

Podczas, gdy Clemency skradała się na dół, Arabella i Mark zajechali na jarmark. Pan Baverstock oddał konia stajennemu z „Korony”, następnie wręczył swej towarzyszce maskę, włożył swoją i razem

skierowali się w stronę błoni.

Za dnia to miejsce roilo się od ludzi, było wypełnione śmiechem i gwarem rozmów i przynajmniej wydawało się przyzwoite. Wieczorem sytuacja się zmieniła. Plac, gdzie po południu niezliczone tłumy oglądały zawody dla dzieci i konkurs wspinania na słup, stał teraz nieco opustoszały, tylko pośrodku płąsali ze śmiechem amatorzy nocnych tańców. Z zarośli dochodziły piski i szamotanina licznych par. Obdarty skrzypek w postrzępionym kubraku z trójkątnym kapeluszem na głowie grał z zapalem skoczne melodie. Na beczce obok niego stał kufel piwa. Wiszące na drzewach stare rogowe pochodnie rzucały na trawę nierówne cienie, sprawiając wrażenie, że oto wśród tańczących zjawił się sam diabeł i udając grajka przygrywa im do tańca.

W namiocie, gdzie podawano piwo, kręciło się mnóstwo hałaśliwych, podchmielonych typków, którym niewiele brakowało, by spili się do nieprzytomności. Mark i Arabella nie byli jedynymi postaciami w maskach. Całe rzesze młodych, rozdokazywanych paniczów przyjechały z pobliskiego miasta w poszukiwaniu usłużnych wiejskich dziewcząt. Tu i ówdzie rozlegały się okrzyki i chichoty, gdy błędzące męskie dłonie Gęgały głębiej za bluzki i pod sukienki. Z łatwością można by więc zrozumieć lady Helenę, że uważała to miejsce za najmniej odpowiednie dla swojej bratanicy.

Mark zerknął na zegar na ratuszu - właśnie minęła dziesiąta. Jeszcze ze trzy kwadransy postara się zabawiać Arabelle, a potem uda się do

„Korony”, by oczekiwać słodkiej panny Stoneham. Oriana miała rację, to zdecydowanie lepszy plan - dziewczyna nie zechce być widziana wśród tego motłochu.

Josh, który stał koło namiotu, widział z tego miejsca wszystkich przybywających i od razu dostrzegł Arabelle. W porządku, pomyślał, skoro dziewczyna już tu jest, on może sobie pozwolić na jeden kufelek. Pochylił głowę i wszedł do namiotu.

Arabella rozglądała się dokoła szeroko otwartymi oczami. Kiedy przybyła tu w zeszłym roku, nie zauważyła niczego niepokojącego. Ale wtedy siedzieli z Joshem na kupie siana i trzymali się za ręce. Pamięta, że wróciła do domu przed jedenastą, więc może ominęły ją dalsze atrakcje. Chwyciła za rękę Marka. Chociaż wiedziała, że Lysander przyjedzie tu tak szybko, jak tylko zdoła, nie czuła się pewnie.

- Proszę się nie martwić. - Towarzysz poklepał ją po dłoni. - Przy mnie nic pani nie grozi. Chodźmy popatrzeć na tańce, przyłączy się pani?

Tańczących otaczał wianuszek starszych mieszkańców wioski, którzy śmiali się i rozmawiali z ożywieniem. Arabella rozpoznała kilka twarzy i nagle poczuła się bezpieczniej.

- Tak, zatańczmy - odparła.

- Więc chodźmy. - Mark pomógł jej zdjąć płaszcz i położył go na pniu drzewa, po czym wyciągnął do niej rękę.

Kuchni w Candover Court nie modernizowano od czasu, kiedy

powstała. Wiek temu ktoś dobudował tylko ruchomy ruszt w palenisku, ale wciąż wisiała nad nim stara metalowa konstrukcja do zawieszania kotłów i garnków, zaś rożen, i taca do zbierania tłuszczu nadal znajdowały się w tym samym miejscu co przed dwustu laty. Kiedy Clemency skradała się ze świeczką, osłaniając dłonią płomień, widziała przed sobą jedynie żarzące się węgle w palenisku. Nie dostrzegła stojącej obok, zastygłej w bezruchu ciemnej postaci. Podniosła świeczkę i przebiegła ręką po framudze w poszukiwaniu klucza. Dzięki Bogu! Włożyła po cichu klucz do zamka i miała go właśnie przekręcić, gdy ktoś chwycił ją za ramię. Clemency wydała okrzyk przerażenia, lecz natychmiast druga ręka mężczyzny zasłoniła jej usta. W panice upuściła świeczkę i pomieszczenie pograżyło się w ciemnościach.

- A dokąd to się pani wybiera?

- Och, milordzie! - Clemency zdała sobie sprawę, że jej serce wali jak oszalałe.

- No więc? - Lysander schylił się, puszczając Clemency, podniósł świecę i ponownie ją zapalił. Wyglądał wyjątkowo groźnie. Ciemne oczy patrzyły srogo, a zaciśnięte usta przypominały cienką kreskę. Chwycił ją za rękę i przyciągnął do siebie, przystawiając świeczkę do jej twarzy. - Czy przypadkiem nie na spotkanie z pewnym dżentelmenem?

- Co... co ma pan na myśli?

- Mnie pani nie oszuka. Panna Baverstock ostrzegła mnie, że ostrzy pani sobie zęby na jej brata. Mark, planując dziś rano wcześniejszy wyjazd z Candover Court, z pewnością przekonał śliczną pannę Stoneham, że będzie jej lepiej pod jego opieką. Co takiego pani obiecał? Paryż? Łożę w operze?

Clemency słuchała jego przemowy z niedowierzaniem, lecz nagle gniew wziął górę nad wszystkim.

- Czy pan naprawdę myśli, że uciekłabym z tym... z taką kreaturą? - wrzasnęła. - Pan chyba postradał zmysły.

- Cicho!

- Nic na świecie nie skłoniłoby mnie nawet do rozmowy z nim, chyba że zostałabym do tego zmuszona. W moich oczach zasługuje jedynie na pogardę!

Lysander odstawił świeczkę na stół i splatając ręce na piersiach, oparł się o ścianę.

- Co to ma znaczyć? Przemawia przez panią złość.

Blada z przejęcia i wściekłości Clemency sięgnęła do kieszeni płaszcza i podała mu list Arabelli.

- Proszę to przeczytać, milordzie - rzekła. - Zobaczy pan, że usiłuję tylko zapobiec zhańbieniu pańskiej siostry.

Markiz zmarszczył brwi, wziął kartkę i przebiegł po niej wzrokiem. Arabella tego nie napisała, tego był pewien, więc kto to zrobił? To dość niezręczna podróbka. Jeśli chodzi o pannę Stoneham, miał dość

mieszane uczucia. Nie potrafił ukryć olbrzymiej ulgi, jaką poczuł, słysząc z jej ust oskarżenia pod adresem Marka. Z drugiej strony dręczyła go myśl, że mimo to może udawać.

- A więc wszystko staje się jasne - powiedział z wolna.

- Tylko dla pana, milordzie - odparła ostro dziewczyna. - Ja nic z tego nie rozumiem! W każdym razie, stojąc tu, marnujemy czas. - Zerknęła na zegar na ścianie. - Jest już kwadrans po dziesiątej, proszę się pośpieszyć.

- Mark nie skrzywdzi Arabelli - stwierdził Lysander, złożył list i schował go do kieszeni. - To pani go interesuje.

- Ja?!

- Powinienem był się wcześniej domyślić, przynajmniej to jest oczywiste - odparł ponuro. - Chodźmy, koń czeka na zewnątrz.

- Ale... ja nadal nie rozumiem. - Clemency zadrżała. - Nie wybieram się nigdzie z panem Baverstockiem. Czy pan chce mnie do tego zmusić?

- Głos dziewczyny załamał się.

- Panno Stoneham, proszę użyć swojej inteligencji. Czy wyglądam na stręczyciela? Arabella opowiedziała mi o tej eskapadzie już kilka dni temu. Mark zarezerwował pokój w „Koronie” i zamierza tam zhańbić panią, a nie Arabellę. Moim zdaniem zgubi ją wkrótce gdzieś w tłoku i pośpieszy do zajazdu, by zdążyć na spotkanie z panią. Chyba zamierzała pani jechać na ratunek swojej podopiecznej?

- Chce pan zrobić ze mnie żywą przynętę? - Clemency wciągnęła w

płuca powietrze. - Lordzie Storrington, może jestem guwernantką, osobą niższego niż pan stanu, ale muszę dbać o swoją reputację, nawet jeśli pan sądzi inaczej. Jeżeli panna Arabella o niczym nie wie, nie widzę powodu, dlaczego powinnam ryzykować swoje dobre imię i narażać się na napaść pana bezwzględного przyjaciela.

- Niczym pani nie ryzykuje - odparł markiz. - Obiecuję, zapobiegnę wszystkiemu zawczasu. A teraz chodźmy. Pomoże mi pani dopilnować, żeby nic się nie stało Arabelli. Czy nie o to pani właśnie chodziło?

- Jeśli pan jedzie, milordzie, nie rozumiem mojej w tym roli.

- Proszę posłuchać, ktoś musi zająć się Markiem. Sądzi pani, że pozwoliłbym, żeby zabrał moją siostrę w zakazane miejsce czy zrujnował dobre imię kobiety powierzonej mojej opiece? Muszę dotrzeć do sedna tej sprawy. Sądziłem, że Mark jest moim przyjacielem. Uważa pani, że to dla mnie przyjemne?

Po głowie Lysandra kołatała się uporczywa myśl, czy aby w tę aferę nie jest zamieszana Oriana. Możliwe, że to panna Stoneham była na tyle sprytna, że sama napisała list; jeśli jednak mówi prawdę, wtedy należy szukać winnych gdzie indziej. Lysander nie przywykł analizować swoich emocji, a teraz jeszcze jasny osąd przysłała mu dodatkowo zazdrość. Czas płynął, toteż odłożył te rozważania na później.

Otworzył drzwi kuchenne i wyszedł z Clemency przed dom, gdzie już stał osiodłany wierzchowiec. Markiz sprawdził popręg i wskoczył na

konia.

- Będzie pani musiała usiąść za mną. Proszę postawić swoją stopę na mojej i podać mi rękę.

Clemency nie miała wyboru i już po chwili siedziała okrakiem na końskim grzbiecie, z suknią nieprzyzwoicie wciśniętą między nogi, świadoma dotyku ich ciał.

Jazda nocą okazała się dla niej przeżyciem o tyle przerażającym, co radosnym. Jechali przez las Home Wood, omijając drogę, bowiem Lysander nie chciał ryzykować spotkania z Markiem. Ruszył cwałem i Clemency musiała trzymać się go z całej siły, czując jednocześnie przyjemność i strach.

- Wszystko w porządku? - zawołał przez ramię. Nie była pewna, ale słyszała przejęcie w jego głosie.

- Tak, milordzie - odparła bez tchu. Po drodze zgubiła wstążkę i musiała odgarniać z twarzy włosy.

Lysander zwolnił na skraju lasu. Znajdowali się blisko miejsca, gdzie Clemency zbierała grzyby, a zarazem niedaleko błoni. W oddali widzieli jarzące się światła pochodni. Lysander skierował konia w stronę żywopłotu i stanął.

- Tu się zatrzymamy. Przywiążę Truskawkę do drzewa, nie sądzę, by ktokolwiek ją zauważył. - Zeskoczył z konia i wyciągnął do niej rękę.

Clemency bez namysłu zeskoczyła i przez chwilę markiz trzymał ją w objęciach. Poczowała bicie jego serca i mocny uścisk ramion. Puścił ją

nagle, jakby nic się nie stało. A może w istocie nic nie zaszło?

Trzęsącymi się rękoma Clemency poprawiła włosy, Lysander zaś rozluźnił popręg klaczy i ruszył w drogę.

- Tędy - rzucił krótko.

Clemency podążała za nim w milczeniu. Gdy zbliżyli się do wioski, dostrzegli plac wypełniony tancerzami. Kilkaset rozbawionych osób tańczyło, śpiewało i popijało rozmaite trunki.

- Jak ich odnajdziemy? - zapytała.

- Już prawie za kwadrans jedenasta - rzekł Lysander zerkając na zegar na ratuszu. - Mark pewnie wybiera się właśnie do „Korony”, jeśli już go tam nie ma.

Przeszli wzdłuż żywopłotu i znaleźli się na tyłach jednego ze straganów.

- Poprosiłem Josha Baldocka, by miał oko na Arabelle - wyjaśnił. - Możemy go potrzebować, mam tylko nadzieję, że nie spił się za bardzo.

- Ła... ładniutka... takie właśnie lubię - wybełkotał jeden z przyjezdnych elegantów, patrząc Clemency w twarz i obejmując ją ręką.

Lysander powalił go na ziemię jednym mocnym ciosem. Potem przeniósł wzrok na dziewczynę. Kaptur zsunął się z jej głowy i rozpuszczone włosy zaśniły w promieniach księżyca niczym wypolerowane złoto. W oczach mężczyzny błysnęło nagle wspomnienie, ale już po chwili opanował się i rozkazał ze złością w

głosie:

- Na litość boską, proszę włożyć kaptur. Nie chcę tu dodatkowych kłopotów.

Clemency poprawiała płaszcz drżącymi palcami.

- Proszę dać mi rękę.

- To nie przystoi, milordzie - szepnęła.

- Nie przystoi? Dobry Boże, dziewczyno, tu wszystko jest nieprzyzwoite! - Bez dalszych nalegań chwycił ją za rękę. - Jeśli nie chce pani być nagabywana przez tych kmiotków, proszę podporządkować się moim zaleceniom. To wszystko pani wina.

- Ależ... dlaczego, milordzie?

- Ponieważ jest pani tak niezwykle piękna.

Clemency nie znalazła słów, by odpowiedzieć.

Nie minęło wiele czasu, a Arabella odzyskała pewność siebie i zapomniała o obawach. Zawsze przepadała za tańcami, a Mark był miły i zachowywał się poprawnie. Zauważyła też, że wpadła w oko kilku innym mężczyznom, i z takim zapałem oddała się zabawie, że do reszty straciła poczucie czasu.

Jednak nawet ją musiało dopaść zmęczenie i po pół godzinie skocznych płaśów zaczęła błagać Marka o krótką przerwę.

- Bawię się wspaniale! - krzyknęła. - Ale złapała mnie kolka i nie mogę się ruszać.

- Napije się pani czegoś? - spytał Mark, zerkając na zegar. Poprowadził ją w kierunku bel siana, które służyły za ławki, i znalazł jej miejsce obok dwu postawnych pań.

- Och, tak!

- Zauważyłem, że niektóre z panien piją lemoniadę. Jeśli pani chwilę tu poczeka, mógłbym ją przynieść.

- Tak, z wielką chęcią, panie Baverstock. Wróci pan zaraz?

- Oczywiście, będę z powrotem jak najszybciej - obiecał i zniknął w tłumie koło namiotu z piwem.

Po kwadransie Arabella poczuła lekki niepokój. Siedzące obok niej kobiety już odeszły i wydało się jej, że jest Wystawiona na ostrzał ludzkich spojrzeń. Poza tym miała na sobie tylko cienką, perkalową sukienkę z krótkimi rękawami i zaczęła się trząść z zimna. Dzień był wprawdzie bardzo upalny, lecz teraz zerwał się od wschodu chłodny wiatr. Przypomniała sobie o pozostawionym w pobliżu płaszczu, ale gdzie go szukać? Rozejrzała się dokoła i z ulgą dostrzegła wciśnięte koło starego dębu zawiniątko. Rzuciwszy okiem na namiot z piwem, podbiegła do drzewa.

Wprawdzie znalazła tam płaszcz, ale ubrania Marka już nie było. Nagle zdała sobie sprawę z całej kłopotliwości swojego położenia. Baverstock ją porzucił, nie miała co do tego najmniejszych wątpliwości. Co począć? Jest tu naturalnie wiele osób z wioski, które znała z widzenia, ale wzbraniała się przed zwróceniem się do nich o pomoc.

Wiadomość rozniesie się lotem błyskawicy i prędzej czy później dowie się o tym ciotka Helena - tak jak zwykle bywało przy jej niefortunnych eskapadach. Tym razem z całego serca pragnęła tego umknąć. Lysander obiecał, że przyjedzie, ale gdzie on jest?

Włożyła płaszcz i nasunęła na twarz kaptur. Nagle ujrzała brata. Stał w cieniu na skraju placu i rozmawiał z jakąś dziewczyną. Co więcej, obejmował ją ramieniem. Arabella wstała i podeszła w ich stronę. Już ona mu wygarnie, co o tym myśli! Miał opiekować się siostrą, a zamiast tego zadaje się z jakąś wiejską dziewczką! W tej samej chwili dziewczyna odwróciła się i Arabella dostrzegła twarz i kosmyk jasnych włosów.

Podbiegła do nich, zapominając o całym świecie.

- Clemency! - krzyknęła i objęła ją serdecznie. Teraz już wszystko będzie dobrze.

Lysander zanotował w pamięci to imię, lecz powstrzymał się od komentarza. Clemency jakiś czas pocieszała i głaskała Arabellę, starając się jednocześnie opanować własne chaotyczne uczucia. Chociaż stała przy markizie tylko chwilę, doskonale zdawała sobie sprawę z jego fizycznej bliskości, a z drżenia jego głosu wywnioskowała, że to odczucie jest wzajemne. Arabella, która z przejęcia i zimna dostała czkawki, podniosła głowę z ramienia Clemency i poskarżyła się cicho:

- Zostawił mnie przeszło piętnaście minut temu. Panno Stoneham, nie rozumiem, dlaczego pani się tu zjawiała?

Lysander sięgnął do kieszeni i wręczył siostrze kartkę, teraz już

całkiem pogniecioną.

- Ależ ja tego nie napisałam! - wykrztusiła Arabella. Przyjrzała się dokładniej skreślonym słowom i dodała: - Chyba wiem, kto to zrobił.

- Tak? - podchwycił Lysander. Spojrzał na Clemency, która przysłuchiwała się zaskoczona.

- Panna Baverstock - rzekła szybko Arabella. - Proszę spojrzeć, panno Stoneham, nie pamięta pani? Miałyśmy tylko kilka kartek tej ładnej papeterii. Położyłam kilka w pokoju kuzynki Marii, resztę zaś w pokoju panny Baverstock.

Clemency nic nie odpowiedziała. Z początku poczuła ulgę, lecz potem zadała sobie w duchu pytanie, czy markiz kocha pannę Baverstock i jak zniesie tę wiadomość?

- Czy to prawda, panno Stoneham?

- Tak, milordzie.

- Cóż, nie podejrzewam kuzynki Marii o tak niecny postępek - zaśmiał się. - Ale też nie myślałem... - urwał, a potem wzrokiem przebiegł po tłumie i machnął ręką. Ku zdziwieniu Arabelli podszedł do nich Josh Baldock. Lysander popatrzył na niego. Jest trzeźwy, ocenił.

- Jak tu przyjechałeś? - zapytał.

- Kolaską. Ojciec mi pożyczył, milordzie.

- Chcę, abyś odwiózł lady Arabelle do domu. Ale pamiętaj, nie podjeżdżaj pod dom, wysadź ją przy bramie, rozumiesz?

- Tak jest, proszę pana.

- Ależ, Zander...

- Posłuchaj, Bello. Przyszła pora rozliczyć się z Markiem, a ty będziesz tylko nam przeszkadzać. Chcę mieć pewność, że bezpiecznie dotrzesz do domu. Wejdź przez kuchnię, drzwi są otwarte. Panna Stoneham i ja niedługo przyjedziemy.

- Co... co zamierzacie zrobić? Pannie Stoneham nie stanie się chyba krzywda?

- To nie panna Stoneham ucierpi - odparł z zawziętą miną Lysander. - Idź już, Bello, nie mamy zbyt wiele czasu. Josh, zabierz ją stąd.

- Mam nadzieję, że rano dowiem się wszystkiego, pamiętajcie.

- Oczywiście. Chodźmy, panno Stoneham.

Mark wkroczył do wygodnego apartamentu w „Koronie” już dziesięć minut po tym, jak zostawił na placu Arabelle. Spodobał mu się wystrój - królujące pośrodku masywne łóżko z baldachimem i zdobiące sufit ciemne dębowe belki. Z przyjemnością zauważył też, że z okna widać wjazd do gospody, będzie więc miał ułatwioną obserwację. Już niedługo, pomyślał. Gospodyni, upewniwszy się, że niczego mu nie potrzeba, ukłoniła się sztywno i wyszła. Ten jegomość ma nieciekawe plany, pomyślała. Gdyby mąż nie wspomniał, że markiz wie o wszystkim, powiedziałaaby temu mężczyźnie, żeby poszukał sobie miejsca gdzie indziej. Ich wjazd zawsze był porządny.

Gdy tylko kobieta wyszła, Mark otworzył okno i usiadł na parapecie.

Lepiej być nie mogło, pomyślał. Z jadalni dobiegały hałasy, więc ewentualne krzyki z góry nie zostaną usłyszane. Zresztą kobiety zazwyczaj protestują dla zasady, mówią „nie” mając na myśli „tak”, i nie było wątpliwości, że po chwili dziewczyna ulegnie. Pozwolił sobie wybiec myślami naprzód i z uśmiechem wyobraził sobie ich spotkanie.

W tym czasie Lysander i Clemency dotarli pod zajazd. Nie zajechali główną bramą, ale od razu udali się w stronę stajni.

- Pokój znajduje się od frontu - szepnął markiz. - Wie pani, co robić?

- Chyba tak...

- To dobrze. I proszę się nie martwić, panno Stoneham. Jeśli tylko zachowa się pani tak, jak mówiłem, wszystko potoczy się gładko.

Słowa markiza brzmiały nadzwyczaj kategorycznie i Clemency nie miała odwagi dłużej protestować. Podeszła do bocznych drzwi, a markiz kiwnął na Barlowa.

- Ten dżentelmen znajduje się już na górze, jaśnie panie. Przyjechał dziesięć minut temu - wyjaśnił oberżysta, patrząc na Clemency, która stała w cieniu i starała się jak najbardziej zasłonić kapturem twarz.

- Dobrze. I trzymaj język za zębami - rzekł Lysander. - Mam do wyrównania rachunki z panem Richmondem i nie chcę, żeby mi przeszkadzano.

- Z całym szacunkiem, milordzie, ale nie chcę kłopotów z prawem.

- Nie będziesz ich miał - odparł Lysander krótko. Kiwnął głową na oberżystę i Barlow, mrużąc coś pod nosem, odszedł.

Mark siedział na parapecie i wyglądał przez otwarte okno, kiedy rozległo się niecierpliwe pukanie do drzwi i do pokoju weszła zdenerwowana Clemency.

- Lady Arabella! - zawołała. - Gdzie jest lady Arabella?

- Ach, panna Stoneham! - Mark wyszedł na środek pokoju. - Co za miła niespodzianka.

- Arabella! Gdzie ona jest?

- Pozwoli pani, że wezmę pani płaszcz.

- Panie Baverstock! Przyjechałam tu w konkretnym celu, po pannę Arabelle. Zostawiła mi list... - Clemency brakowało już tchu. - Całą drogę prawie biegłam.

- Nie mam pojęcia, gdzie jest pani podopieczna. Dodam też, że mało mnie to obchodzi.

- Ale napisała, że ma się z panem tutaj spotkać! - krzyknęła Clemency i rozpaczliwie rozejrzała się po pokoju.

Mark szybko podszedł do drzwi i zamknął je na klucz.

- Co... co pan wyprawia?

- Teraz to pani składa mi wizytę, panno Stoneham, i nie chcę, by nam przeszkadzano. Chodź, moja słodka, skończyły się gierki.

- Gierki?... Mój panie! - Clemency zdała sobie nagle sprawę, że omawiać plan z markizem na dole to jedno, a przebywać z tym okropnym człowiekiem w zamkniętym pokoju to coś zupełnie innego.

Jej serce zabiło gwałtownie i spojrzała na niego wielkimi, wypełnionymi strachem oczami. To niemożliwe, by markiz skazał ją na taki los. - Jakie gierki? - zdołała wykrztusić.

- Nie udawaj, wiesz, o czym mówię. I uwierz mi, mógłbym ci umilić czas, śliczna panno Stoneham. Tak urocza istota nie powinna usychać samotnie z tęsknoty i zamęczać się pracą jako guwernantka. Zastanawiam się, dlaczego Lysander tego nie zauważył, ale ostatnio zrobił się z niego straszny ponurak, prawdziwy metodysta.

- Ale Arabella... - przerwała mu Clemency, pamiętając o swojej roli.

- Zapomnijmy o tej nudnej smarkuli. O ile mi wiadomo, jest wciąż na jarmarku. Omyliłaś się, kochaneczko, to Oriana napisała ten list. Sprytne, prawda?

- Panna... Baverstock? - Więc Arabella miała rację! Wiedziała, że ta kobieta jej nie lubi, ale że posunie się do tego, by z premedytacją zaplanować jej upadek... To nie mieściło się w głowie. - Pańska siostra nigdy by nie...

- Złotko, niepotrzebnie weszłaś Orianie w drogę. Po co było kłusować na jej terytorium?

Clemency nie potrafiła powstrzymać rumieńców na twarzy, gdy uderzyło ją znaczenie jego słów.

- Panie Baverstock, ściągnął mnie pan tutaj pod fałszywym pretekstem, a ja muszę szukać Arabelli. Proszę natychmiast otworzyć drzwi - zdołała powiedzieć.

- No, no, moja panno - zaśmiał się. - Trochę mniej obrażonej niewinności, jeśli łaska. - Szybkim ruchem przyciągnął ją do siebie, ucinając jej krzyk brutalnym pocałunkiem. Potem jedną ręką złapał jej pośladki i przytrzymał mocno. Clemency ze wszystkich sił unikała dotyku jego ust. Mężczyzna podniósł w końcu głowę i powiedział jedwabistym głosem, który przeszył ją do szpiku kości: - Panno Stoneham, jeśli nie postara się pani, by mnie zadowolić, będę zmuszony użyć siły.

Nagły ruch przy oknie kazał Markowi odwrócić głowę. Do pokoju wpadł Lysander.

- Ho, ho, za czym tak gonisz, Zander, czyżbyś chciał uszczknąć kawałek mojego tortu? Gdybym wiedział, że interesuje cię ta panienka, zostawiłbym ją w spokoju. Czemu mi o tym nie powiedziałaś? Teraz już za późno, kto pierwszy, ten lepszy. - Bez pardonu złapał dłonią jej pierś i ścisnął.

Clemency z całej siły uderzyła go w twarz. Mark odepchnął ją na bok i w tej samej chwili Lysander rzucił się na niego. Upadając Clemency uderzyła głową o szafkę i przez dobrą chwilę nie mogła się pozbierać. Gdy przyszła do siebie, ujrzała obu mężczyzn szczepionych w walce. Na policzku Marka widniało głębokie zadrapanie, także szczeka Lysandra sprawiała wrażenie opuchniętej. Obaj ciężko dyszeli. Dziewczyna poczuła przerażenie, bo wyglądało na to, że są zdecydowani na wszystko.

Rozejrzała się wokół siebie. Tańczące na ścianach cienie walczących sprawiły, że z początku nic nie widziała. Dopiero po chwili dostrzegła ciężki mosiężny świecznik i wzięła go w obie ręce.

Mark ściągnął nagle kapę z łóżka i zarzucił na twarz markiza, wymierzając mu potężny cios pięścią. Lysander upadł ciężko na ziemię. Mark z triumfalnym uśmiechem pochylił się nad nim, chcąc zadać ostateczny cios, lecz w tym samym momencie dosięgnęło go uderzenie Clemency.

Znieruchomiał, a potem jakby w zwolnionym tempie upadł na podłogę.

Lysander wstał powoli, trzymając się za bolącą szczękę.

- Milordzie, nic panu nie jest? - zapytała z przejęciem Clemency.

- Powiedzmy - odparł smętnie. - Łajdak był w lepszej formie, niż myślałem. - Popatrzył na Marka, który nie dawał znaku życia.

- Chyba go nie zabiłam?

- Ależ skąd, jest tylko ogłuszony. - Lysander badał przez moment jego puls. Następnie wyprostował się i pokuśtykał do biurka. Gdy znalazł pióro i kartkę papieru, skreślił kilka słów, po czym zakleił kopertę. Oparł list o toaletkę i dał znak, że najwyższy czas opuścić to miejsce. Clemency przekręciła klucz i uchyliła drzwi.

- Mam nadzieję, że nie zrobił pan żadnego głupstwa, chyba nie wyzwiał go pan na pojedynek?

- Nie - markiz odparł krótko. - Napisałem, żeby jutro rano spodziewał

się siostry.

- Tak mi przykro, milordzie. Jeśli... była panu bliska.

- Tak, była mi bliska. - Lysander nie powiedział nic więcej i serce dziewczyny zamarło z rozczarowania.

Gdy zeszli na dół, zaniepokojony Barlow wybiegł z baru.

- Milordzie!

- Nic się nie stało, Barlow.

- Jaśnie panie, przyniosę panu brandy. - Zniknął na powrót w barze.

Lysander oparł się zmęczony o ścianę i Clemency popatrzyła na niego z troską. Wkrótce wrócił oberżysta, trzymając w ręku dwa kieliszki. - Śmiem zauważyć, że i pani przydałaby się odrobina.

Clemency zerknęła na Lysandra.

- Proszę wypić - kiwnął głową. - To mały kieliszek, a mamy przed sobą jeszcze kawał drogi.

Rozsądek podpowiedział im, by nie iść przez wioskę, wybrali więc drogę przez pola. Lysander początkowo nie okazywał żadnych objawów słabości, ale po chwili zwolnił kroku.

- Niech pan lepiej wesprze się na mnie, milordzie - rzekła dziewczyna. Poczwała się nagle niebywale lekko i radośnie. Może był to skutek wypitego alkoholu, a może przebywanie sam na sam w świetle księżycy z człowiekiem, którego kochała. Lecz kiedy objął ją ramieniem, a ona objęła go w pasie, starała się zachowywać, jakby to jej wcale nie obeszło.

Lysander nie czuł się dobrze i kręciło mu się w głowie. To wszystko razem, zmieszane z nocnym chłodem i działaniem alkoholu spowodowało prawdopodobnie, że stracił nieco swoje zwykłe opanowanie.

- Wie pani, kocham Candover - rzekł cicho. - Nie zdawałem sobie z tego sprawy, dopóki nie dostałem go na własność.

- Tak, wiem o tym - odparła dziewczyna. Co innego mogła powiedzieć?

- Myślałem nawet o ożenku dla pieniędzy, by ratować posiadłość.

- Bardzo mądry pomysł, milordzie - przytaknęła bez tchu.

- Tak pani myśli?

- Naturalnie.

Doszli do konia, który spokojnie skubał trawę. Lysander puścił dziewczynę i zaczął poprawiać Truskawce popręg. W tym samym czasie księżyc wyszedł zza chmury i oświetlił twarz Clemency. Zsunięty kaptur odsłaniał włosy dziewczyny, które jak utkane ze złota opadały pyszną falą na ramiona.

Lysander podniósł wzrok i w jednej chwili wszystkie kawałki łamigłówek znalazły swoje miejsce. Clemency zrozumiała, że ją rozpoznał.

- Nie - szepnęła, lecz było już za późno.

Chwycił ją w ramiona i zaczął całować rozpaczliwie i namiętnie, nie zważając na swoje rany.

- Te słodkie, miękkie usta - szeptał. - Jak mogłem zapomnieć? - Puścił ją, obrzucił tkliwym spojrzeniem i szepnął, gładząc lekko po policzku: - Mój piękny aniele. Pocałuj mnie raz jeszcze.

Clemency posłuchała go z łomoczącym z przejęcia sercem. Niespodziewanie znalazła się w znacznie większym niebezpieczeństwie, niż pół godziny temu z Markiem, ale nawet nie zauważyła niestosowności tej sytuacji. Czuła jedynie wszechogarniającą radość, bo całował ją mężczyzna, którego kochała.

Nagle Lysander zachwiał się i byłby upadł, gdyby Clemency go nie podtrzymała.

- Lepiej wracajmy już do domu, milordzie - stwierdziła, starając się zachowywać normalnie. - Pan jest ranny.

Lysander trzymał ją jeszcze przez chwilę, po czym wyprostował się i odparł głosem pozbawionym wszelkich uczuć:

- Ma pani rację.

Drogę powrotną do domu przebyli w całkowitym milczeniu.

9

Następnego dnia Clemency obudził dźwięk deszczu bębniącego o szyby. Niebo było zasnute szarymi chmurami i znacznie się ochłodziło. Dziewczyna westchnęła i przymknęła oczy. Guz na głowie jeszcze ją bolał i skutecznie rozpraszał wszelkie myśli.

Udało się jej w końcu zwlec z łóżka i obmyć twarz w zimnej wodzie. Gdy popatrzyła przez okno, miała wrażenie, że lato się nagle

skończyło. Z ulgą przypomniała sobie, że była na tyle przewidująca, by zabrać ze sobą długą ciepłą suknię z szarego kaszmiru. Suknia miała szpiczasty kołnierz i liczne falbanki u dołu; nawet panna Baverstock musiałaby ją uznać za odpowiednią.

Wtedy przypomniała sobie. Czyż markiz nie wspominał o jej wyjeździe? Przyłożyła dłoń do obolałej skroni i starała się skoncentrować. Jeśli nawet, to czy dumna panna się nie sprzeciwi? Wróciła myślami do wczorajszego wieczoru, a szczególnie jego nieoczekiwanego finału. Chłodne poranne światło nie dodawało jej otuchy. Czy powinna była pozwolić na ten pocałunek? Gorzej, odpowiedzieć na niego! Jak będzie mogła teraz spojrzeć mu w oczy? Trudno oczekiwać, że jego lordowska mość puści wszystko w niepamięć!

Clemency usiadła na wąskim łóżku i przyłożywszy dłonie do rozpalonych policzków, starała się zebrać myśli. Wiedziała, że Arabella jest bezpieczna, zajrzała bowiem do niej jeszcze wczoraj po powrocie. Jej ubranie leżało porozrzucane po całej podłodze, a ona spała głęboko. Z pewnością nie wspomni domownikom o nocnej eskapadzie. Clemency obawiała się tylko, czy Molly, gdy zacznie zbierać rano jej ubranie, niczego się nie domyśli.

A co z markizem? Jak wytłumaczy widoczne ślady po walce? Upadkiem ze schodów? A jego wczorajsze zachowanie? Czy możliwe, żeby ją kochał? A jeśli to jedynie następstwo doznanych urazów i

alkoholu? Wyrażał się z najwyższym potępieniem o nagabywaniu jej przez pana Baverstocka, możliwe więc, że uzna też swoje poczynania za karygodne. Clemency spostrzegła, że nie ma innego wyjścia - cokolwiek markiz uczyni, ona musi sprawiać wrażenie, iż zapomniała o całej historii.

Żeby się to udało, potrzebne jest jedynie opanowanie i spokojna, pełna przyjacielskiej nieświadomości postawa. Najmniejsza oznaka poruszenia z jej strony może tylko oboje wprowadzić w zakłopotanie i wzbudzić podejrzenia u pozostałych. Przyznała z niechęcią, że musi sprostać temu zadaniu.

Całe szczęście, że to niedziela i zobaczy się po mszy z kuzynką Anne. Może nadszedł już czas, by skontaktować się z panem Jamesonem i podjąć próbę pojednania z matką? Jedno nie podlegało dyskusji - rozpoczęcie negocjacji w żadnym razie nie będzie jednoznaczne z jej powrotem do domu.

Oriana obudziła się nieco później niż Clemency, ale za to w nadzwyczaj radosnym nastroju. Pozbyła się wreszcie niewygodnej pannicy i chociaż musiała pozostać jeszcze jakiś czas w tym okropnym, rozpadającym się domu, cieszyła ją myśl, że otrzyma na zimę upragnioną klacz. A dzisiaj, cóż, będzie napawać się widokiem zgorszonych twarzy towarzystwa na wiadomość o ucieczce panny Stoneham. Szczególnie głośne okaże się zapewne święte oburzenie panny Fabian.

Rozległo się pukanie do drzwi - to Eliza przyniosła poranną filiżankę gorącej czekolady.

- Nie za piękny mamy dziś dzień, panno Oriano. - Rozsunęła zasłony, poprawiła z tyłu poduszki i podała swojej pani ciepły szal.

Gdy Oriana usadowiła się wygodnie, pokojówka postawiła przed nią srebrną tacę z filiżanką. Obok leżał list.

- Możesz już odejść - rzuciła jej Oriana. - Zadzwoń, jeśli będziesz mi potrzebna.

Dziewczyna dygnęła i wyszła.

Oriana otworzyła kopertę, przebiegła wzrokiem list i zbladła.

List był krótki.

Szanowna panno Baverstock!

Jestem pewien, że zrozumie pani powody, dla których nie mogę proponować pani dalszej gościny w Candover. Pani brat przebywa w „Koronie” z wyraźnym poleceniem czekania na pani przybycie. Powóz zostanie podstawiony o jedenastej. Wytłumaczę gościom pani wcześniejszy wyjazd.

Z wyrazami szacunku, Storrington.

Oriana odsunęła tacę tak gwałtownie, że płyn rozlał się na prześcieradło, ale zważała na to. Co mogło się nie udać? W jaki sposób Lysander dowiedział się, że Mark przebywa w „Koronie”, a tym bardziej, skąd wysnuł przypuszczenie, że ona maczała w tym palce?

Rozważała przez chwilę, czy nie unieść się urażoną niewinnością, lecz po namyśle odrzuciła ten pomysł. Jaki w tym sens? Przecież tak naprawdę nie chce tu zostać.

A może ta przeklęta guwernantka w ogóle nie przybyła na miejsce schadzki? Niemożliwe, wszak sama widziała, jak skradała się po schodach z płaszczem w ręku. Co najwyżej mogła stchórzyć w ostatniej chwili, to typowe dla takiej pretensjonalnej, ckliwej panny. Oriana tak mocno pociągnęła za dzwonek, że urwała przymocowany do niego sznur.

Na ten dźwięk natychmiast przybiegła Eliza, flirtująca na dole ze służącym Marka. Gdy tylko weszła do pokoju, wyczuła paskudny humor swojej pani. Nie zdziwiła się, widząc urwany sznurek dzwonka.

- Co za obrzydliwa rudera! - krzyknęła Oriana. - Nie zamierzam pozostać tu ani dnia dłużej. Elizo, zacznij się pakować.

- Ale... ale...

- Rób, co każe! - ucięła ostro Oriana. Potem zwiesiła nogi z łóżka, włożyła pantofle i wzięła z biurka kartkę. Za jej plecami Eliza zerknęła na porzucony na łóżku list i oczy jej rozszerzyły się z przerażenia.

Milordzie - pisała Oriana - z największą przyjemnością przystaję na pana prośbę. Moim zdaniem ten dom nie nadaje się nawet dla świń, życzę więc szczęścia z tą nieciekawą świętoszką. O. Baverstock.

- Dopilnuj, by markiz to otrzymał - powiedziała, włożyła list do koperty, zakleiła i zaadresowała do Lysandra.

Poczuła się znacznie lepiej. Wyjadą z tej dziury w południe i już na wieczór znajdą się w domu. To co, że markiz nie spełnił jej oczekiwań, nie on jeden na świecie! Przecież jest ładna, dobrze zabezpieczona na przyszłość, a w morzu pływa jeszcze mnóstwo ryb. Wymyślą z Markiem jakąś banalną historyjkę dla ojca i nikt się nie dowie, jak głęboko ją tu poniżono.

Clemency miała właśnie wyjść na śniadanie, gdy rozległo się pukanie i weszła Molly.

- Przepraszam, panienko, przyniosłam list od jego lordowskiej mości. - Pokojówka zauważyła wypieki na policzkach dziewczyny i zaraz wysnuła własne, zupełnie prawidłowe wnioski. Biedaczka, pomyślała, zakochała się w markizie. Wszyscy wiedzą o konieczności sprzedania Candover Court, więc jaki będzie jej los? Z pewnością pan nie poślubi ubogiej guwernantki, a Molly wątpiła, czy panna Stoneham zechce wziąć pod uwagę inne możliwości.

Na dole wrzało już od plotek, że Baverstockowie zostali odprawieni. Zadzierająca nos Eliza nie zdradziła się ani słowem, ale wszyscy doskonale wiedzieli, że goście nie pakują się tak nagle bez żadnego powodu. Baba z wozu, koniom lżej, pomyślała Molly. Przyszło jej nagle do głowy, że powinna powiadomić o tym pannę Stoneham; to, że

panna Baverstock uwzięła się na nią, było wśród służby tajemnicą poliszynela.

- O ile wiem, panienko, panna Baverstock opuści Candover jeszcze dzisiaj - powiedziała Molly.

Clemency obracała w palcach przyniesiony Ust, lecz na słowa dziewczyny podniosła głowę.

- Doprawdy? - zapytała zaskoczona.

- Na dole nie mówi się o niczym innym. Eliza domagała się przyniesienia kufra panny Baverstock, ich powóz zaś ma zajechać o jedenastej.

- Nie powiem, żebym czuła szczególny smutek - odparła Clemency. Wymieniły spojrzenia. - Wiem, że nie powtórzysz nikomu moich słów.

- Cała służba jest za panienką - powiedziała Molly serdecznie. Dygnęła i wyszła, wesoło podśpiewując coś pod nosem. Molly uwielbiała, gdy coś się działo, a przez ostatnie dwa tygodnie nie było tu ani chwili nudy.

Clemency usiadła na skraju łóżka i drżącymi palcami otworzyła list. Był dosyć zwięzły.

Droga panno Stoneham!

Ufam, że przyszła pani do siebie po wydarzeniach zeszłej nocy. Rankiem panna Baverstock dołączy do swojego brata. Ciotce opowiem, jak pani, zachowując się bardzo odpowiedzialnie, przyniosła mi wiadomość pochodzącą

rzekomo od Arabelli, w następstwie czego udałem się na jarmark i rozprawilem z panem Baverstockiem. Nie ma zatem potrzeby. Żeby pani czy Arabella były w to w ogóle zamieszane. Będę wdzięczny, jeśli pokaże pani ten list mojej siostrze, żeby zrozumiała swoją w tym rolę.

Z wyrazami szacunku, Storrington

Clemency siedziała w ciszy, ze schyloną nisko głową. A więc tak to ma wyglądać, pomyślała. Czarowne, czułe chwile z poprzedniej nocy znikną z ich pamięci, jakby nigdy nie miały miejsca. Ani słowa o wczorajszych wzruszeniach, ani śladu wyrzutów sumienia. Sucha notatka, którą każdy może przeczytać. Wszystko zostanie zapomniane.

Wyprostowała się, wytarła nos i spróbowała uporządkować myśli. Lysander jej nie kocha, to pewne. Jeśli nawet pamięta cokolwiek z zeszłego wieczora, widać bierze to za niefortunne następstwa bójki z Baverstockiem i może brandy z „Korony”.

Niech i tak będzie. Nic na to nie poradzi i z pewnością nie zagra roli nieszczęśliwie zakochanej guwernantki. Miała nadzieję, że wystarczy jej na to dumy i siły woli.

Włożyła list do kieszeni i poszła do Arabelli.

Zanim jeszcze towarzystwo zebrało się w jadalni, właściwie wszyscy, poza młodymi Fabianami, znali oficjalną wersję wypadków. Ci, którzy wiedzieli, co naprawdę zaszło, ukrywali to tak dobrze, że niczego nie

zauważono.

Tylko dobre wychowanie zgromadzonych pozwoliło zatuszować niewielką niezręczność, jaką stało się pytanie panien Fabian o zdrowie Oriany - dziewczęta zdziwiły się, że nie zeszła na śniadanie. Gdy Lysander odparł, że panna Baverstock postanowiła dotrzymać towarzystwa bratu w jego smutnej podróży, jedynie panna Fabian poczuła żal. Gilesowi i Dianie wyraźnie poprawił się humor, a lord Fabian, rzuciwszy sceptyczne spojrzenie na gospodarza, nic nie powiedział, tylko dyplomatycznie zajął się cynaderkami na bekonie. Wcześniej lady Fabian zamieniła szybko parę zdań z lady Heleną i udało jej się spojrzeć tak wymownie na męża, że powstrzymało go to od uwag.

Clemency zeszła do jadalni razem z Arabella, toteż nie musiała witać markiza - powiedziała tylko ogólne *dzień dobry*. Nikt też zdawał się nie zauważyć, jak niewiele zjadła. Przez większość czasu pozostała milcząca, rzuciła zaledwie kilka grzecznościowych uwag w stronę siedzących obok lorda Fabiana i Diany i cieszyła się w duchu z ich mało wymagającego towarzystwa.

Pilnie uważała, by unikać wzroku markiza, starała się też nie wsłuchiwać w jego głos. Niestety, bezskutecznie - był to jedyny dźwięk, który do niej docierał. Spojrzała na niego tylko raz, gdy wstawał, by nałożyć sobie coś na talerz. Na jego szczęce widniał wciąż spory siniak, poza tym mężczyzna wydał jej się blady. Spostrzegła, że również i on

zjadł niewiele, ale to akurat można by przypisać odniesionym ranom. Przeprosił wszystkich, że nie jest w stanie uczestniczyć w dzisiejszej mszy i spędzi poranek w domowym zaciszu.

Nikt nie oponował i już wkrótce mocno przerzedzone towarzystwo wyruszyło do kościoła.

Clemency niewiele pamiętała z kazania i całej mszy. Automatycznie wstawiała, siadała i klękała za pozostałymi, a jej umysł był zajęty w tym czasie zupełnie czym innym. Zastanawiała się, co powiedzieć kuzynce Anne. Pani Stoneham zapewne spodziewa się, że przygotowała odpowiedź dla pana Jamesona, którą zamieszczą w *Morning Post*. Tylko czy nie jest na to za późno? A co z historią z „Korony”? Co robić? Jeśli przedstawi kuzynce Anne nawet okrojoną wersję wczorajszych wydarzeń, co powie ta dobra kobieta? I co uczyni? Jeśli dojdzie do wniosku, że jej młodszej krewnej grozi upadek moralny, może poczuje się w obowiązku napisać sama do Jamesona?

Podczas śpiewania drugiego psalmu Clemency przyznała w myślach, że to wielce prawdopodobne. Mniej więcej w połowie kazania ustaliła, że nie powie całej prawdy ani lady Helenie, ani kuzynce Anne. To oznaczało jedno - nie ma osoby, której mogłaby się zwierzyć.

- Moja droga Clemency! - krzyknęła pani Stoneham, gdy usiadły w jej salonie. - Wyglądasz blado i mizernie. Czy przypadkiem nie jesteś chora?

Clemency uspokoiła ją i w paru zdaniach opowiedziała przygotowaną

historyjkę. Zakończyła słowami:

- Możesz, kuzynko, sobie wyobrazić, że nie mogłam zasnąć. W dodatku przy zdejmowaniu pończoch uderzyłam się pechowo o szafkę. Jestem po prostu nieco zmęczona.

Bessy, która przyniosła właśnie obiad, popatrzyła na nią sceptycznie, ale powstrzymała się od komentarza. Usłyszała w wiosce od starszej pani Carter, że widziano na jarmarku lady Arabellę. Krążyły też pogłoski, że markiz pojawił się tam z nieznaną damą. Pani Carter umilkła w nadziei, że dowie się czegoś więcej od Bessy, lecz gdy ta nie zareagowała, fuknęła:

- To zresztą sprawa markiza, a ja nie jestem z tych, co obgadują swoich panów.

Jeśli markiz wybrał się na jarmark z Clemency, może to oznaczać romans, pomyślała Bessy. Ale Clemency nie wyglądała na osobę, która spędziła wieczór w ramionach kochanka.

- To niewiarygodne, że panna Baverstock próbowała wplątać w to ciebie, Clemency - rzekła z ulgą pani Stoneham, pewna, że wszystko dobrze się skończyło. - Naturalnie, miałaś określone zdanie na temat pana Baverstocka, ale żeby jego siostra, taka dama, zrobiła coś tak haniebnego... Kochanie, poczęstuj się jeszcze kawałkiem jagnięcia. Ledwie skubnęłaś jedzenie.

Dopiero nieco później, w salonie, pani Stoneham poruszyła drugą sprawę:

- Zanim zastanowimy się nad odpowiedzią dla pana Jamesona, powinnaś się dowiedzieć, że w piątek sama otrzymałam od niego list.

Clemency spojrzała na nią poblądła z przejęcia. Kuzynka pogłaskała ją po dłoni.

- Nie bierz tego tak poważnie, Clemency, nie ma potrzeby. Wiadomość nie jest wcale przerażająca, pozwól, że ci przeczytam. - Podeszła do szafki i otworzyła szufladkę. - O, jest tutaj. Na początku przekazuje mi zwyczajowe pozdrowienia i podziękowania, że byłam tak łaskawa i zgodziłam się na rozmowę. Ma też nadzieję, że nie sprawił mi tym kłopotu, i tak dalej, i tak dalej. Teraz posłuchaj:

W świetle nowych wydarzeń w dwójnasób niefortunna okazuje się nieobecność panny Hastings. Jej matka właśnie ogłosiła, że zamierza przyjąć oświadczyzny pana Johna Butlera. W tak radosnym i dobrze wróżącym na przyszłość momencie byłby zapewne przychylnie przyjęty odpowiedni list, dowodzący uległości córki. Chociaż matczyne uczucia pani Hastings zostały dotkliwie urażone, chodzi jej jedynie o dobro córki.

Pan Butler wspaniałomyślnie zaoferował pannie Hastings miejsce do zamieszkania, jednak pozwoliłem sobie zasugerować, że jeśli znajdzie się inne stosowne i godne zaufania rozwiązanie, można zaproponować bliskiej przyjaciółce bądź, krewnym, którzy zaopiekują się panną Hastings do czasu jej zamążpójścia, hojną rekompensatę. Pani Hastings łaskawie na ten pomysł przystała.

Droga pani, jeżeli przypadkiem usłyszysz pani cokolwiek o miejscu pobytu panny Hastings, jestem pewien, że ją pani powiadomi i skłoni do powrotu.

- Dalej następują już mało znaczące słowa pożegnania.

- Mama... wychodzi za mąż? - wykrztusiła Clemency osłupiała.

- Bessy, przynieś herbatę! - Pani Stoneham potrząsnęła dzwonkiem.

Podawała dziewczynie list i spokojnie zajęła się szyciem.

Pierwszą reakcją Clemency było oburzenie. Jak matka mogła to zrobić? Jak w ogóle mogła pomyśleć o ponownym wyjściu za mąż? Papa był taki dobry i kochający, to niesprawiedliwe, by ktoś obcy zajął jego miejsce! W dodatku pan Butler! Po prawdzie Clemency nie miała nic przeciwko niemu, gdyż uchodził w mieście za człowieka szanowanego i zawsze był dla niej dobry, ale przecież nie jest jej ojcem!

Pani Stoneham zdążyła wypić herbatę i zacerowała dwie pończochy, zanim dostrzegła, że Clemency przyszła już trochę do siebie.

- Wiesz coś na temat tego pana Butlera? - zapytała dziewczynę. - Pan Jameson najwyraźniej go aprobuje.

- Jest wulgarnym wesołkiem, a ubiera się w spodnie tak ciasne, że przypomina dumnie kroczonego garłacza. Do tego farbuję sobie wąsy.

- Słodki Boże! - krzyknęła pani Stoneham ze zgorzaniem.

- To pięćdziesięcioletni dandys. Poza tym nie słyszałam o nim nic gorszego - westchnęła. - Muszę być sprawiedliwa i przyznać, że zawsze okazywał mi dobroć.

- Ale nie pochwalasz tego związku.
- Po papie... - zaczęła Clemency i załkała.
- Ależ, Clemency, kochanie, bądź rozsądna. Twoja matka nie jest typem samotnicy, nie zdołałaby żyć bez mężczyzny. Jest nadal młoda (choć ty możesz się z tym nie zgodzić!), atrakcyjna i bogata. To oczywiste, że wyjdzie ponownie za mąż i lepiej, że poślubi człowieka poczciwego, który nie czyha na jej pieniądze, nawet jeśli pozuje na dandysa. Prawdę mówiąc, moja droga, twoja matka ma podobne skłonności.
- Być może - odparła Clemency z przygnębieniem.
- Gdy będziesz miała czas na refleksję, dojdiesz do tego samego wniosku. A małżeństwo matki to dla ciebie wybawienie, Clemency, pomyśl o tym. Zaczyniesz sama decydować o swoim losie. - Kuzynka Anne wyjrzała przez okno. - Już się przejaśniło. Może wybierzesz się do kościoła, do pani Lamb i zaniesiesz kwiaty, które jej obiecałam? Bessy już przygotowała koszyk, a tobie nie zaszkodzi odrobina świeżego powietrza. Tylko nie daj się wciągnąć w rozmowę. To dobroduszna kobieta, ale nieco wścibska.

Kiedy Clemency wróciła od pastora, najwyraźniej odzyskała humor i spokój umysłu, a jej cera przybrała normalny wygląd. Gdy podjęła ponownie temat, była już całkiem wesoła i stwierdziła, że to dobra nowina, iż matka znowu wychodzi za mąż. Teraz, być może, nastał odpowiedni czas do rozpoczęcia negocjacji. Czy kuzynka Anne ma coś

konkretnego na myśli?

- Zastanawiam się, czy nie powinnam pertraktować w twoim imieniu - zaproponowała pani Stoneham i pomyślała, że Amelia Hastings jest kobietą nader histeryczną, poddającą się emocjonalnemu szantażowi. Łatwiej jej będzie porozumiewać się w tak drażliwej sprawie poprzez osobę trzecią. - Mogłabym oświadczyć, że skontaktowałam się ze mną, lecz dotychczas nie miałam prawa zdradzać miejsca twojego pobytu. Powinnaś też stąd wyjechać, myślę tu o twoich przyjaciółkach, pannach Ramsgate. Sama wiesz, moja droga, że mój dom to nie miejsce dla ciebie. Przede wszystkim, bliskość Candover Court stanie się okolicznością wielce niezręczną, kiedy nagle przemienisz się w bogatą pannę Hastings! Poza tym potrzebujesz towarzystwa młodych, nie mówiąc już o tym, że pora zacząć bywać w świecie. Jak sądzisz, czy pani Ramsgate przyjąłaby cię?

- Wydaje mi się, że tak - odparła Clemency, starając się włożyć w te słowa choćby cień entuzjazmu.

Po powrocie z Abbots Candover Clemency dowiedziała się, że chce z nią rozmawiać lady Heleną.

- Pani jest w buduarze, panno Stoneham - poinformował ją Timson. - Chciała się z panią zobaczyć jak najszybciej.

- Pójdę do niej natychmiast - odparła Clemency z bijącym mocno sercem. Nie mogła odegnąć od siebie natrętej myśli, że mimo usilnych

starań ktoś widział ją na jarmarku i doniósł o tym lady Helenie. Co robić? Zaprzeczyć? Wezwać na pomoc markiza?

Jak się okazało, żadne wymówki nie były potrzebne. Lady Helena pragnęła tylko podziękować jej za odpowiedzialne zachowanie w tej sprawie.

- Bóg jeden wie, jak skończyłaby się cała historia, gdyby Arabella tam poszła! - westchnęła lady Helena. - I chociaż nie mogę pochwalić sposobu, w jaki mój bratanek obszedł się z panem Baverstockiem, widzę tu pewną korzyść; przynajmniej ta męcząca para zniknęła z moich oczu. Wszystko dobre, co się dobrze kończy.

Clemency natychmiast nasunęła się refleksja, że to ona sama zadała Baverstockowi ostateczny cios. Na głos mruknęła jedynie, że z radością pomogła Arabelli.

- A przy okazji, panno Stoneham - wtrąciła lady Helena. - Moim zdaniem wykazała pani ogromną cierpliwość i takt w postępowaniu z Baverstockami. Uważam, że to bardzo źle wychowana para. Nie mogę zrozumieć, co mój bratanek w nich widział.

- Z pewnością ma pani rację, milady - odparła Clemency z powagą.

Dama zaśmiała się i pozwoliła jej odejść.

Chociaż Clemency cieszyła się z wyjazdu Baverstocków, nie mogła się jednak powstrzymać od myśli, że życie w pałacu nie wygląda jak dawniej. Markiz wydawał się teraz znacznie bardziej zajęty niż zwykle, a kiedy się pojawiał, Clemency z bólem zauważała dzielący ich wyraż-

ny dystans. Zachowywał się grzecznie i bez zarzutu, ale brakowało dawnej niewymuszonej swobody w rozmowach, a nawet okazjonalnych sprzeczkach, które uwielbiała. Częściej zresztą rozmawiał z Adelą niż z nią.

Po wielekroć przeczytała jego list, szukając słów, które mogłyby pocieszyć jej zranione serce. Jednak nic nie znalazła. List, podobnie jak sam markiz, emanował obojętną grzecznością i chłodem. Człowiek, który ją obejmował, nazywał piękną i obsypał pocałunkami, bezpowrotnie zniknął.

Wszystko stracone.

Z trudem starała się utrzymać pozory normalności. Jak zwykle planowała ciekawe lekcje dla dziewcząt, pomagała lady Helenie przy pielęgnacji Millie i omawiała jadłospis z panią Marlow - ale to wszystko było niczym wobec jej skołatanych nerwów. Zniknęła gdzieś cała przyjemność z tej pracy i Clemency czuła się bardzo przygnębiona, tracąc nawet ochotę do jedzenia.

W środę rano markiz zwrócił się do niej po raz pierwszy od pamiętnej nocy na jarmarku.

- Panno Stoneham, oczekuję mojego prawnika, pana Thorhilla - powiedział. - Czy mogłaby pani przygotować z panią Marlow pokój dla niego?

- Oczywiście, milordzie.

I to wszystko.

- Pan Thorhill? - powtórzyła gospodyni. - Najlepiej, gdy umieścimy go w pokoju po pannie Baverstock. To bardzo miły, wygadany dżentelmen, a w dodatku nie zapomina o służących. - W jej słowach słychać było gorycz, bowiem rodzeństwo Baverstocków nie obdarowało niczym służby. Wywołało to zresztą na dole powszechne oburzenie.

- Często tu przyjeżdża? - spytała dziewczyna.

- Od czasu śmierci lorda Alexandra średnio raz na miesiąc, panienko.

- Rozumiem.

Clemency zastanawiała się, czy prawnik wie o nieudanej próbie oświadczyn markiza. Zaraz jednak porzuciła tę myśl. To nieważne, bo tak czy inaczej markiz nie zechce spojrzeć po raz drugi na guwernantkę. Nie będzie też powodu, by połączył z jej osobą tamtą dawną sprawę.

Następnego ranka Lysander i pan Thorhill siedzieli w gabinecie. Prawnik zauważył z troską, że jego szanowny pracodawca wygląda jeszcze bardziej mizernie, niż podczas ich ostatniego spotkania. Po raz kolejny przeklął trzeciego markiza Storringtona, który myślał wyłącznie o sobie, nie inwestując i wyciskając z Candover Court ostatni grosz. Pozwolił też, by jego starszy syn wyrósł na samolubnego i bezwzględного młodzieńca, którego nie obchodziło nic poza własnymi uciechami. Ile rozrywki lorda Alexandra kosztowały posiadłość,

Thorhill bał się nawet myśleć. Gdyby nie to, majątek, choć podupadły, przynajmniej zachowałby wypłacalność.

- Milordzie, otrzymałem kilka propozycji kupna Candover. - Prawnik otworzył skórzaną teczkę. - Według mnie dwie są dość obiecujące. Chęć nabycia posiadłości zgłosił niejaki pan Cromer oraz pan Bamstaple.

- Nigdy nie słyszałem nazwisk tych dżentelmenów - westchnął Lysander i wyciągnął dłoń po listy.

- Zgadza się, milordzie. Jeśli się nie mylę, obaj reprezentują niedawno powstały kapitał. Pan Cromer posiada kopalnie w Weardale, a pan Bamstaple działa w branży wełnianej.

- Widzę, że oferta pana Cromera jest korzystniejsza.

- Tak, milordzie. Jednak dano mi do zrozumienia, że nie zechce zatrzymać służby, a wiem, że panu na tym zależy.

- Za to pan Bamstaple zgłasza chęć przejęcia służących. Jakim jest człowiekiem? Poznał go pan osobiście?

- Nie, panie markizie, spotkałem się tylko z jego przedstawicielem. Myślę, że można go porównać z nieco topornym, nie oszlifowanym diamentem. Ale jego agent twierdzi, że pracownicy wielce sobie chwalą łaskawość pryncypała.

- Naturalnie - odparł sucho Lysander.

- Czy sprowadzić tu obu panów, milordzie? - Thorhill pozwolił sobie na lekki uśmiech.

Lysander, zanim udzielił odpowiedzi, popatrzył przez okno. Kamienie

mur przy bramie wjazdowej błyszcząły złotem w porannym słońcu. Na trawniku pojawiły się pierwsze jesienne liście.

- Bardzo proszę, Thorhill. Niewątpliwie zechcą przyjechać w celu obejrzenia posiadłości. Ja sam również chciałbym ich poznać.

Dopiero pod koniec rozmowy Lysander zapytał od niechcienia:

- Tak przy okazji, Thorhill. Pamiętasz pannę Hastings-Whinborough?

- Tak, milordzie.

- Czy przypadkiem znasz jej imię?

- Nie, panie markizie. Chyba w ogóle go nie słyszałem. Imion młodych dam zazwyczaj nie podaje się do powszechnej wiadomości.

- Oczywiście, że nie - przyznał Lysander zgaszony.

- Czy mam się tego dowiedzieć?

- Nie, nie. To tylko przelotna myśl.

Mimo wszystko pan Thorhill zanotował to sobie w pamięci. Rozmowa wróciła do spraw finansów. Uzgodnili, że Thorhill upoważni panów Cromera i Bamstaple'a do przyjechania i obejrzenia Candover.

- Milordzie, obawiam się, że nie mam zbyt pomyślnych wieści, jeśli idzie o klejnoty rodzinne.

- Dobry Boże, a są jeszcze jakieś? Myślałem, że zostały sprzedane już dawno temu.

- W skrytce w banku Drummonda znajduje się mała szkatułka, ale nie ma w niej nic poza perłami lady Storrington. Reszta to tanie imitacje.

- Wielce prawdopodobne - przytaknął Lysander. - Pamiętam, że matka

coś takiego wspominała, gdy pewnego wieczora oglądałem jej diadem.

- Udało się jej jednak ocalić perły, może dlatego, że wniosła je do małżeństwa w posagu.

- A ile są warte?

- Koło setki, milordzie.

- W takim razie niech zatrzyma je Arabella. Sto funtów w tę czy tamtą stronę nie zrobi różnicy, a matczyzna biżuteria jej się należy.

- Wedle pańskiego życzenia, milordzie.

Thorhill został w Candover jeszcze przez parę dni, naradzając się i przeglądając z markizem i Frome'em księgi rachunkowe. Pozostało do załatwienia kilka drobnych spraw, powiedział na koniec, układając dokumenty. Na przykład należałoby przedłużyć umowę dzierżawy z Hughettsami, ale wszystkie potrzebne papiery ma w swojej londyńskiej kancelarii. Następnie przeprosił markiza wyjaśniając, że obiecał spotkać się o czwartej z lady Heleną, wziął teczkę i wyszedł.

Chociaż wiele osób komentowało głośno mizerny wygląd markiza, również blada twarz i brak apetytu Clemency nie pozostały nie zauważone, przynajmniej przez Arabelle.

Dziewczyna kilka razy rozmawiała z Clemency o wydarzeniach na jarmarku.

- Zander nie chce do tego wracać - narzekała. - Według niego powinnam natychmiast o wszystkim zapomnieć! Panno Stoneham, to

nie do wytrzymania, nie uważa pani?

- Może chodzi mu o to, żeby przypadkiem nie wygadać się w towarzystwie - zasugerowała Clemency, choć sama sądziła inaczej. Widać markiz woli udawać sam przed sobą, że coś takiego nigdy nie miało miejsca.

- Nie myślę, żeby to korzystnie wpływało na moją równowagę psychiczną - oznajmiła z powagą Arabella, a gdy Clemency się zaśmiała, dodała: - Niech pani popatrzy na Zandra, wygląda okropnie.

Czy rozmawiał z panią?

- Nie. - Clemency poczuła rumieńce na twarzy.

- No, proszę bardzo. - Przyglądała się Clemency, która odwróciła głowę. - Pani też nie wygląda najlepiej. Mam nadzieję, że pan Baverstock pani nie skrzywdził?

- Ależ skąd! - zaprzeczyła Clemency. Za to Lysander to zrobił, pomyślała z bólem.

- Nie wierzę, jest pani błada jak prześcieradło.

- Arabello, proszę uważać na swój język. Nie byłam, jakby to powiedzieć, napastowana przez pana Baverstocka, jeśli miałaś to na myśli. Przeżyłam jedynie kilka nieprzyjemnych chwil, to wszystko.

- Ale coś się wydarzyło, prawda? - nalegała Arabella. - Zander najwyraźniej pani unika. Powiem mu, jak bardzo się pani tym przejmujesz.

Clemency odwróciła się do niej gwałtownie.

- Arabello, jeśli wspomnisz o tym choć jednym słowem, natychmiast odejdę - rzuciła zawzięcie. - Mówię poważnie. Jeśli nawet tamtego wieczora zaszły jakieś bolesne dla mnie zdarzenia, wolę zachować je dla siebie. I proszę to uszanować, nikt nie ma prawa wtrącać się w moje prywatne sprawy.

Arabelle tak bardzo zaskoczył ten nagły atak, że nie potrafiła wykrztusić ani słowa. Jeszcze nikt nie mówił do niej w taki sposób, a już na pewno nie guwernantka. Miesiąc temu może obraziłaby się lub okazała złość, ale od tego czasu zdążyła dorosnąć. Zamiast tego pocałowała Clemency w policzek i rzekła:

- Przykro mi, nie chciałam pani urazić.

Później, gdy Arabella znalazła się w swojej sypialni, długo rozmyślała. Pamięta, że widziała Lysandra i Clemency stojących na skraju placu i on obejmował ją ramieniem. Przez chwilę, zanim ją dostrzegli, wyglądali jak para. Para! Nagle uderzyła ją myśl, że mogą być w sobie zakochani.

Czy teraz się pokłócili? Arabella zauważyła (choć Clemency tego nie widziała), że Lysander zerka na nią, gdy nikt nie patrzy. Nie czuł się swobodnie, to pewne. Zawsze, kiedy zdarzyło mu się znaleźć w tym samym pomieszczeniu co panna Stoneham, utrzymywał wobec niej wyraźny dystans albo znajdował jakąś wymówkę i opuszczał pokój.

W świetle nowych spostrzeżeń Arabelli było to wielce znaczące, ale nikomu o tym nie wspomniała, nawet Dianie. Postanowiła

kontynuować dyskretną obserwację.

Pan Thorhill wyjechał w sobotę rano, a Clemency spędziła spokojne popołudnie z kuzynką. Pani Stoneham napisała do pana Jamesona, lecz do tej pory nie nadeszła odpowiedź, nie pojawiła się też w Abbots Candover wściekła pani Hastings.

- Według mnie twoją matkę pochłonęły przygotowania do ślubu - stwierdziła uspokajająco pani Stoneham. Osobiście była zdania, że jest mało prawdopodobne, by Amelia Hastings pragnęła stałej obecności w domu swej pięknej, młodej córki. - Spodziewam się wieści od niej dopiero wtedy, gdy pan Jameson skonsultuje się z Ramsgate'ami.

Na tym sprawa stanęła.

Lysander otrzymał wiadomość od Thorhilla dopiero w połowie następnego tygodnia, a zawartość listu kompletnie zburzyła jego spokój. Pan Thorhill szczegółowo omówił przygotowania do wizyty panów Cromera i Bamstaple'a, a na koniec dopisał: *Może pana zainteresuje, że panna Hastings-Whinborough ma na imię Clemency. Moim zdaniem to imię dość niezwykle, chociaż urocze.*

Clemency pozostawała nieświadoma burzy, jaka już niedługo miała się nad nią rozpętać. Zdecydowała, że zielnik Arabelli i Diany nadaje się do oficjalnej prezentacji. Spędziła wraz z dziewczętami kilka pracowitych poranków, grupując liście i rysunki Arabelli z jednej strony oraz notatki Diany z drugiej. Clemency napisała krótkie

wprowadzenie, w którym zachwalała pracowitość i zdolności swoich uczennic.

Większą część środowego popołudnia poświęciły ostatecznym poprawkom, a wieczorem przed kolacją Arabella zaniósła skończone dzieło do salonu i pokazała ciotce.

Zielnik przechodził z rąk do rąk, wzbudzając entuzjazm i szczerzy podziw. Naturalnie lady Fabian interesował głównie wkład pracy Diany, a Giles uznał, że na szczególne uznanie zasługuje wykaligrafowany pięknie wstęp. Lady Helena, nie mając pojęcia o ukrytych talentach Arabelli, była tym faktem wielce zaskoczona.

- Czy to naprawdę twoje malunki, Arabello?

- Tak, ciotciu.

- I wszystko to twoje własne dzieła?

- Oczywiście - odparła dziewczyna z niecierpliwością i spojrzała na Clemency.

- Tak jest w istocie, milady. Arabella przejawia w tyra kierunku prawdziwy talent.

- Jestem zdumiona - przyznała lady Helena i pierwszy raz nie zwróciła uwagi na Muffin, która obgryzała jej szal. - Lysandrze, popatrz na zdumiewające efekty pracy swojej siostry. No i naturalnie Diany.

Lysander przejrzał dokładnie album, przeczytał wprowadzenie (obrzucając przenikliwym spojrzeniem Clemency) i pokręcił z podziwem głową.

- Muszę pochwalić obie panny, musiałyście się ogromnie napracować - rzekł z uśmiechem.

- Panna Stoneham pomogła nam to wszystko rozplanować i zrobiła ramki - wyjaśniła Diana, zdecydowana podkreślić zasługi Clemency.

- Widzę, że nieoceniona panna Stoneham napisała również doskonałe wprowadzenie - dodał markiz.

Powiedział to dziwnie znaczącym tonem i Clemency wyczuła w jego głosie ukryte ostrzeżenie, coś, czego należy się obawiać. Jakby wiedział, że nie jest panną Stoneham. Co za bzdury, skąd mógłby się dowiedzieć?

Lysander, który wcześniej studiował pognieciony list Clemency z Russell Square, znalazł właśnie brakujący kawałek układanki.

Teraz jednak nie zdradził się z tym ani słowem, a po kilku minutach Timson ogłosił, że podano kolację.

Dopiero następnego popołudnia markiz wezwał do siebie Clemency. Przygotowywała właśnie lekcję francuskiego, gdy wszedł Timson.

- Jego lordowska mość pragnie zamienić z panią kilka słów w gabinecie. Oczywiście, gdy będzie pani wolna.

- Na... naturalnie - wyjąkała. - Gdzie jest markiz?

- U siebie w gabinecie - powtórzył cierpliwie Timson.

- Dziękuję, zaraz do niego pójde.

Służący uklonił się i wyszedł. Clemency podbiegła do lustra, poprawiła włosy i ułożyła kołnierzyk. Dlaczego się tak denerwuje?

Minął już ponad tydzień od wydarzeń na jarmarku i markiz okazał dostatecznie jasno swoją obojętność. Czyżby doszukał się czegoś na jej temat? A może ta wstrętna panna Baverstock napisała o niej kolejne kłamstwa?

Wzięła głęboki oddech i zeszła po schodach.

Gdy zajrzała do gabinetu, markiz stał przy oknie.

- Chciał się pan ze mną widzieć, milordzie? - dygnęła.

- Tak. - Markiz nie poprosił, by usiadła. Clemency zauważyła też jego nadzwyczaj ponurą minę. - Proszę rzucić na to okiem, może rozpozna pani autora czy raczej autorka tych słów. - Podał jej list.

Clemency wystarczył ledwie jeden rzut oka, by zorientowała się, o co chodzi. Bez pytania o pozwolenie opadła na najbliższy fotel i przez dłuższą chwilę nie potrafiła wykrztusić ani słowa. Do głowy cisnęły się jej najbardziej szalone pomysły, nie wiedziała, czy wszystkiemu zaprzeczyć, czy rzucić się markizowi do stóp, czy też w pośpiechu uciec z tego domu. Ręce drżały jej tak bardzo, że upuściła list. W końcu zebrała się na odpowiedź:

- Jak pan to zdobył?

- Czy tylko tyle ma mi pani do powiedzenia, panna Hastings-Whinborough? Żadnych przeprosin czy żalu z powodu swoich szachrajstw? Nic takiego nie słyszę, ale to mnie nie dziwi. Osoba zdolna nazywać mnie potworem nie może mieć choćby tyle poczucia przyzwoitości, by przyznać się do podstępu!

- Początkowo wzięłam pana za pańskiego brata - wyszeptała Clemency, blada z przerażenia.

- Bóg jeden wie, po co się pani wkradła do tego domu. - Markiz zdawał się nie słyszeć. - Może miała pani w planach ośmieszenie mnie, a może coś jeszcze gorszego? - W głosie mężczyzny słyhać było rozgoryczenie.

- Ależ skąd!

- Właśnie że tak! Czy prawdziwej damie przysłoby do głowy coś takiego? Tylko ktoś niegodziwy, źle wychowany i pozbawiony wszelkiego wstydu mógł wymyślić tak haniebną sztuczkę.

Clemency była bliska płaczu, jednak gdy dotarł do niej sens słów markiza, ogarnął ją gniew.

- Jak pan śmie! - krzyknęła głosem drżącym ze wściekłości. - Nawet najpodlejszy złoczyńca ma prawo się bronić! Ale pan skazuje ludzi bez szansy na uczciwą obronę. Tak, przyznaję, jestem Clemency Hastings, ale stanowczo wypieram się wszystkiego innego. Kiedy uciekłam do kuzynki Anne, nie miałam pojęcia, że mieszka tak blisko pańskiej posiadłości! Gdybym wiedziała, raczej zagłodziłabym się na śmierć!

- Mało wiarygodna historyjka! Nic pani nie wiedziała, obejmując posadę jako guwernantka Arabelli? Czy ma mnie pani za głupca?

- Nie widzę sensu, by ciągnąć tę rozmowę - rzuciła z gniewem Clemency. - Cokolwiek bym powiedziała i tak mi pan nie uwierzy.

- Stwierdzam tylko, że świadomie chciała mnie pani wystrychnąć na

dudka - oznajmił cierpko Lysander. - Co to było, próba sprawdzenia, czy ślub z markizem jest wart pani sakiewki?

- Co takiego? - wrzasnęła Clemency. - Jeśli uważa mnie pan za wulgarną pannę polującą na pieniądze i tytuł jestem zdziwiona, że nie zostawił mnie pan na łasce swojego przyjaciela Baverstocka. Jedyne, co mi można zarzucić, tal że w bardzo trudnej sytuacji osobistej - której pan najwyraźniej nie dostrzega - użyłam cudzego nazwiska. I za to zostałam osądzona, znieważona i skazana.

- Pani znieważona? - zdumiał się markiz. - A co ze zniewagami, na które naraziła mnie pani ucieczka? Pani matka wpadła w histerię, a mnie z ciotką pozostał tylko ten list! - Lysander wskazał z niesmakiem pogniecioną kartkę. Nie zapomniał upokorzenia, jakiego doznał tamtego popołudnia. Nie zamierzał też pozwolić pannie Hastings, by wymazała to z pamięci. - I co mam teraz powiedzieć lady Helenie? - dodał z sarkazmem. - Że panna Hastings-Whinborough, która już raz ją obraziła, teraz śmieje się za jej plecami?

- Pan wszystko przekręca! - krzyknęła Clemency z rozpaczą. - Nie pozwala mi pan niczego wyjaśnić, zniekształca pan każde słowo. Nie mogę tu dłużej zostać! - Po policzkach spływały jej łzy, gdy wypowiadała te słowa. Z trudem dławiąc szloch, odwróciła się i wybiegła z gabinetu.

Lysander z pustką w sercu kontemplował swoje wątpliwe zwycięstwo. Przez chwilę patrzył na zamknięte drzwi, a potem usiadł

ciężko przy biurku i zakrył dłońmi twarz.

10

Clemency miotła się po pokoju, starając się spakować. Wyciągnęła spod łóżka kufer i otworzyła go, jednak nie była w stanie zrobić nic więcej. Nie potrafiła logicznie myśleć, nic już nie miało sensu. Stała tak, z parą butów w dłoni, i nie wiedziała, co dalej.

Już po wszystkim. Markiz wie, kim jest, i nigdy tego nie wybaczy. Nawet nie pozwolił się jej wytłumaczyć. Na co liczyła, decydując się na ten podstęp? Teraz nie pozostało nic innego, jak odejść stąd ze wstydem. Gdy prawda wyjdzie na jaw, lady Helena będzie zaszokowana, a może nawet poczuje się obrażona, Arabella zmartwi się, cały zaś respekt i przywiązanie, jakie udało się jej zdobyć w tym domu, zostaną utracone.

Nagle przyszłość stała się dla Clemency nic nie znaczącą pustką; upuściła buty na podłogę i usiadła na łóżku, wpatrując się bez celu przed siebie. Po policzkach spływały jej łzy i nie usłyszała nawet pukania do drzwi.

Do pokoju wpadła Arabella z pytaniem, czy Clemency nie ma ochoty na spacer. Diana poszła gdzieś z matką i dziewczyna pragnęła czyjś towarzystwa. Zatrzymała się w drzwiach z przerażeniem, gdy zobaczyła otwarty kufer, ubranie porozwieszane na oparciu krzesła, a na koniec rozpacz w oczach Clemency.

- Panno Stoneham! Chyba nas pani nie opuszcza? - zawołała.

Clemency spojrzała na dziewczynę i chciała coś powiedzieć, lecz ani jedno słowo nie przeszło jej przez gardło. Machnęła ręką w geście bezsilnej rezygnacji.

- To Zander! - stwierdziła Arabella bez wahania. - Pomówię z nim!

- Nie, proszę poczekać! - krzyknęła Clemency. Arabella odwróciła głowę. - Nie rozumiesz, to poważna sprawa.

Dziewczyna weszła z powrotem do pokoju i usiadła obok Clemency.

- Jeśli powie mi pani, że została przyłapana na kradzieży rodowych klejnotów, i tak pani nie uwierzę. Nie sądzę, żeby zostało w naszym domu coś takiego.

- Nie zrobiłam nic złego. - Clemency udało się uśmiechnąć. - Popełniłam jednak poważny błąd. - Wytarła oczy i wydmuchała nos w chusteczkę. - Jeśli obiecasz, że nie pobiegiesz z tym od razu do brata, wtedy powiem, co się zdarzyło. - Westchnęła ciężko. - I tak wkrótce wszyscy się o tym dowiedzą.

- Obiecuję.

- To sprawa dość skomplikowana... - zaczęła Clemency.

Arabella słuchała z szeroko otwartymi oczami. Opowieść Clemency była zwięzła, lecz wystarczająco niezwykła, by wprawić młodą słuchaczkę w zdumienie. Nie uszły też jej uwadze skrywane przez Clemency emocje - nawet nie mogła wymówić imienia Lysandra, za każdym razem zastępując je słowami w rodzaju „on” albo „markiz”. Od dłuższego czasu Arabella była pewna, że i Zander nie pozostaje

obojętny wobec panny Stoneham, a właściwie panny Hastings. Z drugiej strony wiedziała, jakim potrafi wybuchnąć gniewem, gdy poczuje się zlekceważony - szczególnie przez kobietę, która wolała uciec, niż przyjąć jego oświadczenia. Nie uwierzy ani nie przyzna, że Clemency jest niewinna - przynajmniej dopóty, dopóki pozostaje w tak podłym nastroju.

Nie ulegało wątpliwości, że Clemency jest zrozpaczona, i to wcale nie z powodu odkrycia jej kłamstw. Arabelli wydało się, że najbardziej ją boli utrata dobrego imienia w oczach Lysandra, ale z chwalebny umiarem nie powiedziała nic na ten temat, pomyśli o tym później.

- I co teraz? - spytała tylko.

- Nie mam wyboru, muszę stąd odejść - odparła Clemency przytłumionym głosem. - Zaraz się spakuję i wyjadę, gdy tylko będę gotowa. Co innego mi pozostało?

- A ciotka Helena?

- Już wkrótce dowie się wszystkiego od markiza - westchnęła Clemency.

- Nie widzę powodu, dlaczego nie miałyby wysłuchać również pani - wykrztusiła oburzona Arabella. - Rozumiem, że to, co pani zrobiła, było złe, ale dostrzegam mnóstwo okoliczności łagodzących. Jestem pewna, że i ciotka nie ułatwiła pani zadania, gdy nalegała na przyjęcie pracy guwernantki. Wiem, jaka potrafi być uparta, gdy podejmie jakąś decyzję. Proszę, panno Stoneham, droga Clemency, niech mi pani

pozwoli opowiedzieć ciotce Helenie pani wersję wydarzeń. Ona panią bardzo lubi i jestem pewna, że chętnie mnie wysłucha.

- Dobrze - odparła Clemency apatycznie. Jeśli Lysander uważają za złośliwą intrygantkę, nic innego nie ma znaczenia. Niech Arabella zrobi, co w jej mocy - już gorzej być nie może.

- Nie wydaje się pani niezręcznością, zamieszkać znowu z kuzynką w Abbots Candover, to znaczy tak blisko nas? - zapytała Arabella.

Clemency opowiedziała jej o Ramsgate'ach.

- W każdym razie nie mogę tu dłużej zostać, nie byłoby to uczciwe w stosunku do kuzynki Anne.

- Powiadomi mnie pani o miejscu swojego pobytu? - zatroskała się Arabella. - Proszę dać znać, gdy tylko znajdzie się pani w nowym miejscu!

- To szaleństwo, nie będzie ci wolno do mnie pisywać!

- Możliwe, ale w przyszłym roku jadę do Londynu i mogłabym panią odwiedzić, jestem tego pewna - dokończyła Arabella.

Clemency po namyśle zgodziła się. Zdawała sobie sprawę, że czyni źle, lecz wizja usłyszenia o Lysandrze, nawet z drugiej ręki, była zbyt pociągająca. Niewielką bowiem miała nadzieję, że za rok opuści ją przygnębiające uczucie pustki i wewnętrznego rozbicia.

- Pomogę się pani spakować - zaproponowała Arabella.

W tym czasie Lysander opowiadał osłupiałej lady Helenie

zadziwiającą historię Clemency. Znajdowali się w gabinecie markiza, lady Helena siedziała nieruchomo w skórzanym fotelu, mężczyzna zaś chodził niespokojnie po pokoju.

Gdy minął pierwszy szok, lady Helena zachnęła się, nieskora tak pochopnie zaakceptować gorzką opowieść bratanka.

- Co za bzdury, Lysandrze - rzekła stanowczo. - Nie ma najmniejszego dowodu, że wyśmiewała się z nas za plecami. Dalibóg, jeśli ktoś miałby się śmiać, to tylko my, bo też za naszą sprawą ugrzęzła na prowincji w roli nauczycielki! Pomyślałeś o tym? Posada guwernantki Arabelli to nie synekura, dobrze o tym wiesz!

Lysander skwitował jej słowa gniewnym gestem i wrócił do przemierzania gabinetu.

- Twierdzi, że gdy pisała ten list, była przekonana, iż jestem Alexandrem! - odparł pogardliwie.

- A wiesz, to wielce prawdopodobne - przyznała ciotka.

- Co takiego? Dajesz wiarę tym bredniom? Naprawdę sądzisz, że jej przyjazd tutaj nie był zamierzoną kpina cynicznej parweniuszki, która postanowiła sobie obrazić Candoverów?

- Lysandrze, opamiętaj się! - rozkazała lady Helena. - Cała sytuacja jest wielce niezręczna, a ty, tracąc zimną krew, wcale jej nie poprawiasz. Rozumiesz, że chciałabym wysłuchać wersji panny Hastings - uniosła rękę, powstrzymując protesty Lysandra. - Zapewne i ona ma sporo do powiedzenia. Podejrzewam, że prawda jak zwykle leży pośrodku. - Po

krótkiej przerwie dodała:

- Jakkolwiek na to patrzeć, dziewczyna nie może tu pozostać i obojętne jak, ale musimy wytłumaczyć jej nagły wyjazd. Chociaż bardzo szanuję Fabianów, uważam, że tę akurat sprawę powinniśmy zachować dla siebie. I tak wkrótce muszą nas opuścić, chodzi o wyświęcenie Gilesa.

- Czemu mamy chronić reputację panny Hastings? - warknął markiz. - Ona najwyraźniej nie przejmowała się nami.

- Chcesz, żeby twoje sprawy matrymonialne stały się tajemnicą poliszynela? - zganiała go ciotka. Była zdania, że czasami tylko ona z całej rodziny potrafi myśleć logicznie. Lysander jest taki męczący, szczególnie gdy w grę wchodzi jego urażone poczucie godności! Pamięta podobne zmagania z jego ojcem, potem z Alexandrem, a teraz znowu Lysander przysparza jej zmartwień. Lady Helena czuła, że już zbyt długo zajmuje się uspokajaniem urażonej męskiej ambicji. Gdy ta absurdalna sprawa zostanie rozstrzygnięta, a Arabella ulokowana bezpiecznie u Fabianów, pojedzie do Bath na zasłużony wypoczynek. Weźmie ze sobą tylko psy, bo te przynajmniej są wesołym towarzystwem i z pewnością nie wplączą się w idiotyczne miłosne afery.

- Panna Hastings zostanie nagle wezwana z powodu choroby matki; myślę, że to najlepsze wyjście z sytuacji. Oczywiście pozwolimy jej wyjechać. Wyrażę z tego powodu szczery żal, i ty także - ciągnęła.

Markiz usiadł ciężko na fotelu i wydawał się nie słuchać. Przyglądał

się listowi Clemency.

- Myślisz, że naprawdę pomyliła mnie z Alexandrem?

- Pozostawiam to twojemu wyczuciu i wiedzy na jej temat. - Lady Helena zauważyła, że bratanek już opanował gniew. - A teraz pozwól, że porozmawiam z Arabella.

Kwadrans później Arabella siedziała wraz z ciotką w jej buduarze. Najważniejszymi lokatorami tego obszernego, wytwornego pokoju wydawały się psy, ich wygodzie było tu podporządkowane niemal wszystko. W rogu znalazła schronienie Millie ze swoimi szczeniakami, a przynajmniej osiem pozostałych czworonogów królowało na specjalnie przygotowanych krzesłach. Miarą powagi obecnej sytuacji był fakt, że lady Helena bezceremonialnie zgoniła Muffin z jej ulubionego miejsca i usiadła tam sama.

Z zaskoczeniem stwierdziła, że bratanica już wie o kłamstwach panny Hastings, i bez słowa komentarza wysłuchiwała rzeczowej opowieści dziewczyny.

- Cieszę się, że poznałam wersję drugiej strony - odparła, gdy Arabella skończyła mówić. - Zdradzę ci, moja droga, że tak też przypuszczałam. Jak widzę, Lysander niepotrzebnie tak bardzo się uniósł. Naturalnie, dziewczyna popełniła błąd, uciekając w głupi i nieodpowiedzialny sposób, ale od tego czasu zachowywała się bez zarzutu. - Z pewnością też zniosła wystarczająco dużo upokorzeń ze strony Baverstocków, zauważyła w duchu.

- Skoro już wszystko wiemy na jej temat, nie sądzisz, ciociu, że byłaby dobrą żoną dla Zandra? - zapytała bratanica, wciągając głęboko powietrze.

Lady Helena podniosła swoje lorgnon i przyjrzała się jej uważnie.

- Czy ty do reszty postradałaś rozum, Arabello? Po tych wszystkich przejściach Lysander nie zechce o niej nawet słyszeć.

Ciotka wspomniała tylko o uprzedzeniach Lysandra, a nie o własnych, zauważyła przytomnie Arabella. Zachęcona tym, dodała:

- Ale panna Clemency nie jest obojętna Zandrowi. Kuzynka Maria twierdzi wręcz, że się w niej zadurzył, wiem to od Diany. To tłumaczyłoby jego wściekłość.

Lady Helena kontemplowała w milczeniu tę wiadomość.

- A panna Hastings? - zapytała po chwili.

- Nie zwierzała mi się, ciociu Heleno, ale wydaje mi się, że podziela to uczucie. Przez ostatni tydzień ledwie skubała jedzenie, z pewnością musiałaś zauważyć. Oczywiście, jest jej przykro z powodu całej maskarady, ale tak naprawdę unieszczęśliwiły ją dopiero oskarżenia Zandra.

- To stawia sprawy w zupełnie nowym świetle - stwierdziła stanowczo ciotka i zamknęła z trzaskiem lorgnon. - Nie pozostało nam zbyt wiele czasu, jeśli mamy rozstrzygnąć tę kwestię jeszcze przed sprzedaniem posiadłości. Czy wiesz, dokąd panna Hastings zamierza się udać?

Tydzień później Clemency przyjechała do Londynu. Kiedy zjawiała się u pani Stoneham, prawie w tym samym czasie nadszedł list od Jamesona. W środku znajdowało się zaproszenie od Ramsgate'ów oraz dziesięć funtów na podróż. Wydawało się, że prawnik nie tracił czasu, załatwiając co trzeba, ale prawda była taka, że to pani Hastings uznała przedłużającą się nieobecność córki za katastrofę i z niecierpliwością oczekiwała jej powrotu. Ponieważ miała wkrótce zostać żoną szanownego Johna Butlera, nie myślała już o Clemency z dawną irytacją. Tym samym zaniechała gróźb wysłania dziewczyny do ciotki Whinborough, co więcej, łaskawie zgodziła się na jej pobyt u Ramsgate'ów. Pan Jameson otrzymał za zadanie dyskretne załatwienie tych spraw - zachowanie matki miało oczywiście pozostać poprawne, jeśli nie serdeczne; uzgodniono, że bez dalszych fochów powita Clemency.

Tuż po wiadomości od Jamesona nadszedł pompatyczny w tonie list od samej pani Hastings, pełen szumnych obietnic i podziękowań dla najdroższej kuzynki Anne za opiekę nad jej skarbem. Zaraz potem Clemency odebrała utrzymaną w entuzjastycznym tonie karteczkę od Mary i Eleanor Ramsgate. *Będziemy się świetnie bawić!* - pisała Mary. - *Razem z Nell obiecałyśmy nie okazywać zazdrości, gdybyś ukradła nam kawalerów. Dostaniesz sypialnię na górze - mama kupiła śliczny perkal na pokrycie łóżka.*

Clemency popatrzyła na listy. Miała wrażenie, że należą do zupełnie

innego świata i nie mają z nią nic wspólnego. Sama czuła jedynie przejmujący ból zranionego serca.

- Cieszę się, że wszystko skończyło się pomyślnie - oświadczyła tamtego wieczora pani Stoneham, gdy Bessy czesała jej włosy. - Zaczynałam się już martwić.

Bessy wydeła usta. Nie była zadowolona z takiego obrotu rzeczy. Panna Clemency to piękna dziewczyna o doskonałych manierach i z niezgorszym majątkiem. Gdyby markiz miał głowę na karku, już dawno by ją porwał i uciekł z nią w siną dal! Bessy liczyła na szczęśliwy finał romansu. Oczyma wyobraźni widziała, jak Clemency, ubrana w oszałamiającą suknię ślubną i koronkowy tren, idzie nawą małego wiejskiego kościółka. Ona sama płakałaby ze szczęścia w jednej z ławek. (Ucieszyłaby się, gdyby ceremonią kierowała na dodatek lady Helena). Niestety, tak się nie stało i Bessy skłonna była myśleć, że markiz jest chyba niespełna rozumu.

Clemency wyjechała dyliżansem pocztowym z Aylesbury i dotarła wieczorem do Londynu. Powitały ją podekscytowane Mary i Eleonor.

- Nasza gwiazda! - krzyknęła Eleanor, ucałowała serdecznie Clemency i zasypała ją lawiną słów. - Wypatrujemy cię już co najmniej od pół godziny. Chodź na górę, Clemmie. Wiesz, że będziesz spać w różowym pokoju? Twoja matka przysłała ci całe mnóstwo strojów, prawda, Mary?

- Bądź już cicho, Nell - fuknęła na nią siostra i teraz ona z kolei

uściskała gościa. - Biedaczka jest oszołomiona. - Zwróciła się do stojącego przy drzwiach lokaja: - Dawlish, przynieś, proszę, herbatę dla panny Clemency. Wypijemy ją w saloniku. Chodź na górę, Clemmie.

Reszta wieczoru minęła Clemency jak we śnie. To było doprawdy osobliwe uczucie, ponownie ujrzeć dawno nie widziane stroje, móc przebrać się do kolacji w hiacyntowe jedwabie z małymi różyczkami z pereł, trzymać w dłoni wachlarz i pozwolić służącej pani Ramsgate upiąć sobie porządnie włosy. Skończyły się czasy obowiązkowej czarnej sukni i codziennej toalety przed sfatygowanym lustrem w małym pokoiku na strychu. Wciąż dziwił ją szacunek służby i czuła się nieswojo, gdy wzięła pod rękę pana Ramsgate'a, by jako honorowy gość zasiąść po jego prawicy.

Rosło w niej poczucie nierealności. Uzgodniły wcześniej z kuzynką Anne, że najlepiej unikać wszelkich rozmów na temat jej pracy w Candover Court. Mary i Eleanor, istoty skądinąd szlachetne i dobrego serca, były też wystarczająco niedyskretne, by uznać całą historię za doskonały żart i rozpowiadać ją wszem i wobec. Pani Stoneham uważała, że milczenie jest jedynym bezpiecznym wyjściem! Clemency zgodziła się z nią.

- Zatrzymałaś się u mnie w Abbots Candover i tyle, nie musisz mówić nic więcej - pouczała ją stanowczo ostatniego wieczora. - Nikt nie będzie tego kwestionował. - Nie wiedziała jednak, a Clemency, niestety, zapomniała, że to właśnie panny Ramsgate odnalazły w wykazie

parów notatkę na temat markiza Storringtona i że Abbots Candover może nie być dla nich obcą nazwą.

Kiedy więc Clemency powiedziała, że spędziła miesiąc u swej drogiej kuzynki Anne w małej wiosce zwanej Abbots Candover, z trwogą zobaczyła, jak Mary rzuca Eleanor znaczące spojrzenie. Żadna z panien nie chciała zdradzić się swą wiedzą przed rodzicami, ale obie obiecały sobie w duchu, że później wypytają o to Clemency. Jednak ich plan zawiódł, przyjaciółka bowiem przeprosiła gospodarzy i udała się na spoczynek zaraz po herbacie.

- Naturalnie, moja droga - odparła pani Ramsgate. - To musiała być okropna podróż! Wyglądasz na całkowicie wyczerpaną. Mary! Eleanor! Siadajcie, proszę. Trajkoczećcie jak sroki i jestem pewna, że Clemency potrzebuje i od was nieco wytchnienia.

Clemency uśmiechnęła się z wdzięcznością i odeszła do swojego pokoju. Mimo to jeszcze długo nie mogła zasnąć. Siedziała na łóżku z podciągniętymi pod brodę kolanami i wpatrywała się w trzaskający na kominku ogień. W pokoju było ciepło i przytulnie, w oknach wisały ciężkie zasłony, na łóżku pyszniła się gruba różowa narzuta, a na podłodze leżał puszysty dywan. Ale jedyne, co Clemency widziała, to ciągnący chłodem pokoik na poddaszu, z wąskim łóżkiem przykrytym cienką kapą. Tam zostawiła swoje marzenia.

Fabianowie wyjechali z Candover Court kilka dni po Clemency,

pośród uścisków i licznych podziękowań. Wybierali się do Gloucestershire na uroczystość wyświęcenia Gilesa i mieli tam pozostać aż do objęcia przez niego wikariatu w parafii jego ojca chrzestnego. Planowano wysłuchanie pierwszego kazania młodzieńca, a przynajmniej czekała na to Adela. Lady Fabian kierowały bardziej prozaiczne powody - między innymi chciała dopilnować, by szanująca się wdowa, u której syn miał zamieszkać, zapewniła mu dobre i pożywne jedzenie i nie dała zatęchłych prześcieradeł.

Na Nowy Rok panie Fabian zamierzały wrócić do Londynu, by skompletować garderobę Diany w związku z jej uroczystym wejściem do towarzystwa. Arabella będzie miała okazję do nich przyłączyć.

Diana uścisnęła gorąco Arabelle i dziewczęta obiecały często do siebie pisywać.

- Nie wiesz, jak bardzo się cieszę z naszego wspólnego debiutu. Nie zapomnisz o mnie, prawda? - dopytywała się jeszcze na koniec Diana.

- Oczywiście, że nie!

Adela przyglądała się im obu i pociągnęła nosem. Poczwała się pominięta i niepotrzebna. Panna Baverstock wyjechała, nie zostawiwszy jej nawet adresu do korespondencji. Jeśli zaś chodzi o pracę misyjną, podczas całego pobytu w Candover udało się jej jedynie rozdać mieszkańcom wioski kilka broszurek - nie okazali zresztą wdzięczności za te wysiłki. Wyjeżdżała zatem bez żalu. Gilesa z kolei ogromnie zmartwiło nagłe zniknięcie Clemency. Zaczął się nawet za-

stanawiać, czy nie uznać się za ofiarę jej zdradzieckich powabów i na zawsze nie wyrzec się kobiet. Po namyśle odrzucił ten pomysł. Jego ojciec chrzestny miał kilka ładnych córek, zdecydował więc, że uzna pannę Stoneham za niedościgniony ideał.

Po ich wyjeździe dom wydał się cichy i opuszczony; tego wieczora odczuła to cała trójka zgromadzona w salonie. Arabella, obserwując brata, zauważyła, że często spogląda w stronę krzesła, na którym siadywała Clemency. Wyglądał bardziej mizernie niż zwykle, chociaż za wszelką cenę starał się podtrzymać wątplą rozmowę.

Również lady Helena zamknęła się w sobie. Pongo nadaremnie lizał ją po twarzy, nie pomogło także skomlenie pekińczyków. Arabella z rozpaczą zastanawiała się, jak zdoła tu wytrzymać do końca roku, kiedy lady Helena nieoczekiwanie wyrwała ją z zadumy.

- Lysandrze, moim zdaniem powinniśmy jechać do Londynu - powiedziała.

- A po co? - zapytał bez ogródek. Podniósł głowę i obrzucił ją podejrzliwym wzrokiem.

- Fabianowie wyjechali i wszystko wydaje się takie nudne. Nie chcę patrzeć, jak ci Cromerowie i Bamstaple'owie zaczną wtykać nos we wszystkie kąty, nie sądzę też, by Arabella miała na to ochotę.

Dziewczyna ożywiła się na tę wiadomość. Ciotka ma coś w zanadrzu, była tego pewna.

- Tak, jedźmy! - krzyknęła. - Chcę kupić sobie nowe farby, może też

zwiedzimy jakąś galerię.

Lady Helena popatrzyła na bratanicę z uznaniem. Arabella wyznała jej, że dostała od pani Stoneham nowy adres panny Hastings. Przebywając w Londynie, może uda im się coś wskórać, a akwarele to doskonały pretekst.

- Wszystko zatem ustalone - oznajmiła lady Helena, zanim Lysander mógł zaproponować. - Jutro wyślę do Londynu Timsona i jedną z pokojówek, by przygotowali na piątek co trzeba.

Lysander wbił w nią wnikliwe spojrzenie, lecz nic nie powiedział. Nie do końca uwierzył w historyjkę o farbach, choć brzmiała całkiem wiarygodnie; wiedział dobrze, że ciotka, jeśli tylko mogła, unikała dalekich podróży. Czuł się jednak zbyt przygnębiony, by zdobyć się na jakikolwiek sprzeciw.

Markiz w istocie cierpiał męki, wszak z własnej winy utracił dziewczynę, którą kochał. Zdał sobie sprawę ze swych uczuć jeszcze przed pocałunkiem na jarmarku. Ta niezwykła istota oczarowała go, kiedy trzymając się za ręce szli strumieniem w poszukiwaniu zimorodka.

Początkowo usiłował stłumić to uczucie. Z nic na świecie nie chciał przysporzyć Clemency zmartwień, nie mógł więc prosić ją o rękę w sytuacji, kiedy zamierzał sprzedać dom i nie był pewien swojej przyszłości. Potem do jego serca wkradła się zazdrość. Rozsądek podpowiadał, że dziewczyna jest niewinna i nie zabiega bynajmniej o

względy Marka, mimo to rósł w nim niepokój, umiejętnie podsycany przez Oriane.

Szalał na myśl o Marku cieszącym się jej pocałunkami i pieszczotami, o których sam marzył. Doskonale wiedział, że przyjaciel jest gotów bez skrpułów wykorzystać sytuację. Jedyne, co on mógł zrobić, to odsunąć na bok swoje fantazje i ofiarować Clemency uprzejmą poprawność pracodawcy.

Gdy list Thorhilla uświadomił mu w końcu całą prawdę, jego pierwszą reakcją był dziki, niepohamowany gniew. W działaniu dziewczyny dostrzegał celowe szyderstwo i chęć upokorzenia go. Tak jakby znała jego najskrytsze myśli i w żywe oczy sobie z nich kpiła. Teraz ochłonął, ale czy może zaproponować małżeństwo kobiecie, którą tak okrutnie znieważył? Jeśli nie potrafił postąpić honorowo i oświadczyć się, gdy uważał ją za biedną, tym bardziej nie ma do tego prawa dzisiaj, gdy wie, że jest bogata. Wyszedłby na najpodlejszego łowcę posagów. Obecnie miał do zaoferowania wyłącznie swój tytuł, lecz nie sądził, by Clemency to wystarczyło.

Czy uwierzy w jego miłość po kalumniach, jakimi ją obrzucił? Nie, musi nieodwołalnie pogodzić się z jej utratą i może wyjazd do stolicy pozwoli mu o tym zapomnieć. Candover Court jest zbyt pełen wspomnień - na każdym kroku widział ją niosącą sterty prania czy siedzącą przy oknie z Arabellą - i każde miejsce w domu boleśnie przypominało mu jej stratę. Londyn wydawał się bardziej neutralny.

Następnego dnia po powrocie Clemency Jameson udał się do domu Ramsgate'ów na Tavistock Square, by się z nią osobiście spotkać. Spodziewał się ujrzeć istotę speszoną i zawstydzoną, lecz już po chwili stwierdził, że się grubo pomylił, bo powitała go poważna młoda dama, osoba nadzwyczaj zrównoważona i pewna siebie. Jameson, przygotowany do odegrania roli dobrodusznego wujka, strofującego niegrzeczną dziewczynkę, rychło uznał to podejście za nieodpowiednie.

Clemency słuchała go ze stoickim spokojem. Kiedy wspomniał roztrzęsione nerwy i cierpienia pani Hastings-Whinborough, wywołane niepoprawnym zachowaniem córki, dziewczyna jedynie uniosła brwi w grzecznym zdziwieniu.

- W takim razie jestem zdumiona, że miała jeszcze siłę przyjąć oświadczenia pana Butlera - rzekła bez cienia emocji.

Następnie wysłuchała uprzejmie przygotowanej uprzednio przemowy pana Jamesona, lecz dała jasno do zrozumienia, że nie zrobiło to na niej najmniejszego wrażenia. Jameson błyskawicznie to przemyślał. Fizyczne podobieństwo Clemency do matki okazało się bardzo mylące. Zachowywała się raczej jak ojciec, rozumując wyjątkowo trafnie i logicznie. Ponadto, gdy tylko ukończy dwadzieścia pięć lat otrzyma do dyspozycji sto tysięcy funtów. To niebagatelna suma, a dziewczyna będzie potrzebować plenipotentą do zarządzania pieniędzmi. Ta myśl

w cudowny sposób pomogła mu się skoncentrować. Natychmiast zmienił taktykę.

- Panno Hastings-Whinborough... - zaczął od nowa.

- Tylko Hastings, proszę. Dodawanie Whinborough uważam za sztuczne i pretensjonalne. Mój ojciec zadowalał się nazwiskiem Hastings, więc i mnie ono wystarczy.

- Zatem, panno Hastings, przybyłem z konkretną propozycją od pani matki. Obiecuje podnieść pani kieszonkowe do stu funtów rocznie, wszelkie zaś rachunki ponad tę kwotę mają być przez nią zatwierdzane. Wybierze również dla pani nową służącą. Jednak w tej sprawie ośmielam się mieć inne zdanie. Myślę, że powinna pani oczekiwać większej samodzielności w swoich sprawach.

Clemency po raz pierwszy uśmiechnęła się z aprobatą.

- Jeżeli nie ma pani innych propozycji, oto co pragnę pani zaoferować...

- Chcę otrzymywać pięćset funtów rocznie - przerwała dziewczyna stanowczo. - Z tych pieniędzy rozliczę się z panią Ramsgate, a gdy uzyskam swobodę wyboru pokojówki, opłacę jej pensję, jak i własne wydatki. Wszystkie sprawy wolałabym załatwiać przez pana, a nie bezpośrednio z matką.

- Pięćset funtów? To dużo pieniędzy.

- Jestem kobietą zamożną - stwierdziła ze spokojem.

- Nie mam pewności, czy pani matka wyrazi na to zgodę - odparł

Jameson, grając na zwłokę.

- Skoro jest pan jednym z jej powierników, ufam, że łatwo ją pan przekona. A może powinnam poszukać sobie kogoś innego do prowadzenia interesów?

- Możliwe, że jej to wyperswaduję. - Jameson zrozumiał, że został pokonany.

- Jestem tego pewna. - Clemency wyprostowała się z uśmiechem. - Skoro już to uzgodniliśmy, chciałabym, by załatwił pan dla mnie jeszcze kilka spraw.

- Naturalnie, panno Hastings.

- Pragnę wynagrodzić pani Stoneham jej gościnność. Nie należy do osób zamożnych i z pewnością przyda jej się trochę grosza. Czy może pan dyskretnie posłać jej, powiedzmy, dziesięć funtów?

- Oczywiście, panno Hastings. Pani ojciec przewidział wydatki nadzwyczajne, a tę sytuację można za taką uznać. Czy zechce pani dołączyć podziękowanie dla jej służącej?

- Owszem, bardzo proszę. Po drugie, niech pan odnajdzie Sally Wilkins, moją byłą pokojówkę. Jeśli nie pracuje bądź ma nieodpowiednie zajęcie, chciałabym przyjąć ją z powrotem. Tu jest jej adres.

Pan Jameson otworzył usta i bez słowa je zamknął. Po ucieczce Clemency Sally została bezceremonialnie wyrzucona z domu. Był pewien, że pani Hastings-Whinborough z pewnością nie zgodzi się na

jej powrót. Jednak po chwili namysłu doszedł do wniosku, że matka z córką nie będą się prawie widywały. Jest wielce prawdopodobne, iż pani Hastings-Whinborough nawet się o tym nie dowie.

- Załatwię to.

- Dziękuję panu. - Clemency wstała i Jameson zdał sobie sprawę, że wizyta dobiegła końca. Pożegnał się, kłaniając się w pas wiele razy.

Gdy wyszedł, Clemency podeszła do okna i spojrzała przed siebie. Uświadomiła sobie, jak bardzo zmieniła się przez ostatni miesiąc. Przed ucieczką była cicha i posłuszna, traktowano ją też jak dziecko. Teraz rzeczy uległy zmianie. Zyskała pewność siebie i chęć, by samemu organizować własne życie. Zdecydowała się na desperacką ucieczkę jedynie ze strachu przed nie chcianym związkiem oraz groźbą wysłania do ciotki Whinborough. *Niespodziewanie osiągnęła znacznie więcej.*

Cena, jaką za to zapłaciła, była jednak ogromna. Ponownie wróciła myślami do Lysandra. Gdy go poznała, był w żałobie. Nosił zawsze ciemny surdut, czarne spodnie i czarny jedwabny fular na szyi. Clemency nie potrafiła wyobrazić go sobie w czymś innym. Surdut Lysandra był wytarty, a koszula nieco sprana, lecz przedtem jej to nie raziło. Gdy była guwernantką, nigdy się nad tym nie zastanawiała, lecz tutaj, pośród bogactwa Ramsgate'ów, martwiła się, że sama ma tak wiele, on zaś tak mało. Z trudem powstrzymywała łzy.

Najgorsze, że nic nie może na to poradzić. To bolało najbardziej. Znienawidził ją, dał jej to wyraźnie do zrozumienia! Teraz sprzeda

ojcowiznę i zaciągnie się do jakiegoś podrzędnego pułku, ona zaś będzie co najwyżej przypatrywać się temu bezradnie z boku.

Nawet nie pomyślała przy tym o Arabelli ani o lady Helenie.

Kolejne dni minęły w spokoju. Zaczął się rok szkolny i dwaj najstarsi synowie Ramsgate'ów pojechali do Winchestera. Młodszy chłopiec wrócił do szkoły i w domu została tylko mała Karolina. Któregoś dnia pan Ramsgate zabrał wszystkie damy do Teatru Królewskiego, by obejrzeć grę Keana. Innym razem pani Ramsgate pojechała z Clemency i z córkami do niedawno otwartego domu towarowego Jamesa Shoolbreda na Tottenham Court Road. Clemency kupiła ciemnoniebieską wełnę na nowy płaszcz zimowy, a pani Ramsgate pozwoliła dziewczętom wybrać aksamit na suknie.

Zjawiła się też uszczęśliwiona Sally. Dotąd nie znalazła pracy i musiała pomagać matce w praniu. Clemency też się ucieszyła, bo mogła być z nią bardziej otwarta, niż wobec Mary i Eleanor. Kiedy opowiedziała jej, jak przez pomyłkę wzięła Lysandra za jego brata, służąca stwierdziła kategorycznie:

- Niech się panienka nie martwi, według mnie ten markiz jeszcze się zjawi. - Zdaniem Sally żaden mężczyzna nie mógłby się oprzeć urodzie jej pani. - Może wypruję te falbanki, które się panience nie podobają, dobrze? - zaproponowała.

Clemency zgodziła się. Nie podzielała optymizmu Sally co do Lysandra, ale przynajmniej pozbędzie się nadmiaru wstążek i koronek

przy sukni!

W następnym poniedziałek Clemency i siostry Ramsgate siedziały w salonie rozmawiając na temat ostatnich modeli z pisma *La Belle Assemblée*.

- Popatrz, Clemmie, czy ta suknia nie jest piękna? - krzyknęła Eleanor.
- Uwielbiam wieczorowe kreacje z cienkiej różowej satyny, a te hiszpańskie cięte rękawy i kapelusik z różyczkami są po prostu boskie!
- Ale raczej pasowałyby do ciebie, Nell - rzekła Clemency, przyglądając się krytycznie palecie barw. - Prawdę mówiąc, nie cierpię różów.

- Jesteś taka śliczna, że możesz nosić wszystko - oświadczyła Mary z czułością. - Nie pojmuję, dlaczego usuwasz te falbanki! - Obie siostry uwielbiały falbany i wiecznie narzekały, że ich suknie są zbyt ubogie.

- Czuję się w nich jak lalka - odparła Clemency. Częściowo odzyskała już dawny humor. Może jest jeszcze trochę za szczupła, musi też pozbyć się cieni pod oczami, lecz przyjaciółki nie widziały w niej żadnej skazy. Miała na sobie suknię z cienkiego perkalu w białoniebieskie paski, wyszywaną w maleńkie niebieskie bławatki, doskonale pasujące do koloru jej oczu. Sally na cześć powrotu swojej pani umyła jej włosy w naparze z rozmarynu, po czym upięła je misternie w stylu romańskim - w klasyczny węzeł z opadającymi po bokach lokami.

Do salonu wszedł Dawlish, niosąc na tacy bilecik dla panny Hastings.

- Dobry Boże, Arabella! - krzyknęła Clemency, gdy przeczytała wiadomość. - Oczywiście, Dawlish, poproś na górę lady Arabellę.

Mary i Eleanor spojrzały na siebie znacząco. Clemency była tu niecałą dobę i na razie nie udało im się wydobyć z niej całej prawdy. W swoim czasie Eleanor znalazła nazwisko markiza w wykazie parów i od razu skojarzyła, że Abbots Candover musi mieć coś wspólnego z odrzuconym konkurentem przyjaciółki.

Clemency nie powiedziała im, że pracowała jako guwernantka u lady Arabelli Candover, ale musiała przyznać, że się znają. Starła się, by zabrzmiało to wystarczająco ogólnikowo. Siostry były na szczęście zbyt przejęte wizytą tak szanownego gościa w ich domu, by zadawać w tej chwili szczegółowe pytania, ale obie miały zamiar uczynić to jeszcze przed wieczorem.

- Clemency! - Arabella prawie wbiegła do pokoju i z zapalem objęła Clemency. Serdecznie uścisnęła swą byłą nauczycielkę, ucałowała i obejrzała ją od stóp do głów krytycznym okiem. - To rozumiem! - krzyknęła z uznaniem na widok stroju Clemency. Lysander byłby szalony, nie zakochując się w tak pięknej dziewczynie, pomyślała w duchu.

Clemency zaśmiała się i przedstawiła Mary i Eleanor. Po kilku minutach rozmowy Mary powiedziała:

- Lady Arabella ma ci z pewnością wiele do powiedzenia, najlepiej zaprowadź ją do swojego pokoju.

- Dziękuję - odparła Clemency. - Arabello, chodźmy zatem na górę. Mam swój własny salonik i możemy tam wygodnie pogawędzić.

- Cóż! - rzekła Eleanor, gdy tylko drzwi się za nimi zamknęły. - Chyba zgodzisz się ze mną Mary, że Clemmie ma nam co nieco do wyjaśnienia!

Na górze obie panny usiadły zgodnie przy oknie. Arabella zdjęła kapelusz i płaszcz i powiesiła je na oparciu krzesła.

- Arabello, co robisz w Londynie? - spytała Clemency, gdy umilkły okrzyki radości i powitania.

- Przyjechałyśmy z ciocią Heleną z tajną misją! - oznajmiła Arabella.

- Misją? - powtórzyła Clemency ze zdziwieniem. Przez głowę przeleciało jej mgliste wspomnienie kościelnych praktyk Adeli. Ale to nie w stylu Arabelli, a tym bardziej lady Heleny.

- Tak - odparła Arabella. I zamierzała wykonać to zadanie, nawet jeśli miałyby użyć siły. - Jesteśmy zdeterminowane. Chodzi o Zandra. Miota się po domu jak nieprzytomny i nic nie je. Nawet jego służący twierdzi, że bardzo schudł i naprawdę wygląda okropnie.

- Och! - Clemency aż zbladła.

- Obie z ciocią uważamy, że najwyższy czas, by Zander się ustatkował. Jak wiesz, jest ostatni z rodu. I naszym zdaniem jest w tobie zakochany. Fabianowie też tak myśleli - dodała na wypadek, gdyby pierwszy argument nie wystarczył. Oparła się o parapet i patrzyła z zadowoleniem na piorunujący efekt działania swoich słów.

Clemency zaczerwieniła się po korzonki włosów. Przyłożyła dłonie do rozpalonych policzków.

- Och! - powiedziała słabo. - Nie może być... To znaczy, on nie...

- Pozostaje tylko jedno pytanie - ciągnęła Arabella. - Czy i ty go kochasz? - Twarz Clemency była już purpurowa. - Powiedz, że tak - błagała dziewczyna. - Tak bardzo chciałabym cię mieć za siostrę.

- Ale... twój brat... jesteś pewna? - wyjąkała Clemency. Czy to prawda? Czy słodycz tamtych pocałunków rzeczywiście coś dla niego znaczyła? Przypomniała sobie chwile, gdy wyczuwała jego czułą życzliwość, ale jeszcze nie śmiała w to wierzyć. Czy to możliwe? Czyżby lady Helena i Arabella miały rację? - A lady Helena, czy ona to popiera? - spytała niepewnie. - Arabello, nie żartujesz sobie ze mnie?

- Sama sprawdź! - Arabella wyjęła z woreczka małą kartkę, zapisaną charakterystycznym charakterem pisma ciotki.

Droga Clemency!

Razem z Arabella mamy nadzieję, że znajdziesz chwilę czasu i odwiedzisz nas dziś po południu. Zapraszamy na herbatę około czwartej.

Liścik podpisano po prostu: *Helena Candover.*

Clemency spojrzała raz jeszcze na kartkę i na Arabellę. Lady Helena zwróciła się do niej po imieniu, wybaczyła jej oszustwo. Może... Na dalsze spekulacje zabrakło jej odwagi.

- Och, Arabello - westchnęła i rozplakała się.

Osiągnąwszy swój cel, Arabella opuściła dom Ramsgate'ów po dwudziestu minutach. To prawda, że jej metody przypominają czasami łamanie kołem, ale nie sądziła, żeby w tym wypadku podziałała łagodna perswazja. Clemency przyznała się w końcu, że kocha Lysandra. Było to, rzecz jasna, powiedziane nie wprost, ale Arabelli wcale to nie przeszkadzało.

Miała nadzieję, że rozmowa ciotki z jej bratem okaże się równie skuteczna.

Pani Ramsgate, zapewne pod wrażeniem wizyty lady Arabelli Candover, zawiadomiła Clemency, że powóz podjedzie pod dom za dwadzieścia czwarta, i nie chciała słyszeć o wzięciu dorożki.

O wyznaczonej porze Clemency zarzuciła na ramiona hiszpańską narzutkę z delikatnego jedwabiu w ulubionym odcieniu błękitu, a Sally ostrożnie włożyła na jej złote loki wysoki kapelusik ozdobiony strusimi piórami.

Dziewczyna wsiadła do powozu z miną skazańca prowadzonego na gilotynę. W jednej ręce trzymała kurczowo swój woreczek i wpatrywała się niewidzącym wzrokiem w okno. Towarzysząca jej Sally nie przeżywała takich rozterek. Wszystko będzie dobrze! A jak ucieszy się matka, gdy dowie się, że jej córka jest pokojówką markizy!

Gdy dojechali do Berkeley Square, Clemency tak się trzęsła, że miała

trudności z zejściem po schodkach powozu. Podążała z trwogą za woźnicą, który zapukał do drzwi. Otworzył im Timson.

- Dzień dobry, panno Hastings. Niech mi będzie wolno powiedzieć, że ogromnie się cieszę, mogąc znowu panią widzieć - rzekł z uśmiechem. Pogłoski wśród służby rozeszły się szybko i Timson wraz z panią Marlow doszli do wniosku, że Clemency „się nadaje”.

- Mówią, że ma wielki majątek - rzekła gospodyni. Zawsze lubiła Clemency, a wiadomość o jej bogactwie pogłębiła tylko tę sympatię.

- Dziękuję, Timson. - Clemency zauważyła, że lokaj użył jej prawdziwego nazwiska.

- Proszę tędy. - Timson poprowadził ją korytarzem. Otworzył drzwi do salonu i oznajmił głośno: - Panna Hastings, milordzie.

- Och! Ale... - zająknęła się i zarumieniła na twarzy. - To straszne! Myślałam, że... to znaczy...

Timson posłał jej ojcowski, pełen otuchy uśmiech i zamknął za nią drzwi.

Nieco wcześniej lady Helena przypuściła szturm na markiza. Zaiste, jej taktyka okazała się mistrzowska. Przede wszystkim, aby pokonać jego próżność i wygórowane ambicje, przypomniała mu wiele zawstydzających epizodów, gdy niczym niesforny uczeń nie posłuchał jej rad. Kiedy stwierdziła, że spotulniał i okazuje już dostatecznie dużo pokory, rzekła wprost, że sytuacja stała się nie do zniesienia i bez zwłoki rozkazała mu oświadczyć się o rękę panny

Hastings, która przybędzie tu dzisiaj na herbatę. Ciotka dodała, że nie omieszka dopilnować, by się formalnie zaręczył, zanim gość opuści ich dom.

Zupełnie jak Clemency przed Arabella, tak i Lysander kluczył i próbował wykręcać się półsłówkami. Lady Helena nie zamierzała się tym przejmować i ani się obejrzała, jak powiedziała tonem nie znoszącym sprzeciwu:

- Jesteś zakochany w tej dziewczynie, a ze słów Arabelli wynika, że to uczucie jest odwzajemnione. Bóg jeden wie dlaczego, nie jesteś bowiem aż tak przystojny i masz diabelski charakter. A cóż to takiego?

Lady Helena wypatrzyła na biurku pokryty cyframi kawałek papieru.

- Rozwahałem ewentualne oświadczyzny - przyznał Lysander, nerwowo przeczesując palcami włosy. - Starłem się obliczyć, kiedy byłbym w stanie oddać pieniądze z jej posagu. Ta kolumna pokazuje niezbędne ulepszenia, tutaj spisałem oczekiwane zyski. Ale pozostają zobowiązania - westchnął. - To beznadziejne, ciociu Heleno. Jak mogę prosić ją o rękę, kiedy tak bardzo potrzebuję tych pieniędzy? Nie będzie tym zachwycona! - Wskazał ręką kartkę.

Lady Helena podniosła papier, przedarła go na pół i wyrzuciła do kosza.

- No wiesz, Lysandrze, zaczynam tracić do ciebie cierpliwość! Biedna dziewczyna nie zamierza przeglądać rachunków, ona potrzebuje miłości! Czy ty już nie potrafisz myśleć?

Tuż przed czwartą Lysander siedział w bibliotece. Ubrał się w najlepszy czarny frak z podwójnymi klapami, czarne bryczesy i buty z cholewami. Wyglądał blado, ale próbował wziąć się w garść. Kiedy Timson otworzył drzwi, wstał z bijącym sercem.

Choć miał przygotowane zawczasu przemówienie, widok dziewczyny zaparł mu dech w piersiach. Dotychczas widywał ją jedynie jako skromną guwernantkę, ubraną w szare albo czarne stroje. Kiedy jednak ujrzał ją w zachwycającej błękitnej narzutce, podkreślającej kolor jej bławatkowych oczu, nie zdołał wykrztusić ani słowa. Przeszedł powoli przez pokój, nie odrywając wzroku od jej twarzy, a potem wyciągnął rękę i delikatnie rozwiązał wstążki kapelusika.

Clemency stała jak zahipnotyzowana. Lysander zdjął jej kapelusz, musnął palcami włosy i jeden po drugim zaczął rozpinać guziki płaszcza. Następnie zsunął go z ramion dziewczyny i położył wraz z kapeluszem na krześle.

- Mam nadzieję, że zgodzisz się mnie poślubić, bo zamierzam teraz zachować się bardzo nieprzyzwoicie - powiedział.

Kąciki jej ust podniosły się w lekkim uśmiechu.

- Znowu, milordzie? - zapytała z udaną powagą.

Lysander rozchmurzył się nagle, zaśmiał się głośno i przyciągnął ją do siebie.

- Lecz tym razem nie potrzebuję, by ktoś przedtem zdzielił mnie po głowie! Pocałuj mnie, najdroższa!

Wkrótce oboje zapomnieli o całym świecie. Oprzytomnieli dopiero po dłuższej chwili i zaczęli rozmawiać. Lysander usiadł w potężnym fotelu ze skóry i posadził ją sobie na kolanach.

- Nawet nie masz pojęcia, co przeżyłem - Poglaskał ją palcem po policzku. - Łatwo jest prosić o rękę nieznaną dziewczynę i żądać posagu w zamian za tytuł. Sprawa wyglądała zupełnie inaczej, gdy chodziło o ciebie, bo zrozumiałem, że cię kocham. Czułem, że nie mam ci nic do zaoferowania.

- Kocha mnie pan, milordzie. - Clemency przekręciła się w jego objęciach i cmoknęła go lekko w policzek. - Czy to nie wystarcza?

- Lysandrze - poprawił ją markiz. - Zgadzam się, że to absurdalne imię, ale wolę już to niż suchy tytuł.

- W takim razie Lysandrze - odparła z wdzięcznym grymasem. - Wiem, że mówić tak jest rzeczą wielce niestosowną, ale musisz mi wybaczyć, bo zakochałam się w tobie od pierwszego wejrzenia. Wyobraź sobie moje przerażenie, gdy odkryłam, kim jesteś!

Lysander zaśmiał się i mocniej ją przytulił. Dostrzegła w nim ogromną zmianę. Nigdy nie będzie prawdziwie przystojnym mężczyzną; jest zbyt chudy i kościsty, ma ciemną cerę i orli nos, ale to wszystko wydawało się nieważne. Teraz, kiedy śmiał się, patrząc jej w oczy, zauważyła, że twarz mu złagodniała i wyglądał na całkiem innego człowieka. Czarne jak owoce tarniny oczy już nie mroziły lodem, ale błyszczały tkliwym ciepłem, a usta przestały przypominać cienką

kreskę. Clemency miała przed sobą prawdziwego Lysandra - człowieka wrażliwego i czułego.

Lysandra przepełniało szczęście; świat znów stanął przed nim otworem. To było nowe, wspaniałe doświadczenie. Uwolnić się od bagażu długów pozostawionych przez ojca i brata, zachować dom i mieć zapewnioną przyszłość, a wszystko dzięki najpiękniejszej dziewczynie, jaką znał, która łączyła w sobie doskonałość umysłu i ciała! Ledwie potrafił w to uwierzyć. Mógł jedynie całować bez końca te cudowne usta podobne do płatków róży i wpatrywać się w jej niewiarygodnie błękitne oczy.

Jednak nie było im dane nacieszyć się sobą do woli. Lady Helena i Arabella, siedząc na górze, słyszały przyjazd powozu. Arabella podbiegła do okna, lecz dostrzegła tylko czubek kapelusza wchodzącej do środka Clemency. Czas mijał powoli, a lady Helena zerknęła raz po raz na zegar stojący nad kominkiem.

- Pół godziny - powiedziała wreszcie. - Ponieważ nie usłyszałyśmy Clemency trzaskającej drzwiami ani Lysandra strzelającego sobie w łeb, myślę, że się zaręczyli. Pójdę sprawdzić.

- Ależ, ciociu Heleno! - krzyknęła Arabella. - Nie należy im teraz przeszkadzać.

- Możliwe, ale trudno, będą musieli się z tym pogodzić - stwierdziła dama i wstała z krzesła. - Tu wazą się losy całego Candover. - Podeszła do drzwi i majestatycznie opuściła pokój. Zupełnie zignorowała swoje

psy, które wyglądały na równie przestraszone, jak jej bratanica.

Otworzyła drzwi biblioteki i zastała markiza i pannę Hastings złączonych w żarliwym uścisku (zapinki do włosów Clemency leżały na podłodze) i całkiem nieświadomych - otaczającego ich świata.

- Lysandrze! - zawołała gromko. Markiz podniósł wzrok. - Czy mam rozumieć, że jesteście już zaręczeni?

- Ależ tak, ciociu Heleno! - Lysander uśmiechnął się do swojej wybranki. - Clemency uczyniła mi ten honor i przyjęła oświadczyny.

- Wspaniale - stwierdziła lady Helena. - To bardzo pomyślna nowina. Kiedy skończysz te amory, zapraszam was oboje na górę. Wraz z Arabellą oczekujemy was na herbacie.